

NIEPODLEGŁOŚĆ I INNE WARTOŚCI

Dall, Heller, Morawski, Olbiński, Pągowski, Person, Rodowicz-Czechowska

nr 3 (26), 2018

KWARTALNIK

Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA



TERAZ POLSKA



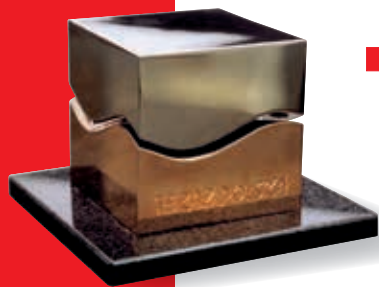
ISSN 2299-1395



RAFAŁ OLBIŃSKI

olbinski

XXIX edycja Konkursu



Teraz Polska

www.terazpolska.pl



P R O M U J E M Y P O L S K I E M A R K I





Niepodległość jako powinność

Mamy wielką przyjemność i zaszczyt spisywać na naszych łamach myśli wybitnych Polaków. Płyną z nich ważne inspiracje, wybiegające poza horyzont aktualności.

Jednym z bohaterów tego wydania jest ks. prof. Michał Heller – fizyk, filozof, kosmolog, duchowny katolicki. Rozmawiamy z nim o sprawach podstawowych: granicach postępu, przypadku, Bogu, matematyce. Być może jednak najważniejsze odpowiedzi padają na końcu wywiadu. Ksiądz profesor wyjawia nam, jaką dyrektywą moralną kierował się przez całe swoje życie. Powiada: „Nie robię w życiu tego, co chcę, tylko to, co uważam, że trzeba zrobić”. Chciałbym w kilku słowach odnieść się do tej myśli.

Niejednokrotnie obserwujemy wśród nam współczesnych pragnienie odnalezienia sensu – czegoś, co wykracza poza codzienne czynności, doraźne cele, przyjęte i realizowane „szablony życia”. Poszukiwanie sensu odbywa się poprzez rozszerzanie zakresu owego chcenia, czyli poprzez zwiększanie efektów w realizacji swoich pragnień. Oczywiście wiele z tych pragnień ma szlachetny charakter i przynosi dobre owoce. Czy jednak uzasadnienie naszych wyborów wytrzymałoby weryfikację wynikającą z przeświadczenia o powinnościach? Czy dałoby się wtedy uzasadnić nasze wszystkie wybory? Niejeden powie, że przecież myślenie o tym, co się powinno – jako opierające się na ocenie własnej – też może być nacechowane błędem. O ile jednak słowo „chcę” oczyszcza z kontekstu, otwiera przestrzeń

w zdaniu dla działań dowolnych, również wątpliwych moralnie, o tyle słowo „powinienem” nakazuje nam się odwołać do jakichś WARTOŚCI. Może one będą się różnić w zależności od regionu, środowiska, kręgu kulturowego czy wyznawanej religii itd. Ale więcej będą miały cech wspólnych, poprzez zapośredniczenia z jasną stroną ogólnoludzkiego dziedzictwa. Wielu obserwatorów rzeczywistości uważa, że mamy dziś kryzys wartości. Dzieje się tak nie dlatego, że wartości nie nadążają za światem. Mamy ów kryzys, ponieważ przestaliśmy o wartościach myśleć, co z kolei wynika z innego zaniechania: nie zastanawiamy się, co powinniśmy, a jedynie, czego chcemy.

Słowo „niepodległość” ze względu na ilość podejmowanych wątków, dyskusji, debat, publikacji zasługuje bezwzględnie na miano słowa roku. Jest bez przerwy odmieniane przez wszystkie przypadki – i nic w tym złego. Ba, sami dokładamy w tej sprawie swoją skromną cegiełkę, publikując we wszystkich tegorocznych wydaniach naszego kwartalnika artykuły, które wprost wynikają z naszej potrzeby celebrowania Święta Niepodległości. Ważne jest jednak, abyśmy już teraz pomyśleli, jak w kolejnych latach pielęgnować pojęcie niepodległości i jak rozwijać jego rozumienie. Ma ono – tak jak sto lat temu – moc tworzenia wspólnoty wokół wartości. Należy je jednak odczytać nie tylko poprzez zrozumienie kontekstu historycznego – jak bardzo by on nie był chwalebny – ale także poprzez odniesienie do stojących dziś przed nami powinności.

Zapraszam do lektury!

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*

Temat numeru

- 6 **Bronisław Piłsudski – ślad sachaliński i zakopiański.** O etnografii, obrońcy mniejszości, muzealniku i zesłańcu z **Jadwigą Rodowicz-Czechowską** i **Lesławem Dallem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 13 **Rzeczpospolita Zakopiańska.** O Józefie Piłsudskim, który w Zakopanem konspirował i wypoczywał, oraz o niezwyklej funkcji Stefana Żeromskiego z **Lesławem Dallem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 17 **To był trudny okres i fatalnie się skończył.** O gospodarce 20-lecia międzywojennego z prof. **Wojciechem Morawskim** rozmawia *Kamil Broszko*.

Polacy

- 22 **Bóg jest autorem racjonalności świata.** O granicach postępu i ich przekraczaniu oraz o tym, że matematyka prawdopodobnie rządzi wszystkim, z ks. prof. **Michałem Hellerem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 29 **Więzi między ludźmi przetrwały wojnę.** Z **Haliną Górką-Grabowską** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 36 **Teraz światem rządzi populizm.** O nonsensach we współczesnej sztuce, polskich elitach i polityce schlebającej najniższemu gustowi z **Rafałem Olbińskim** rozmawiają *Marzena Tataj* i *Kamil Broszko*.

Gospodarka

- 42 **Siłaczka od startupów.** O nowej koncepcji wspierania polskiej innowacyjności z *Elizą Kruczkowską* rozmawiają *Marzena Tataj* i *Kamil Broszko*.
- 46 **Polska jedną wielką strefą ekonomiczną.** *Adam Mikołajczyk*
- 50 **Od Bałtyku aż do Tatr.** Komentarz *Adama Szejnfelda*

Idee

- 51 **Brawa po spektaklu są owocem mojej pracy.** O zarządzaniu kulturą, międzynarodowych sukcesach i znaczeniu opery z **Waldemarem Dąbrowskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 56 **O polskich władcach według Waldemara Świerzego.** *Andrzej Pągowski*
- 59 **Inside Trends.** O trendach światowego biznesu
- 60 **Fundacja „Teraz Polska” promotorem płyty „Nasza Niepodległa 1918–2018”**

Regiony

- 62 **Góry nasycone pierwiastkiem wolności.** Z **Wojciechem Szatkowskim**, który w ramach projektu Narciarstwo Wolności zdobył na nartach skiturowych 100 polskich szczytów, rozmawia *Kamil Broszko*.
- 65 **Szczyty, sztuka, niepodległość.** *Ewa Maria Romaniak*
- 67 **Godło „Teraz Polska” dla PKN Orlen**

Felieton

- 68 **Współdziałanie na rzecz przyszłych pokoleń.** *Michał Kleiber*
- 69 **Teraz polska lekka atletyka, czyli 60 lat później.** *Andrzej Person*

Wydarzenia

- 72 **Gala zwycięzców – fotoreportaż**

nr 3 (26), 2018



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO

www.terazpolska.pl

Magazyn
TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadzący:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko,
Justyna Kwaśniok
Projekt okładki:
Rafał Olbiński

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.terazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Justyna Kwaśniok

Druk:
Miller Druk Sp. z o.o.
www.m-druk.pl

Promotor Polski



Promotor Polskiej Gospodarki



Uroczyste wręczenie
wyróżnień w Toruniu,
Katowicach i Białymstoku.

Promotor Polski i Promotor Polskiej Gospodarki

Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego organizuje coroczny Konkurs „Teraz Polska”, którego celem jest wyłonienie najlepszych produktów i usług. „Teraz Polska” promuje ludzi i firmy, których osiągnięcia współtworzą pozytywny wizerunek naszego kraju. Wyróżnienia **Promotor Polski** i **Promotor Polskiej Gospodarki**, przyznawane od 2017 r. w poszczególnych regionach Polski, mają w sposób szczególny nagradzać i promować osiągnięcia lokalnie sukcesy Polaków i rodzimej przedsiębiorczości.

Wręczenia wyróżnień odbywają się podczas regionalnych kongresów i wydarzeń biznesowych. Silną gospodarkę narodową cechuje obecność rozpoznawalnych marek. Wyróżnienie **Promotor Polskiej Gospodarki** otrzymują polskie firmy, które odnoszą sukcesy na rynku polskim i rynkach międzynarodowych, oferują innowacyjne rozwiązania, są ambasadorami regionu oraz przyczyniają się do zwiększania konkurencyjności gospodarki.

Wizerunek Polski budują jednak nie tylko produkty, usługi i innowacje, ale także – a może przede wszystkim – ludzie. Stąd nasze przekonanie, że warto wyróżniać Polaków, którzy poprzez swoją działalność i osiągnięcia na polu naukowym, kulturalnym, sportowym lub biznesowym wzmacniają wizerunek marki narodowej. I za to właśnie nagradzani są wyróżnieniem **Promotor Polski**.

Organizator



Partnerzy



Bronisław Piłsudski

– ślad sachaliński i zakopiański

Był etnografem i obrońcą mniejszości, muzealnikiem i zesłańcem, przyjaznym człowiekiem, który na „nieludzkiej ziemi” odnalazł życiowe powołanie i założył rodzinę. Zginął tragicznie kilka miesięcy przed tym, nim ojczyzna odzyskała niepodległość, a jego ukochany brat stał się kluczową osobą w państwie. O Bronisławie Piłsudskim z **Jadwigą Rodowicz-Czechowską** i **Lesławem Dallem** rozmawia Kamil Broszko.



Bronisław Piłsudski

Ślad sachaliński

Kamil Broszko: Prowadząc w redakcji rozważania o odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r., natknęliśmy się na postać brata Józefa Piłsudskiego. Chodzi o Bronisława – zesłańca, etnografa i antropologa, człowieka z wielkimi marzeniami, który nie doczekał odrodzenia Polski. Można rzec, że historia Bronisława kończy się w momencie, w którym zaczyna się historia Józefa.

Jadwiga Rodowicz-Czechowska: To prawda, że Bronisław Piłsudski jest znany jedynie etnologom, antropologom i językoznawcom. Wybitnym znawcą tej postaci jest prof. Alfred Majewicz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, japonista i językoznawca, oraz dr hab. Antoni Kuczyński, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, zajmujący się historią Polaków na Syberii. W kraju osoba Bronisława Piłsudskiego była skazana na milczenie historii ze względu na pokrewieństwo z Józefem. Ten stan trwał już od czasów drugiej wojny światowej, ze względu na spór pomiędzy piłsudczykami i sikorszczykami, zaś w okresie PRL-u nazwisko Piłsudski zostało zepchnięte na margines świadomości narodowej.

KB: Pani dowiedziała się o Bronisławie Piłsudskim, będąc ambasadorem RP w Japonii?

JRC: Dużo wcześniej, bo już podczas studiów na japonistyce. Był przedstawiany studentom jako polski zesłaniec i etnograf, zajmujący się plemionami rdzennie zamieszkującymi Sachalin, a będącymi przodkami obecnych mieszkańców japońskiej wyspy Hokkaido. Wiedzę tę pogłębiłam w trakcie stypendium na Uniwersytecie Tokijskim. Kiedy w 1988 r. odwiedzałam wyspę Hokkaido, dzięki profesorom slawistom mogłam pojechać do wioski Ajnów. I wtedy usłyszałam od Kayano Shigeru, jednego z najznakomitszych reprezentantów tej mniejszości, o wielkim Polaku, Bronisławie Piłsudskim, badaczu kultury Ajnów. Kayano Shigeru, który zmarł w 2006 r., był wybitnym działaczem na rzecz odrodzenia mniejszo-



© BIBLIOTEKA NARODOWA / INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Członkowie Spójni – kółka samokształceniowego, od lewej:
Szewgruber, Busz, Bronisław Piłsudski, Józef Piłsudski.
Wilno, 1885 r.

ści Ajnów i pierwszym senatorem reprezentującym ten lud. Dzięki niemu w szkołach japońskich otwierano klasy z językiem ajnuskim, odtwarzano i utrwalało jukary – eposy o bohaterach narodowych. Walczył o tożsamość mniejszości etnicznej, z której się wywodził jego ród, a która została zdziśiatkowana dramatyczną historią, chorobami i polityką mniejszościową Rosji, potem Japonii, wreszcie Związku Radzieckiego. Swoje działania mógł podjąć tylko dzięki temu, że prawie 100 lat wcześniej pewien Polak, zesłaniec i katorżnik, wykonał tytaniczną pracę, której poświęcił kilka lat swojego życia – opisał zwyczaje i kulturę narodu Ajnów, stworzył słownik języka ajnuskiego (zawierający 10 tys. słów), zarejestrował na 100 walcach fonograficznych muzykę, modlitwy, pieśni i legendy ludowe, a na kilkuset fotografiach uwiecznił jego przedstawicieli. Wykonał dzieło życia, które jednak jemu samemu się nie przysłużyło.

KB: Powinniśmy zacząć opowieść od momentu narodzin w polskiej rodzinie ziemiańskiej zamieszkałej na Litwie.

JRC: Bronisław Piłsudski urodził się 2 listopada 1866 r. w Zułowie, 40 km od Wilna, w patriotycznej rodzinie ziemiańskiej. Był trzecim dzieckiem Józefa Wincentego Piłsudskiego i Marii Piłsudskiej z Billewiczów. Miał sześciu braci i pięć siostr. Piłsudscy mieszkali w majątku ziemskim, a po pożarze w 1874 r., który wyniszczył rodzinę finansowo, przenieśli się do Wilna. W domowym wychowaniu w Zułowie, którego najważniejsze założenia określiła matka, kluczowa była lekcja patriotyzmu, prowadzona według słów Adama Mickiewicza: „Pomni na przysięgę swoją / I w każdej chwili żywota / Niechaj mu na myśli stoją / Ojczyzna, nauka, cnota”. W Wilnie Bronisław i Józef

uczyli się w gimnazjum rosyjskim, w którym rozmowa w języku polskim była zabroniona. Zatem bracia utworzyli kółko uczniowskie Spójnia, aby pogłębiać wiedzę z zakresu literatury i historii Polski, za co Bronisław został relegowany z gimnazjum w 1885 r. Po śmierci matki wyjechał na dalszą naukę do Petersburga, gdzie zdał maturę i zapisał się na wydział prawa tamtejszego uniwersytetu. Jego edukację przerwało aresztowanie w marcu 1887 r. za współudział w przygotowywaniu zamachu na cara Aleksandra III przez Frakcję Terrorystyczną Narodna Wola. Na czele grupy stał Aleksander Uljanow, starszy brat Włodzimierza Lenina. W petersburskim mieszkaniu Piłsudskiego drukowano manifest programowy Frakcji, korzystano też z jego kontaktów w Wilnie. Bronisław został skazany na karę śmierci przez powieszenie, którą ostatecznie zamieniono na 15 lat katorgi w kolonii karnej na Sachalinie. Ostatnie pięć lat darowano, lecz zaliczono go do osiedleńców bez prawa opuszczenia rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Józef, także zamieszany w zdarzenie, został skazany na pięć lat zsyłki na Syberię Wschodnią.

KB: Jak wyglądało życie zesłańca Bronisława?

JRC: Zesłańców wykorzystywano do cywilizowania Syberii. Ale też wielu jechało tam z własnej woli, mając nadzieję na szybkie dorobienie się. Przytoczmy tu choćby casus literackiego bohatera, Wokulskiego, który jako powstaniec styczniowy zostaje zesłany do Irkucka, gdzie dorabia się niewielkiego majątku. Parafrazując język westernu, możemy powiedzieć, że Syberia to Dzikie Dalekie Wschód. Jej przemiana dokonywała się przy użyciu wszelkich możliwych sił fizycznych i intelektualnych. Po odbyciu zsyłki można tam było się osiedlić i wielu wybierało taki los, szczególnie jeżeli dobrowolnie podążały za nimi żony z dziećmi. Tak było w przypadku Edmunda Płoskiego, działacza ruchu robotniczego i przywódcy I Proletariatu, któremu podczas sachalińskiego zesłania towarzyszyła żona. Z relacji Płoskiego wiemy, że Piłsudski po przybyciu na Syberię był przerażony i wyczerpany więzieniem w Petersburgu oraz długą podróżą – przez Moskwę do Odessy i stamtąd statkiem przez Singapur do Aleksandrowska na Sachalinie. Zszokowały go warunki, jakie zastał we wsi Rykowski – miejscu swojego zesłania. Tam od 1888 r. pracował fizycznie w tartaku, ale niebawem, ze względu na brak wykształconych Rosjan, został zatrudniony w kancelarii. Kształcił także dzieci strażników, dzięki czemu cieszył się szczególnymi względami i szybko zamieszkał u rosyjskiego osadnika, poza osiedlem katorżników. Z czasem doświadczył przemiany duchowej, okrzepł i odnalazł się w nowych warunkach.

Edmund Płoski:

„Poznałem dobrze duchowe oblicze Bronisława. Był to charakter miękki, marzycielski, podobny raczej do kobiecego niż męskiego. Dzieciństwo spędził w atmosferze dostatku, miłości marzycielskiej, w ocalałych jeszcze z dawnych czasów gdzieś niegdzie patriarchalnych stosunkach. [...] Pobył na Sachalinie,



Ajnowie. Fotografia wykonana przez Bronisława Piłsudskiego na Sachalinie.

wśród warunków pierwotnych, zetknięcie się z materiałem ludzkim na tym pierwotnym szczeblu rozwoju stojącym niewątpliwie popchnęło go zdecydowanie w kierunku zainteresowań socjologicznych i etnograficznych. Popchnęły go w tym kierunku nie tyle może jego uzdolnienia umysłowe, co skłonności uczuciowe, ta potrzeba serca, która go zawsze skierowywała w stronę słabszych lub upośledzonych społecznie. A takim elementem był niewątpliwie naród Ajnów, Giliaków czy innych pierwotnych ludów tej wyspy. Toteż dobrodziejstwem dla Bronisława był rozkaz osiedlenia go w głębi wyspy, w okręgu tymowskim i wyznaczenie mu na siedzibę głównego centrum tego okręgu – wsi Rykowskijskiej. I to korzystne dla niego było podwójnie, bo po pierwsze oddalił się od Aleksandrowska – stolicy wyspy, gdzie ścierały się wśród urzędników różne interesy, panowały intrygi i wzajemne denuncjacje. [...] Po drugie, na czele tymowskiego powiatu stał wówczas człowiek rozumny, prosty, sybirski kozaczy sotnik Butakow, usposobiony do politycznych skazańców życzliwie. [...] Dobrodziejstwem duchowym było wreszcie zbliżenie do tubylców, w bliskim, niemal bezpośrednim sąsiedztwie tej wsi siedzących, co dało mu możliwość poznania ich życia, zwyczajów, a nawet nieco ich języka. Od początku wyróżnia się od ogółu więźniów nie tylko wykształceniem, lecz również tym, że miał dobre serce, był bardziej sentymentalny i wśród więźniów cieszył się największą sympatią”.

Antoni Kuczyński, „Bronisław Piłsudski (1866–1918).
Zesłaniec i badacz kultury ludów Dalekiego Wschodu”

JRC: W tym momencie warto podkreślić wysoki etos ziemianstwa polskiego na Litwie i solidne wykształcenie z naciskiem na bycie użytecznym społecznie. W całym XIX w. widoczna jest ta wewnętrzna motywacja do pracy z myślą o społeczeństwie. Z tej warstwy społecznej wywodziła się postępową inteligencją. Nic więc dziwnego, że Bronisław na Sachalinie od razu starał się poznać języki narodów rdzennie zamieszkujących te tereny, czyli języki Giliaków i Ajnów. Ten ostatni był *lingua franca* dla plemion Sachalinu, zajmujących się rybołówstwem, polowaniem, obróbką skór i wymianą tych towarów. W owym okresie zachodzi zmiana polityki caratu wobec ludności rdzennej. Aby skuteczniej i szybciej zagospodarowywać Daleki Wschód, Rosjanie doszli do wniosku, że trzeba zaangażować w ten proces ludność lokalną. W tym celu zarządzono spis ludności i do tego zadania wyznaczono Bronisława – ze względu na jego znajomość języka autochtonów. Dodatkowo miał dobry zmysł obserwacji przyrody i wzorowo wywiązywał się ze zleconych mu przez Rosjan badań meteorologicznych. Sumiennie prowadził zapisy, dzięki czemu z pracy kancelaryjnej w tartaku został przeniesiony do pracy w obserwatorium meteorologicznym. Przy okazji poznawał lokalną przyrodę i wykonywał pomiary geologiczne. Z tego względu miał dużą swobodę przemieszczania się. Nie można więc na Bronisława patrzeć jak na zesłańca pogrążonego w depresji, żyjącego o spleśniałym chlebie i skutego kajdanami. Miał pewnego rodzaju szczęście, bo w warunkach zesłania mógł rozwijać się intelektualnie i duchowo. Oczywiście dotkliwie odczuwał brak rodziny i rozłąkę z krajem.

Bronisław Piłsudski:

„Marząc stale o powrocie do Ojczyzny, starałem się w miarę możliwości pozbyć uciążliwej świadomości, że jestem wygnancem i znajduję się w jarzmie niewoli, będąc oderwanym od wszystkiego, co jest dla mnie bezcenne. Dlatego odczuwałem naturalną skłonność do tubylców Sachalinu, jedynych tutaj ludzi, którzy żywili szczere przywiązanie do tego kraju, będącego miejscem ich zamieszkania od niepamiętnych czasów, nienawidzonych przez tych, którzy utworzyli tu kolonię karną. Kontaktując się z tymi dziećmi natury, których przyparło do muru wtargnięcie zupełnie innej cywilizacji, rozumiałem, że korzystam z określonej siły i wzbudzam wdzięczność, bez względu na to, że nie posiadam żadnych praw. Sprawiało mi przyjemność niesienie radości i nadziei na lepszą przyszłość dla tych współplemieńców, martwiących się z powodu uciążliwości życia, które doskwierały im coraz bardziej. Szczery śmiech bawiących się dzieci, łzy wzruszenia w oczach dobrych kobiet, uśmiech wdzięczności na twarzy chorego, okrzyki uznania lub poklepywanie po ramieniu na znak, że jest przyjemnie – to był balsam, który zmniejszał ciężar mojego losu. Później, kiedy stopniowo zainteresowałem się badaniami etnograficznymi i postawiłem sobie bardziej określony cel gromadzenia materiałów, rozumiałem, jak ważną jest dla badacza znajomość języka. Bez niej nie można zbadać nawet materialnych warunków plemienia, nie mówiąc o należyтым zbadaniu wierzeń, obyczajów życia rodzinnego i plemiennego, jego przeszłości i obecnych dążeń”.

Antoni Kuczyński, „Bronisław Piłsudski (1866–1918).

Zesłaniec i badacz kultury ludów Dalekiego Wschodu”

KB: Bronisław Piłsudski z jednej strony był zesłańcem, czyli ukaranym przestępcą, a z drugiej wykonywał pracę badawczą na zlecenie instytucji państwowych. Czyli Rosjanie, mimo zarzucanych win, uznali jego naukową użyteczność?

JRC: Tak, nawet wyposażyli go w najlepsze ówczesne specjalistyczne narzędzia, jak np. fonograf czy aparaty fotograficzne. Wiedział, że jego praca jest potrzebna. W marcu 1899 r., na zlecenie Towarzystwa Badań Regionu Amurskiego (oddział Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego), został kustoszem muzeum we Władywostoku i był współautorem ekspozycji przygotowywanej na światową wystawę w Paryżu w 1900 r. Dwa lata później, jako wysłannik Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu, powrócił na Sachalin, by badać kulturę Ajnów. Żył się z nimi do tego stopnia, że na Sachalinie, w wiosce Ai-kotan (Sowietskoje), ożenił się według miejscowych zwyczajów z przedstawicielką Ajnów, zwaną Chuhsamma (japońskie imię: Shinhinchō, zm. 1936 r.). Miał z nią syna Sukezō (późniejsze japońskie nazwisko: Kimura, zm. 1971 r.) i córkę Kiyo (zm. 1984 r.), która urodziła się już po jego ucieczce, spowodowanej wojną rosyjsko-japońską i zwycięstwem Japonii (Piłsudski podczas tej wojny przebywał na badaniach w Japonii). Gdy jesienią 1905 r. opuszczał ostatecznie Sachalin, nie zabrał swojej ajnuskiej

rodziny, gdyż stryj żony – jako przywódca rodu – nie wydał na to zgody ze względu na ciężę Chuhsammy. Piłsudski nigdy już ich nie zobaczył i nie miał z nimi żadnego kontaktu. Józef Piłsudski po latach wysyłał dyplomatów, którzy mieli namówić rodzinę brata na wyjazd do Polski. Jednak nie chcieli oni opuścić Hokkaido, gdzie już wówczas mieszkali. Tak więc potomkowie Bronisława żyją obecnie w Japonii. Ta decyzja o rozstaniu, z pozoru brutalna, była w gruncie rzeczy właściwa dla jego żony i dzieci, bo cóż by dobrego mogło ich spotkać w Galicji, zważywszy na późniejsze losy Piłsudskiego? Był bez grosza przy duszy, w tak trudnym położeniu, że nawet w jego korespondencji możemy znaleźć wyznania o konieczności dobrego ożenku ze względów finansowych.

KB: Można by rzec, że wraz z wyjazdem z Sachalinu skończył się jego szczęśliwy okres...

JRC: W Galicji, do której dotarł przez Amerykę, czekały na niego same niepowodzenia i rozczarowania. Okazało się, że jego wiedzy nikt tutaj nie potrzebuje. Musiał sprzedawać swoje dzieła: opisy, artefakty i część nagrań na wałkach woskowych. Jego listy do Akademii Umiejętności w Krakowie, pisane jeszcze z Sachalinu, pozostawały bez odpowiedzi. Jedyni, którzy się zainteresowali wynikami jego pracy na Sachalinie, to Rosjanie z Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu. Przede wszystkim Bronisław nie miał wyższego wykształcenia, więc pomimo osiągnięć etnograficznych żadna uczelnia, krakowska czy lwowska, nie mogła zatrudnić go jako wykładowcy. Jego prace badawcze były uznane za hermetyczne i nie wzbudzały wielkiego zainteresowania. Tym niemniej na zlecenie Towarzystwa Tatrzańskiego rozpoczął pracę badawczą nad ludnością Podhala i Spiszu. Używał swojego warsztatu etnograficznego, między innymi prowadząc i nagrywając rozmowy z miejscowymi. Odkrył jedność i unikatowość tego regionu. Pracował ze Stanisławem Witkiewiczem nad założeniami projektowymi gmachu Muzeum Tatrzańskiego i ekspozycją etnograficzną. Napisał wartościowy artykuł o muzealnictwie etnograficznym. Był inicjatorem „Rocznika Podhalańskiego”. Niestety, przygotowany przez niego pierwszy numer tego pisma ukazał się po jego śmierci. Nie miał w kraju stałego zatrudnienia, choć przez pewien okres był sekretarzem Sekcji Etnograficznej Komisji Antropologicznej Polskiej Akademii Umiejętności.

Bronisław Piłsudski:

„W kraju formuły są ważniejsze od istoty rzeczy. Dla uczącego się jestem za stary, dla uczonego brak mi stopni naukowych. A jednak jestem jednym i drugim obecnie. Czuję się Polakiem, za granicą jestem nawet podziwianym Polakiem, a dla swoich jestem zupełnie niepotrzebną rzeczą, najwyżej żebrakiem, który kęsek chleba może wyprosić!”

Antoni Kuczyński, „Bronisław Piłsudski (1866–1918).

Zesłaniec i badacz kultury ludów Dalekiego Wschodu”



© KAMIL BROSZKO, BROSZKO.COM

Jadwiga Rodowicz-Czechowska

(ur. 1954 r.) – doktor nauk humanistycznych, absolwentka japonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przebywała na stypendium japońskiego Ministerstwa Edukacji, studiowała na Uniwersytecie Tokijskim i poznawała sztukę nō pod kierunkiem Kanze Tetsunojo VIII. Podróżowała po Japonii w celu badania tradycyjnych sztuk widowiskowych. Współpracowała z Teatrem Laboratorium w okresie jego prac nad kulturą czynną. W 1982 r. na Uniwersytecie Warszawskim obroniła pracę doktorską poświęconą rzemiosłu aktorskiemu w nō. W latach 1980–1990 pracowała w Ośrodku Praktyk Teatralnych „Gardzienice” jako aktorka i współorganizatorka wybranych przedsięwzięć. Była adiunktem w Zakładzie Japonistyki i Koreanistyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Warszawie. W latach 1994–2012 pracowała

w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w latach 2008–2012 jako ambasador RP w Japonii. W Polsce ukazały się trzy jej książki: „Pięć wcieleń kobiety w teatrze nō” (1993), „Aktor doskonały” (2000) i „Boski dwumian. Przenikanie rzeczywistości w teatrze nō” (2009, Instytut Grotowskiego), a także artykuły w „Dialogu” i „Didaskaliach”. Za granicą publikowała w „The Drama Review” i periodykach japońskich. Zainicjowała w Polsce i kontuuje prace nad teatrem nō, tłumaczyła pisma Zeamiiego Motokiyo, jest autorką dwóch pierwszych w tradycji polskiego teatru sztuk w konwencji nō: „Stroiciel fortepianu” (premiera w Warszawie i w Tokio w 2011 r.) i „Chinkon. Ukojenie dusz” (premiera podczas Olimpiady Teatralnej). Jej debiutem reżyserskim było „Umilowanie” według opowiadania Yukio Mishimy w Teatrze Pieśń Kozła w 2015 r. Obecnie pracuje w Instytucie Sztuki PAN i Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Warszawie.

KB: Czy Bronisław włączył się w ruch niepodległościowy? Wszak był bratem Józefa...

JRC: Próbował się przydać w działalności niepodległościowej, ale jako zwolennik Dmowskiego był odległy w swoich poglądach od orientacji socjalistycznej, prezentowanej przez Józefa. Podziwiał brata, bardzo go kochał i ufał mu nieskończenie, ale do wojska nie wstąpił. Był człowiekiem zbyt dobrym i delikatnym, żeby móc ogniem i żelazem wypalać zbrodnie tego świata.

Pracował w paryskim biurze Komitetu Narodowego Polskiego, założonym w 1917 r. przez Romana Dmowskiego. Wdał się w tragiczny związek z młodzieńczą miłością, Marią Żarnowską z d. Baniewicz. Choć była wówczas w separacji z mężem, przedstawiał ją jako swoją żonę. Niestety, u Marii zdiagnozowano raka piersi, w wyniku którego zmarła w 1911 r.; ostatnie miesiące spędziła w Petersburgu. Bronisław nie mógł jednak pojechać do Petersburga czy domu w Wilnie, gdyż opuścił Sachalin bez zezwolenia władz rosyjskich. Wszystkie te wydarzenia spowodowały u niego głęboką depresję, która nieleczone była powodem samobójczej śmierci w wodach Sekwany w Paryżu. I tak oto Bronisław Piłsudski, wielki patriota, marzący o wolnej ojczyźnie, nie doczekał niepodległości Polski.

KB: Zdaje się, że w rodzinie Piłsudskich bywały skłonności do melancholii, jak to się wtedy zwykło mawiać. Nawet takie kontrolowane stany miewał Józef.

JRC: Mogło to wynikać również z przyczyn prozaicznych: niezdrowego trybu życia, fatalnego odżywiania, palenia tytoniu. O ile młody organizm jest w stanie znieść takie obciążenia, o tyle wraz z wiekiem przestaje sobie dawać radę. Tym bardziej, kiedy mierzy się z bólami świata wielkiej polityki i ambitnych planów. Bronisław był subtelniejszy od Józefa, który wybrał drogę żołnierza, więc zaprawił się do walki i twardego życia.

KB: Uczyniła pani z postaci Bronisława Piłsudskiego swoisty pomost we współczesnych relacjach między Polską i Japonią. Jak tam odbierany jest jego dorobek naukowy?

JRC: Jest uznawany za ważnego badacza – etnografa, antropologa i językoznawcę mniejszości ajnuskiej, która z początkiem tego wieku została wreszcie uznana w Japonii za ludność rdzenną. Lud ten przeszedł długą i trudną drogę. Najpierw, za czasów Rosji, nastąpiła degradacja Ajnów na Sachalinie; potem, na początku XX w., zmuszono ich do przesiedlenia się z Sachalinu na wyspę Hokkaido do Japonii, gdzie byli bardzo źle traktowani przez ówczesne władze i masowo chorowali. Dość powiedzieć, że dopiero teraz Uniwersytet Hokkaido zdecydował się przekazać szczątki czaszki stryja żony Piłsudskiego w ręce Kimury Kazuyasu z Jokohamy, prawnuka Bronisława Piłsudskiego (potomka męskiego w linii prostej, który ma prawo nosić nazwisko Piłsudski). Do tej pory kości tubylców były traktowane jako obiekty badawcze. Dopiero teraz prawnuk Piłsudskiego może je pochować jako szczątki swojego przodka.

Japończycy uznają jakość i doniosłość badań Piłsudskiego, do tego stopnia, że nawet figuruje on w podręcznikach. W 2013 r. w Muzeum Ajnów w Shiraoi na wyspie Hokkaido odsłonięto pomnik ku jego czci. Powstał dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP, Ambasady RP w Tokio oraz Instytutu Polskiego w Tokio. W wydarzeniu wzięło udział kilkadziesiąt osób, w tym wnuk Bronisława Piłsudskiego i syn Sukezō – Kimura Kazuyasu (ur. 1955 r.). Do roku 2020 ma tam powstać światowe centrum kultury Ajnów, sfinansowane przez rząd Japonii. Będzie to rok olimpiady w Tokio, co wiąże się ze wzmożonym ruchem turystycznym. Nadarzy się więc okazja, aby opowiedzieć światu o Bronisławie Piłsudskim. Ważne, że Kimura Kazuyasu rozpoznaje w sobie polskość, jest nią zaintrygowany i nie jest ona dla nie-

go obciążeniem. A przecież jeszcze jego ojciec był w Japonii uznawany za podwójnie obcego, pochodził bowiem od Ajnów i od gajina, czyli „człowieka białego, który nigdy nie dorówna Japończykowi”.

Od początku lat 80. XX w. w Japonii, Rosji i Polsce trwają prace nad zebraniem, dokumentacją i oceną całego dorobku Bronisława Piłsudskiego. Popularyzacji jego dokonań i uczczenia samego zesłańca w naszym kraju podjął się m.in. prof. Antoni Kuczyński, specjalizujący się w dziejach sybiraków, i językoznawca prof. Alfred Majewicz. W 1991 r. na dziedzińcu Obwodowego Muzeum Krajoznawczego na Sachalinie postawiono pomnik upamiętniający Bronisława. W 1997 r. w Jużnosachalińsku powstał Instytut Naukowego Dziedzictwa Bronisława Piłsudskiego. Rosjanie uważają go za wybitnego rosyjskiego badacza. Ja uważam, że dzieło Bronisława należy do dziedzictwa wzajemnego narodów: polskiego, rosyjskiego, ajnuskiego. W 2000 r. odsłonięto jego symboliczny grób na Cmentarzu Zasłużonych na Pęskowym Brzyzku w Zakopanem. Złożono tam ziemię z francuskiego grobu Polaka, którą pobrano w 1999 r. dzięki staraniom Ośrodka Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego.

KB: Co zatem możemy powiedzieć o Bronisławie Piłsudskim tytułem podsumowania?

JRC: Oceniając daną postać historyczną, zawsze warto mieć na uwadze, jak mówili o niej współcześni. O Bronisławie mówiono, że był niezwykle dobrym, wesołym i uczynnym człowiekiem, o dziecięcym sercu. I dzieci Ignęły do niego; organizował im szkoły, tworzył programy kształcenia, ale też od nich uczył się języka. Pokazał Ajnom, jak konserwować mięso i ryby poprzez solenie, jak uprawiać warzywa i owoce. Zdobywał zaufanie kobiet, często z nimi przebywał i spisywał śpiewane przez nie pieśni. Ajnowie dopuścili go do obrzędów religijnych. Jak pisał do ojca, zbliżył się do tego ludu, „bo jest prosty, słaby i wymagający pomocy”. To była jego główna cecha: zwracanie się ku słabszym, aby im pomóc, a nie wykorzystać. Stał się zawsze odpłacić dobrem, nawet za doznane krzywdy. Taki etos wywodzi się z chrześcijaństwa: spragnionego napoić, głodnego nakarmić. Zaś potrzeba bycia użytecznym nakazywała mu opisać zwyczaje i język Ajnów. Oczywiście jako zesłaniec był postrzegany przez rdzenną ludność przychylniej niż kolonizatorzy. Ale nawet zesłańcy, którzy po odbyciu katorgi osiedlali się na tamtych ziemiach, wypierali rdzennych mieszkańców z najlepszych łowisk czy terenów. Piłsudski zdawał sobie sprawę, że jest częścią cywilizacji, która zawłaszcza i niszczy tamtejszą kulturę i środowisko.

Z pobudek patriotycznych pragnął powrotu do Polski. Przeczuwał, że wraz z upadkiem monarchii będą rodziły się państwa narodowe, i wierzył, że państwo polskie odrodzi się w unii z Litwą. Tymczasem istniała wielka wrogość pomiędzy oboma narodami, które dodatkowo były przedmiotem rozgrywki wielkich sił politycznych. W końcu rozumiał, że wymarzone odrodzenie polsko-litewskie nigdy się nie urzeczywistni.

Ślad zakopiański

Lesław Dall: Bronisław Piłsudski wyruszył z Sachalinu do Europy. Najpierw płynął statkiem przez Japonię do Kanady, później jechał koleją przez USA, by w końcu, znów statkiem, dotrzeć do Europy. Ta podróż była możliwa dzięki funduszowi dla katorżników, stworzonemu przez socjalistów, który miał finansować ucieczki i transport zesłańców politycznych. Bronisław skorzystał z tego funduszu dzięki wstawiennictwu brata Józefa, z którym był bardzo zżyty. Gdy dotarł do Europy, najpierw trafił do Londynu, a później do Paryża, gdzie gościł u Wacława Sieroszewskiego. Stamtąd pociągiem przedostał się przez Niemcy do Zakopanego. Bronisław opuścił terytorium rosyjskie bez zgody władz, zatem nie mógł wrócić do domu w Wilnie. Pod Tatrami miał podreperować zdrowie, gdyż wskutek ciężkich warunków zesłania zachorował na żołądek i prawdopodobnie na cukrzycę. Początkowo mieszkał razem z Józefem w chacie Tomka Chyca Olesiaka, później wypoczywał w pensjonacie Hygea przy Karpówkach (dziś Hotel Kasprowy). Spotyka Stanisława Witkiewicza, uważanego za nauczyciela narodu polskiego, któremu każdy, kto przyjeżdżał do Zakopanego, czuł się w obowiązku oddać hołd. Rody Piłsudskich i Witkiewiczów były spokrewnione, a daleko od rodzinnej Litwy owo pokrewieństwo nabierało szczególnego znaczenia. To lektura „Na przełęcz” autorstwa Stanisława Witkiewicza wprowadziła Bronisława w świat mieszkańców Podhala. Odwiedził Muzeum Tatrzańskie (w księdze gości widnieje jego wpis z 1906 r.), które wówczas mieściło się w dwuizbowej chałupie opodal pomnika Tytusa Chałubińskiego i Sabały. W jednej izbie znajdowała się ekspozycja poświęcona życiu górali, a w drugiej – przyrodzie Podhala.

Bracia razem pojechali do Krakowa i zamieszkali w mieszkaniu Józefa. Bronisław odwiedził Zakopane w celach leczniczych w 1907 i 1908 r., ale na stałe mieszkał w Krakowie i Lwowie. W 1911 r. powraca jednak do stolicy Tatr. Rozpoczyna badania etnograficzne nad ludem Podhala, wyposażony w niewielkie fundusze i glejt Akademii Umiejętności w Krakowie, który gwarantuje mu pomoc władz. Był genialnym samoukiem w dziedzinie etnografii, zaś doświadczenie zdobył, badając lud Ajnów i pracując w muzeum we Władywostoku. W Zakopanem skupił wokół siebie entuzjastów wywodzących się z inteligencji, ale też zyskał przychylność górali. Założył Sekcję Ludoznawczą Towarzystwa Tatrzańskiego. Wcześniej działało w niej wielu badaczy Podhala, kolekcjonujących elementy sztuki ludowej według własnych upodobań i do własnych zbiorów. Dopiero Bronisław nadał temu formalne ramy, tworząc statut sekcji. Od tej pory w sposób usystematyzowany zbierano przedmioty dokumentujące całokształt życia górali i przeznaczano je na potrzeby ekspozycji Muzeum Tatrzańskiego. Bronisław wchodził w skład zarządu Towarzystwa Muzeum Tatrzańskiego i zaczynał pracę nad sklasyfikowaniem i opisaniem istniejących już eksponatów. Na karteczkach własnoręcznie tworzył opisy,

Portret Bronisława Piłsudskiego, wykonany w 1912 r. przez Adomasa Varnasa (1879–1979).



RAFAŁ JABLONSKI-ZELEK/MUZELUM TATRZAŃSKIE

które zachowały się po dziś dzień. Wędrował od wsi do wsi, nie tylko zbierał przedmioty, ale także spisywał słownictwo i opisywał zwyczaje. W owym czasie chrześcijaństwo przenikało się z kulturą pierwotną. Jej śladów Bronisław szukał w obyczajowości i codziennej obrzędowości. Zdobył wielki szacunek i zaufanie górali, bowiem uważał – i dawał temu wyraz – że wytwory ich pracy i rzemiosła są cenne i warte zachowania. Podobnie jak na Sachalinie, był odbierany jako niezwykle miły, taktowny i uprzejmy człowiek, który nigdy nie wchodził w konflikty. Zjeżdżał sobie nawet generałową Zamoyską, u której przez pewien czas mieszkał w Kuźnicach – tam opracowywał swoje zbiory. Generałowa nie znosiła rezydentów, ale Bronisława traktowała w sposób wyjątkowy – jako katorżnika, zesłańca, delikatnego człowieka o wielkiej kulturze.

Bronisław pracuje zatem wytrwale, tworzy memoriał dla Muzeum Tatrzańskiego, w którym określa zakres badawczy uwzględniający wszystkie mniejszości etniczne zamieszkujące ziemię Podhala, a więc górali, Żydów i Cyganów. Zakłada „Rocznik Podhalański” i zbiera do niego materiały naukowe (drukem ukazuje się już po odzyskaniu niepodległości jako pierwszy numer czasopisma Muzeum Tatrzańskiego). Bronisław Piłsudski jest traktowany jako jeden z ojców założycieli Muzeum Tatrzańskiego, który wytyczył kierunek naukowy. Jego uczeń Juliusz Zborowski, późniejszy dyrektor Muzeum, pracując przez kilkadziesiąt lat, doprowadza je do obecnego kształtu. Według wizji Bronisława Muzeum Tatrzańskie musi mieć charakter narodowy. Uważał, że skoro do Zakopanego przyjeżdżają Polacy z trzech zaborów, to nie można prezentować jedynie regionalnej kultury i przyrody. Trzeba je pokazać jako element dziedzictwa narodowego i tym

samym podnosić ich rangę. To się faktycznie dokonało – modernizm, a szczególnie styl art déco, pełnymi garściami czerpał z góralszczyzny. Po dziś dzień Zakopane zachowało swoją kulturę materialną i niematerialną (jak choćby gwarę podhalańską).

W 1914 r. wybucha pierwsza wojna światowa. Bronisław przebywa w Krakowie, a do bram miasta zbliżają się Rosjanie – stoją już w Wieliczce. Kraków zostaje ogłoszony twierdzą, co oznaczało, że wszyscy mieszkańcy niezaangażowani w obronę miasta i bez odpowiednich zapasów żywności powinni je opuścić. Trzeba pamiętać, że Piłsudski miał obywatelstwo rosyjskie, więc mógł być uważany za szpiega, poza tym obawiał się nadejścia Rosjan ze względu na nielegalne opuszczenie Sachalinu. Wyjeżdża więc przez Zakopane do Wiednia, gdzie stara się o paszport do Szwajcarii, kraju neutralnego. Przebywa tam do 1917 r., do wybuchu rewolucji w Rosji. Wtedy w ambasadzie nowego rządu rosyjskiego dostaje paszport do Paryża, który wówczas pełnił rolę centrum polskiego życia politycznego.

Śmierć Bronisława Piłsudskiego w odmętach Sekwany francuska policja uznała za samobójstwo, wielu zaś – za nieszczęśliwy wypadek. Aby lepiej zrozumieć kontekst tego zdarzenia, trzeba pamiętać o kilku faktach. Jest maj 1918 r., ukochany brat i autorytet siedzi w więzieniu, Litwa ogłasza niepodległość, a Bronisław, czując się Polakiem i Litwinem, rozumie, że jego marzenie o państwie obu narodów się nie urzeczywistni. Splot tych wszystkich okoliczności spowodował u niego załamanie o podłożu depresyjnym. Gdyby był otoczony rodziną, ta śmierć mogłaby się nie zdarzyć. Gdyby trochę poczekał, jego brat wyszedłby z więzienia, a ojczyzna odzyskała niepodległość.

Lesław Dall – historyk, regionalista

Rzeczpospolita Zakopiańska

W przededniu niepodległej Polski



Stefan Żeromski

Powierzono mi niemal dyktaturę nad Zakopanem i przyległymi dolinkami. Sprawowałem ten zapomniany, śmieszny i wzniosły urząd przez 11 dni, gdy mama Austria waliła się w gruzy. Zaprzysiągłem uroczystie wojsko, policję, szpicli, gminę, pocztę i telegraf na wierność naszemu państwu, a nawet prowadziłem wojnę o odzyskanie wsi Głodówka i Sucha Góra od inwazji czeskiej. Mile wspominałem te moje przewagi wojenne i obywatelskie, gdyż zawierają morze wesela.

Stefan Żeromski, 1925 r.

© MUZEUM TATRZAŃSKIE

O roli, jaką odegrała stolica Tatr w odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Józefie Piłsudskim, który w Zakopanem konspirował i wypoczywał, oraz o niezwyklej funkcji Stefana Żeromskiego z **Lesławem Dallem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Czy Zakopane i Podhale miały istotny udział w odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r.?

Lesław Dall: W 1912 r. w Zakopanem w ciągu dwóch dni obiad uchwalono powstanie Polskiego Skarbu Wojskowego. To jest właściwy początek irredenty, bo wszelkie ruchy niepodległościowe najlepiej się łączą poprzez finanse. W 1910 r. z inicjatywy nielegalnego Związku Walki Czynnej – aby umożliwić działania pozwalające na budowę szerszej organizacji militarnej – utworzone zostały legalne organizacje o charakterze paramilitarnym: Związek Strzelecki we Lwowie oraz Towarzystwo „Strzelec” w Krakowie. Działały także Polskie Drużyny Strzeleckie. Każda z tych organizacji starała się przejąć przewodnią rolę. Dopiero jednak uchwalenie Skarbu pozwoliło posunąć sprawę naprzód. Zaproszono nie tylko działaczy politycznych, ale także ludzi kultury, którzy poprzez swoje nazwiska byli gwarancją wysokiej rangi tego ruchu. I tak w tym kręgu znaleźli się Stefan Żeromski, Tadeusz Miciński czy Andrzej Strug. W owym czasie Józef Piłsudski – późniejszy naczelnik państwa i marszałek, który zdominował historię Polski I połowy XX w. – był mało znanym, jednym z kilkunastu działaczy ruchu lewicowego. Kiedy przyjechał do Zakopanego w 1914 r. jako brygadier, zgolił brodę i sfotografował się w pozie napoleońskiej; owa fotografia posłużyła do wykonania widokówki z podobizną przyszłego wodza Polski. Bardziej znany był wtedy Józef Haller, dowódca II Brygady Legionów Polskich, ale ostatecznie nie miał takiego autorytetu, aby porwać za sobą nie tylko swoich zwolenników, ale i całe społeczeństwo.



Związek Strzelecki, ćwiczenia w Zakopanem. Na czele kolumny idą Józef Piłsudski (z lewej) i Kazimierz Sosnkowski (z prawej), kompanię prowadzi Mieczysław Ryś-Trojanowski.

KB: Marszałek wcześniej też odwiedzał Zakopane?

LD: Przybył tutaj po raz pierwszy w 1901 r. Józef Piłsudski chciał wypocząć w górach, bowiem był wyczerpany więzieniem w Cytadeli Warszawskiej. Ucieczka była niemożliwa i groziła bezterminowym zesłaniem na katorgę. Wymyślono więc, że będzie udawał chorego umysłowo i zostanie skierowany na badania do szpitala w Petersburgu, a stamtąd zbiegnie do Galicji. Przebywa to w Krakowie, to we Lwowie, a w końcu udaje się na trzymiesięczne wakacje do Zakopanego wraz z pierwszą żoną Marią i pasierbicą Wandą Juszkiewiczówną. Potem będzie tutaj organizował narady Polskiej Partii Socjalistycznej i Organizacji Bojowej PPS, uznając Zakopane pod zaborem austriackim za miejsce stosunkowo bezpieczne, gdzie żandarmi zajęci byli raczej sprawami kradzieży kur. Ponadto, jako miejsce wypoczynku wielu ludzi z różnych stron, Zakopane dawało szansę, by stać się niewidocznym w tłumie. Kiedy Bronisław Piłsudski dociera do Paryża po 19 latach zesłania na Sachalinie, młodszy brat Józef pisze do niego list, w którym zachęca do jak najszybszego przybycia do Zakopanego. Podaje mu adres chaty Tomka Chyca Oleśniaka, w której sam mieszkał, kiedy zakładał Polski Skarb Wojskowy.

KB: Przełom wieków to czas, gdy sporo dzieje się w Zakopanem w aspekcie intelektualnym. Czy Józef Piłsudski był częścią środowiska bohemy zakopiańskiej?

LD: Nie uczestniczył w życiu intelektualno-kulturalnym Zakopanego, bo stale zajmował się konspiracją, mając wokół siebie Sieroszewskiego, Daniłowskiego i Żeromskiego. Po raz pierwszy pod własnym nazwiskiem wystąpił publicznie w 1913 r. podczas przemarszu ulicami Zakopanego oddziałów Szkoły Strzeleckiej ze Stróży. W sierpniu, w szczycie sezonu letniego, kuracjusze po raz pierwszy od upadku powstania styczniowego zobaczyli polskie wojsko, umundurowane i uzbrojone w karabiny. Oddział należał do Strzelca, mundury były specjalnie zaprojektowane i sfinansowane przez Polski Skarb Wojskowy, a częściowo też przez samych uczestników kursu oficerskiego. Powstała nawet wyjątkowo cenna – bo wyprodukowana tylko w 64 egzemplarzach – odznaka ukończenia kursu oficerskiego, tzw.



Od lewej: Antoni Kuczewski, Borys Wigilew, Stefan Żeromski, Zefir Ćwikliński, Władysław Skoczylas, Mieczysław Jakimowicz, Kazimierz Brzeziński, Włodzimierz Momentowicz. Zakopane, 1916 r.

parasol, zaprojektowana przez Włodzimierza Tetmajera. Piłsudski rzadko nosił odznaczenia, ale „parasol” – zawsze. W hotelu Morskie Oko wygłosił odczyt „Kryzysy w boju”, napisany pod wpływem wojny rosyjsko-japońskiej, który cieszył się tak ogromnym zainteresowaniem, że zabrakło nawet miejsc stojących. Rozważał, dlaczego mała Japonia powaliła na kolana wielkiego kolosa, jakim była ówczesna Rosja, która wywierała wielki wpływ na politykę światową i europejską. Argumentował, że nie siła, a wola daje zwycięstwo.

KB: Nie wszystkie fakty związane ze współpracą Piłsudskiego z Austriakami są jasne dla historyków, w każdym razie pobyt w Zakopanem mógł sprzyjać takiej współpracy.

LD: Piłsudski współpracował z Austriakami, aby utrzymać legalność brygad ruchu strzeleckiego i w ten sposób móc de facto przygotować polskich żołnierzy do walki o niepodległość. Natomiast

Przysięga oficerów złożona na wierność Polsce zrzucającej jarzmo wiekowej niewoli.
Rynek zakopiański, 1918 r.



© MUZEUM TATRZAŃSKIE

zachował w konspiracji Związek Walki Czynnej. W gremiach niepodległościowych często dyskutowano, jak się szkolić militarnie. Byli zwolennicy ochotniczego wstępowania do armii austriackiej i przechodzenia tam przeszkolenia wojskowego w ramach dobrze organizowanych kursów oficerskich. Jednakże takie szkolenie byłoby siłą rzeczy pozbawione elementu wychowania ideowego. Zaś polska armia miała być ochotnicza i obywatelska, bez różnic pomiędzy szeregowcami i oficerami. Choćby dlatego, że często szeregowcami byli znamienici ludzie, jak pisarz Gustaw Daniłowski. Oczywiście w trakcie ćwiczeń panowała ostra dyscyplina wojskowa, ale po zajęciach wszyscy spotykali się w restauracji i poklepywali po ramionach.

KB: Jakie nastroje panowały w Zakopanem na przełomie października i listopada 1918 r.?

LD: Od 1914 r. Zakopane czekało na niepodległą Polskę. Stąd wyruszyły trzy oddziały ochotników do Legionów Polskich, tutaj znajdowała się intendentura Legionów, a w czasie wojny w Zakopanem organizowano szpitale, w których leczono rannych legionistów. W 1918 r. klęska Austrii była oczywista, więc w Zakopanem przygotowywano się do pokojowego przejęcia władzy, aby nie doszło do rozruchów, tumultu i rabowania magazynów przez wygłodzonych wojną mieszkańców. Inicjatorem przejęcia władzy była endecja, która powierzyła Medardowi Kozłowskiemu powołanie Organizacji Narodowej (ON). Początki były trudne, endecja liczyła zaledwie pięciu członków. Zwołano wiec, a na jego przewodniczącego wybrano Stefana Żeromskiego. Pisarz całą wojnę spędził w Zakopanem, był wielkim społecznikiem i uznawanym przez wszystkich autorytetem. 13 października 1918 r. w sali Sokoła zgromadziło się 200 osób. Wybrano Radę Narodową z Żeromskim na czele. Zadbano, aby wszystkie siły polityczne i warstwy społeczne miały swoich przedstawicieli w Organizacji Narodowej, dlatego liczyła ona ponad 50 członków. Wielką rolę odegrał Franciszek Pawlica, przewodniczący Związku Górali, który cieszył się olbrzymim autorytetem i został wiceprzewodniczącym ON. Dzięki temu w Zakopanem nie dochodziło do ata-

ków ludności na magazyny żywnościowe, co zdarzało się w innych miejscowościach, np. w Nowym Targu. Lewicę niepodległościową reprezentował rotmistrz Legionów Mariusz Zaruski, narciarz i zdobywca szczytów, pierwszy naczelnik TOPR i wielki społecznik. Ważną postacią w ON był także Wincenty Szymborski, rządcą dóbr hrabiego Zamoyskiego, ojciec przyszłej noblistki, Wisławy Szymborskiej.

Jednocześnie, niezależnie od Organizacji Narodowej, zawiązała się tajna organizacja około 600 oficerów polskich, którzy służyli w armii austriackiej i przebywali na leczeniu w szpitalu Czerwonego Krzyża w Zakopanem. Wczesnym rankiem 31 października tajny komitet oficerski doprowadził do rozbrojenia kompanii austriackiej. Musiano posłużyć się fortelem, bowiem polscy oficerowie posiadali jedynie dwie szable, zaś dowódca konspiratorów Marian Bolesławisz miał jeszcze pożyczonego browninga. Każdego ranka kompania wartownicza ćwiczyła pod kierunkiem podporucznika austriackiego. Bolesławisz jako porucznik wydał rozkaz, że dziś on przejmie musztrę, i zarządził złożenie broni w kozły oraz bieg. Kiedy kompania odbiegła wystarczająco daleko od karabinów, objaśnił żołnierzom, że teraz Polacy przejmują władzę. Polakom kazał powrócić po karabiny, a reszta została zatrzymana w szpitalu, skąd po kilku dniach aresztanci wyjechali pociągami do domów. Następnie delegacja oficerów, na czele której stali Marian Bolesławisz i lekarz dr Gustaw Novotny, udaje się do Medarda Kozłowskiego, a następnie do Stefana Żeromskiego, mieszkającego w pięknej willi Władysława, nazwanej później zakopiańskim Belwederem (dzisiaj Czerwony Dwór). Zastają go podczas lekcji dawanych córce. Zameldowali, że przejęli władzę wojskową w Zakopanem, a teraz oddają się do dyspozycji Organizacji Narodowej. W trakcie przewrotu wojskowego opanowano nie tylko szpital, ale też budynek żandarmerii (gdzie stacjonowali Ukraińcy, którym sprawy polskie nie były bliskie), pocztę, telegraf i dworzec kolejowy. Żeromski natychmiast zwołuje posiedzenie Organizacji Narodowej, a następnego dnia, 1 listopada 1918 r., zdecydowano o przekształceniu ON w Radę Narodową i złożeniu przysięgi na wierność państwu polskiemu i władzom w Warszawie, których jeszcze de facto nie było, bo Józef Piłsudski wciąż przebywał w więzieniu w Magdeburgu.

2 listopada wojsko polskie, ubrane w mundury austriackie, ale z piętymi biało-amarantowymi kokardami, złożyło przysięgę na rynku (dzisiejszy plac Niepodległości), przed pomnikiem Grunwaldzkim z popiersiem Jagiełły. Ponieważ nie było tekstu przysięgi, Żeromski sam ją napisał (zachowała się kartka w kratkę, kilka razy złożona) i odczytał, a za nim tekst przysięgi powtarzali żołnierze. Tak powstała Rzeczpospolita Zakopiańska. Żeromski przejął władzę polityczną, zapewnił bezpieczeństwo, wysłał też pociągiem do Suchej Góry po stronie słowackiej niewielkie oddziały, które zajęły dwie wsie: Suchą Górę i Głodówkę, aby zaznaczyć, że państwo polskie rości sobie do nich prawo. 16 listopada Rada Narodowa rozwiązuje się i oddaje do dyspozycji Polskiej Komisji Likwidacyjnej w Krakowie. Wysłannik z Zakopanego pojechał do Daszyńskiego z zapytaniem, co mają robić, na co ten odparł: „Radźcie sobie sami. My mamy tu tyle spraw na głowie!"; miał na myśli choćby wysłanie polskich oddziałów na odsiecz Lwowa. Zakopane nie miało znaczenia militarnego czy też strategicznego, toteż Kraków nie musiał się tutaj angażować. Dlatego w Zakopanem Rada Narodowa przez ponad dwa tygodnie samodzielnie sprawowała władzę polityczną.

KB: Choć Żeromskiego i Zakopane znają wszyscy Polacy, związki między literatem i miastem nie są już takie oczywiste.

LD: Zakopane nie doceniło dostatecznie postaci Stefana Żeromskiego, nie przyznano mu nawet obywatelstwa honorowego. Kiedy w 1919 r., po raz pierwszy w niepodległej Polsce, obchodzono święto Konstytucji 3 maja, w Zakopanem były ponadmetrowe zasypy śniegu, więc na rynku Kompania Wysokogórska Wojska Polskiego wybudowała z bloków lodu ołtarz. Na te obchody zaproszono Żeromskiego, który przybył z całą rodziną. Jego córka Monika wspomina: „Wszystko było białe, i ten ksiądz, i ołtarz, i góry". Wtedy też Medard Kozłowski, sekretarz Rady Narodowej, wydarzenia 1918 r. określił po raz pierwszy jako Rzeczpospolita Zakopiańska. Tuż przed drugą wojną światową, w 1938 r., imieniem Żeromskiego nazwano małą uliczkę dochodzącą do rynku. Po 1945 r. nie powrócono do tej nazwy. Obecnie ulica Żeromskiego znajduje się niedaleko skoczni narciarskiej, ale nie utrwaliło się to jeszcze w świadomości mieszkańców. Na willi Czerwony Dwór powieszono tablicę informującą, że mieszkał w tym domu, jego imię nosi Miejska Biblioteka Publiczna... i tylko tyle. Zakopane jest mu winne znacznie więcej.

KB: Mimo że Piłsudski w czasach konspiracyjnych w Zakopanem nie udzielał się towarzysko, miał pewne relacje ze Stanisławem Witkiewiczem. A czy portretowała go słynna Firma Portretowa Witkacego?

LD: Stanisław Witkiewicz był uznawany za nauczyciela narodu polskiego i każdy, kto przyjeżdżał do Zakopanego, czuł się w obowiązku oddać mu hołd. Rody Witkiewiczów i Piłsudskich były ze sobą spokrewnione – jak prawie wszystkie rody na Litwie. W listach Józef zwracał się do Stanisława „wujaszku" i podpisywał

„siostrzeniec". Witkiewicz stał się wielkim zwolennikiem idei niepodległościowej Józefa – komendanta. Żałował, że ze względu na wiek i chorobę nie może wstąpić do Legionów, by „choćby legionistom onuce prac i zupe gotować".

Jego syn, Stanisław Ignacy Witkiewicz, zwany Witkacym, zabiegał, aby portretować Józefa Piłsudskiego dla promocji własnej Firmy Portretowej. Nawet umówił się na pracę w Belwederze, ale kiedy przyszedł, naczelnik zadecydował, żeby najpierw sportretować jego żonę. Piłsudski przyglądał się pracy i poklepując Witkacego, powiedział: „Panie dobrodzieju, mnie pan portretować na pewno nie będziesz". Ale pozwolił na portrety córek: Wandy i Jadwigi.

Jednak wcześniej, w 1912 r., Witkacy sportretował Bronisława Piłsudskiego. Miał taki zwyczaj, że wszystkie obrazy fotografował i słał ojcu do oceny. Syn często spierał się z ojcem w różnych sprawach, ale całkowicie uznawał jego autorytet w dziedzinie malarstwa. Niestety, portret Bronisława nie spotkał się z jego aprobatą, toteż Witkacy nigdy go nie wystawił i obraz nie zachował się. Pozostała jedynie fotografia portretu. Ojciec i syn Witkiewiczowie mieli różne poglądy artystyczne i niepodległościowe. Witkacy nie zgłosił się do Legionów, z czym nie mógł się pogodzić jego ojciec. Co więcej, syn wstąpił na ochotnika do armii rosyjskiej i dzięki protekcji został przyjęty do elitarnego pułku gwardii w Petersburgu, gdzie służyli oficerowie pochodzenia szlacheckiego. Został nawet odznaczony Orderem Świętej Anny IV kl. Walczył na froncie przeciwko Legionom. Po wojnie wykazywał swoje zasługi w armii rosyjskiej, chwaląc się orderem, co wzbudzało pewien sprzeciw, gdyż istniała niepisana zasada, że Polacy nie chwalą się żadnymi odznaczeniami otrzymanymi od państw zaborczych.

KB: Jak ustalano granicę podziału Tatr w 1918 r.?

LD: Zakopane ma taki szczególny przywilej, że każde, nawet lokalne wydarzenie urasta do rangi narodowej. Prywatny spór graniczny pomiędzy magnatami hrabią Władysławem Zamoyskim i księciem Christianem Hohenlohem (poddanym pruskim) o Morskie Oko stał się formalnie sporem pomiędzy dwoma krajami, Austrią i Węgrami, ale dla Polaków miał charakter wybitnie narodowy. W 1901 r. władze austriackie i węgierskie powołały wspólnie w Grazu Międzynarodowy Sąd Rozjemczy ds. ustalenia granicy w Tatrach. Strona galicyjska w osobie Zamoyskiego żądała utrzymania dotychczasowej granicy, biegnącej z Rysów Granią Żabiego do połączenia Rybiego Potoku z Białą wodą. Węgrzy chcieli wytyczenia granicy z Rysów przez Czarny Staw pod Rysami i Morskie Oko Rybim Potokiem do jego połączenia z Białą wodą. Po obradach i wizji lokalnej sąd zakończył spór 13 września 1902 r. wyrokiem przyznającym Galicji prawie wszystkie sporne ziemie. Dzięki temu wyrokowi po pierwszej wojnie światowej wiadomo było, jak przebiegać będzie granica państwa polskiego na tym obszarze.



Lesław Dall – historyk, regionalista

To był trudny okres i fatalnie się skończył

Wojciech Morawski

(ur. 31 października 1954 r. w Legionowie) – historyk i ekonomista, profesor nauk ekonomicznych, specjalizuje się w historii gospodarczej. Kierownik Katedry Historii Gospodarczej i Społecznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. W 2006 r. uzyskał tytuł naukowy profesora. Od 2016 r. jest dziekanem Kolegium Ekonomiczno-Społecznego SGH. Jest autorem ok. 340 artykułów i kilkunastu książek, m.in. „Słownika historycznego bankowości polskiej do 1939 roku” (1998), „Zarysu powszechnej historii pieniądza i bankowości” (2002), „Kroniki kryzysów gospodarczych” (2003), „Od marki do złotego. Historii finansów Drugiej Rzeczypospolitej” (2008), „Dziejów gospodarczych Polski” (2011). Założyciel i pierwszy prezes Polskiego Towarzystwa Historii Gospodarczej.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

O gospodarce 20-lecia międzywojennego i staraniach naszych przodków, którzy próbowali sprostać ówczesnym wyzwaniom, z prof. **Wojciechem Morawskim** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Kiedy zadzwoniłem do pana profesora z prośbą o rozmowę na temat gospodarki i ekonomii w 20-leciu międzywojennym, spotkałem się ze sceptyczną reakcją...

Wojciech Morawski: Niech pan zwróci uwagę, że Polacy na różnych etapach swojego rozwoju gospodarczego zazwyczaj stawiali sobie jakiś kraj za wzór. W XIX w. staraliśmy się być tacy jak Anglia, ewentualnie jak Francja. Potem oczywiście imponowała nam Ameryka. Następnie obowiązywał narzucony wzorzec radziecki. Rządzący przynajmniej, że również Niemcy nam imponowali. Później, gdy w 1956 r. przyszedł czas reformowania socjalizmu, obowiązywał model jugosłowiański – socjalizmu samorządnego, odmiennego od wzorów radzieckich. Na tym polegała jego atrakcyjność. Potem w czasach Solidarności mieliśmy już dwa wzorce do wyboru: węgierski i jugosłowiański. Następnie przyszedł Mazowiecki i rzucił hasło społecznej gospodarki rynkowej, żywcem wzięte z RFN-u. Równocześnie Wałęsa mówił o drugiej Japonii. A dzisiaj stawiamy sobie za wzór jakieś własne ramoty sprzed 80 lat. To jest nieporozumienie, jakaś infantylna grupa rekonstrukcyjna. Naprawdę chcemy być tacy, jak w latach 30. XX w.? Ja za żadne skarby nie chciałbym do tego wracać. To był bardzo trudny okres i fatalnie się skończył, więc odzwierciedlanie go jest pozbawione sensu. Nie jest normalne mówienie o całym okresie międzywojennym, w tym o gospodarce tamtego

czasu, z nabożną czcią. Choć oczywiście powinniśmy doceniać naszych przodków, którzy tak trudnym wyzwaniom próbowali sprostać.

KB: Spróbujmy zatem wrócić do początku. Jest rok 1918, odzyskaliśmy niepodległość. Powszechna wiedza historyczna dotycząca tamtego okresu odnosi się do faktów politycznych. A jak było z gospodarką? Wiadomo, że magazyny na zboże stały puste, a przemysł był w rozsypce. Ale czy faktycznie Polacy musieli budować gospodarkę od zera, czy pewne dziedzictwo zaborów dało się przeszczepić na nowy grunt?

WM: Sytuacja w 1918 r. była bardzo trudna, ale wszyscy wokół mieli tak jak my albo gorzej. Podczas wojny byliśmy okupowani przez państwa centralne, a te miały poważne kłopoty aprowizacyjne. Po tej stronie frontu się głodowało, nie tylko w Polsce, również w Niemczech czy w Austrii. Kiedy żołnierze niemieccy dostawali się do niewoli na froncie zachodnim, to oczywiście było im smutno, ale w końcu mogli się najeść do syta. Anglicy na dzień dobry porządnie karmili jeńców. Wokół Polski była zatem gospodarka reglamentowana: kartki, niedobór i głód. Jednak w czasie pierwszej wojny światowej Niemcy nie traktowali krajów okupowanych pod tym względem jako szczególnie okrutnie, tak jak choćby w czasie drugiej wojny



światowej. Ponadto system reglamentacji był zdecentralizowany, nie obowiązywał w skali całego kraju, tylko był tworzony na szczeblu władz komunalnych. Władze Warszawy organizowały kartki dla warszawiaków, a władze Częstochowy – dla częstochowian. Wieś była poza zasięgiem systemu kartkowego, ale nie głodowała, bo wieś w ciężkich czasach może przejść na samowystarczalność. Kiedy zatem mówimy o różnych naszych problemach, warto pamiętać, jakie było tło. Nie byliśmy wyjątkiem. Trzeba też sobie uświadomić różnice między zniszczeniami po pierwszej i drugiej wojnie światowej. Podczas pierwszej wojny Polska największe straty w przemyśle poniosła w związku z ewakuacją rosyjską w 1915 r. Rosjanie, wycofując się, przenosili zakłady przemysłowe na wschód i wywozili maszyny. Pierwsza wojna światowa miała to do siebie, że rzadko kiedy burzono i niszczone miasta. Oczywiście niektóre miały pecha, na przykład Kalisz. W typowym zakładzie przemysłowym po pierwszej wojnie światowej zachowały się niezniszczone hale fabryczne, lecz były puste, bo maszyny wywieziono. Te, które pozostały, konfiskowali potem Niemcy, aby z nich wydobyć metale kolorowe, jak miedź czy mosiądz, potrzebne do produkcji amunicji. Pozyskiwali te metale, jak się dało, na przykład rekwirowali dzwony kościelne. Po drugiej wojnie światowej zazwyczaj było na odwrót: maszyny pracowały do ostatniej chwili i często w nienaruszonym stanie przeszły na drugą stronę frontu, natomiast zniszczeniu uległy budynki. Tak naprawdę największe straty po pierwszej wojnie światowej wynikały z faktu, że zaraz po niej przyszła epidemia grypy, tzw. hiszpanki. Prawdopodobnie nie była to jakaś szczególna mutacja, nie bardziej groźna niż współczesne, lecz trafiła na bardzo wyniszczoną ludność. Dlatego przyniosła straszliwe skutki. Poza tym główne straty gospodarcze wynikały z faktu, że Królestwo Polskie zostało odcięte od finansowego zaplecza, czyli Cesarstwa Rosyjskiego. Banki warszawskie zostały bez środków finansowych, rubel ulegał deprecjacji, krótko mówiąc: dokonano się dekapitalizacja gospodarki. W 1914 r. Królestwo Polskie było bardziej niż pozostałe zabory zasobne w kapitały. One w wyniku wojny i powojennej inflacji prawie całkowicie zniknęły i nie udało się ich już później odbudować.

KB: Politycy II Rzeczypospolitej, zorientowani na gospodarkę, pragnęli doprowadzić do odbudowy kapitału polskiego.

WM: Tak, ale okazało się, że nie da się tego zrobić. W latach 20. Polska próbowała przyciągnąć kapitał zagraniczny. Potem jednak przyszedł wielki kryzys lat 30. i ów kapitał wycofał się z Polski. W drugiej połowie lat 30. aktywizowano gospodarkę przy pomocy kapitału państwowego, dokonując jej etatyzacji. I to nie z powodów ideologicznych – politycy sanacyjni w większości wcale nie uważali, że kapitał państwowy jest lepszy. Gdyby do Polski wszedł kapitał prywatny, oni by go powitali z radością, ale jego po prostu nie było. Generalnie w czasach II Rzeczypospolitej stale zabiegano, by ściągnąć do kraju kapitał zagraniczny. Jeśli formułowano pod jego adresem pretensje, to twierdzono jedynie, że jest go za mało, jest płochliwy i ucieka. Natomiast nie było zarzutu, że uzależnienie od kapitału zagranicznego jest zjawiskiem negatywnym i że eksploatuje on gospodarkę. Tę ostatnią myśl wnieśli do dyskursu dopiero komuniści po drugiej wojnie światowej. Warto o tym pamiętać dziś, gdy obie te pretensje współbrzmiały w ustach niektórych polityków. Pamiętajmy też, że w Polsce dosyć duże zasoby kapitału znajdowały się w rękach ludności, stezauryzowane na czarną godzinę. Władze zdawały sobie z tego sprawę. Na przykład na Kresach Wschodnich popularne było zakopywanie złotych carskich rubli w ziemi. Było to zjawisko na tyle masowe, że w latach 30. w Amsterdamie uruchomiono ich produkcję specjalnie z myślą o polskim rynku. Kupowali je ludzie niezamożni. Nie po to, by wydać, ale żeby mieć choćby na posag dla córki czy też na czarną godzinę. W warunkach niedoboru kapitału znaczne jego zasoby były po prostu zakopywane w ziemi. Z punktu widzenia życia gospodarczego było to całkowicie jałowe. Władze chciały te zasoby włączyć w obieg życia gospodarczego. Chciały, żeby ludzie zdeponowali je np. w PKO, skuszeni jakimś procentem. Aby jednak skłonić ludzi do takich zachowań, trzeba było ich przekonać, że państwo polskie jest tworem stabilnym, a nie „państwem sezonowym”, zaś złoty jest walutą solidną i nie zostanie zdewaluowany. To determinowało politykę walutową.

KB: Mimo kryzysu i inflacji?

WM: No właśnie, to bardzo charakterystyczne, że wymieniamy pan te dwa problemy jednym tchem. Tymczasem kryzys i inflacja to zjawiska w dużym stopniu przeciwstawne. Kryzys polega na nadprodukcji, czyli spadku cen. To wzmacnia pieniądź. Inflacja to sytuacja



Wagon spalinowy czterosiowy „Lux-torpeda”
PKP 90080 na dworcu
w Zakopanem, 1936 r.

Na sąsiedniej stronie:
prezentacja pojazdu
Aeromobil DKD-10. Kadłub
samolotu po odpięciu
skrzydeł może służyć jako
samochód. Przy sterze
konstruktor Stanisław
Działowski, obok niego po
lewej sierżant pilot Drozdowski. Kraków, 1933 r.

odwrotna. Ceny wówczas rosną, ale produkcja też rośnie, bezrobocie spada itp. Warto pamiętać, że w dziejach II Rzeczypospolitej zjawiska te minęły się w czasie. Inflację, z kulminacją w postaci hiperinflacji, mieliśmy do 1923 r., a kryzys w latach 1929–1935. Podczas kryzysu polski złoty był bardzo mocną i stabilną walutą, a władze prowadziły konserwatywną politykę monetarną. Polska należała do tzw. złotego bloku. Było to ugrupowanie państw pod przewodnictwem Francji, które mimo kryzysu nie chciały dewaluować swoich walut i utrzymywały ich wymienialność na złoto. Po przeciwnej stronie był blok szterlingowy pod przewodnictwem Anglii. Kraje bloku szterlingowego zdevaluowały swoje waluty i zawiesiły wymienialność na złoto. Konserwatyzm Polski wynikał właśnie z przeświadczenia, że trzeba przekonać zarówno inwestorów zagranicznych, jak i własnych obywateli do stabilności państwa i jego waluty.

KB: I taka polityka utrzymała się do końca?

WM: W zasadzie tak. W 1936 r. złoty blok się rozpadł, bo wystąpiła z niego Francja. Trzeba było podjąć decyzję, co dalej. Prezes Banku Polskiego, Adam Koc, uważał, że powinniśmy zdevaluować złote go i zorientować się na Anglię. Minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski sprzeciwił się z dwóch powodów. Po pierwsze uznał, że w ten sposób nie przekonamy ludzi o solidności złotego, po drugie nasze zadłużenie zagraniczne było liczone w walutach obcych, więc gdybyśmy zdevaluowali złotego, to ono by bardzo wzrosło w stosunku do budżetu. Zdecydowano się jedynie na wprowadzenie reglamentacji dewizowej, czyli zakazu posiadania obcych walut. Każdy, kto posiadał w Polsce obce waluty, miał obowiązek odsprzedać ich Bankowi Polskiemu. W razie konieczności importu lub chęci wyjazdu za granicę musiał prosić Bank Polski o przydział dewiz. Zatem po 1936 r. coś takiego jak dzisiejsze kantory byłoby w Polsce nielegalne.

KB: Mówiąc o luminarzach II Rzeczypospolitej, wymienia się jednym tchem Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego.

To są osoby, które statuowały na nowo nasze życie polityczne, militarne, dyplomatyczne...

WM: Personalizowały też pewne nurty myślenia. Każdy z nich reprezentował jakiś system poglądów, odmienny od pozostałych.

Ja dodałbym do tej palety Wincentego Witosa, żeby chłopów nie zostawiać bez patrona.

KB: Można jeszcze dodać socjalistów, ówczesną lewicę.

Natomiast brakuje w powszechnej świadomości postaci reprezentujących myślenie o gospodarce i ekonomii. Jakich mieliśmy bohaterów odrodzenia gospodarczego Polski?

WM: Przede wszystkim przychodzi na myśl postać Władysława Grabskiego. To on sobie poradził z hiperinflacją i ustabilizował makroekonomicznie polską gospodarkę w pierwszych latach niepodległości. Nie był jedynym, który się za to zabierał. Dosyć duże sukcesy na tym polu miał minister skarbu Jerzy Michalski. Kiedy obejmował władzę w połowie 1921 r., za dolara płacono się 6 tys. marek, a gdy rok później odchodził ze stanowiska – 4 tys. marek. Michalski szykował się do dużej reformy, lecz jego wysiłki zostały storpedowane w sejmie przez lewicę, czyli PPS. Lewica wykalkulowała, że jeszcze za wcześnie na stabilizację, więc nie poparła Michalskiego. Bo inflacja, poza oczywistymi wadami, ma też pewne zalety: ułatwia eksport, nakręca koniunkturę i zmniejsza bezrobocie. Dopiero kiedy dojdzie do hiperinflacji, której granicę ekonomiści lokują w okolicach 50 proc. miesięcznie, zalety znikają. Wtedy już nikt nie ma wątpliwości, że należy naprawić sytuację. Z kolei wychodzenie z inflacji jest nieprzyjemne, bo oznacza kryzys postabilizacyjny, przejściowy wzrost bezrobocia i sytuację, w której nagle na wszystko brakuje pieniędzy. Jeden z uroków inflacji polega na tym, że nie sposób zbankrutować, ponieważ niesłychanie szybko deprecjonują się zobowiązania. Trwa zatem swoisty stan nieważkości i dopiero po stabilizacji nadchodzi fala bankructw.

Dosyć duże zasługi na gruncie stabilizacji, ale też tworzenia porządnej bankowości miał Jan Kanty Steczkowski, bankowiec z Galicji, który utworzył zręby Banku Gospodarstwa Krajowego. Po 1924 r. zbudowano silny sektor państwowy w bankowości, na który składały się: Bank Gospodarstwa Krajowego, PKO i Państwowy Bank Rolny. Twórcą PBR był Franciszek Stefczyk. To również wielce zasłużona osoba. Dzisiaj nieco uwikłana w politykę, bo SKOK-i wzięły Stefczyka za patrona. Założycielem PKO, czyli Pocztowej Kasy Oszczędności, poprzedniczki dzisiejszego PKO BP, był Hubert Ignacy Linde. Postać zasłużona, choć również tragiczna. Miał proces o nadużycia, jednak oparty na nieprawdziwych zarzutach. W 1925 r., kiedy szedł na ostatnią rozprawę, podczas której miał już zostać niewinny, zastrzelono go na ulicy. Porządny człowiek, uwikłany w aferę nie z własnej winy. Bardzo zasłużone dla późniejszego rozwoju przedsiębiorczości były środowiska związane ze spółdzielczością. Zwłaszcza w Wielkopolsce. Warto zrobić tu pewne porównanie. W zaborze rosyjskim Polacy byli elitą finansową, Królestwo Polskie było przez długi czas najlepiej gospodarczo rozwiniętą częścią Imperium Rosyjskiego. W Wielkopolsce było odwrotnie. Tam Polacy byli zepchnięci do defensywy, a Niemcy byli ewidentnie silniejsi. Polacy się jednak bronili, rozwijając solidną spółdzielczość. Miała ona swoją centralę w postaci Banku

Związków Spółek Zarobkowych. Po odzyskaniu niepodległości okazało się, że najmniejsze straty w czasie wojny poniosły sfery gospodarcze Wielkopolski. Dlatego przez pierwszych parę miesięcy po odzyskaniu niepodległości polską gospodarką rządili Wielkopolanie. Stamtąd pochodzą pierwsi ministrowie skarbu: Władysław Byrka i Józef Englich. Ten ostatni wiedział, że marka polska jest walutą tymczasową, niezbędną, by nie było bałaganu w dobie prowadzenia wojny. Uważał jednak, że docelowo powinno się utworzyć Bank Polski i wprowadzić nową walutę. Englich wymyślił nawet dla niej nazwę „lech”. W lutym 1919 r. sejm zatwierdził te plany, zmieniając tylko nazwę „lech” na „złoty”. W zaborze rosyjskim Polacy w prywatnym biznesie sporo znaczyli, jednak nie mieli możliwości robienia karier urzędniczych. Ta ścieżka kariery była zarezerwowana dla reprezentantów zaborców. Mieliśmy doświadczenie w bankowości prywatnej, w spółdzielczości, ale nie w administracji skarbowej i bankowości centralnej. Tego ostatniego można się było nauczyć jedynie w Austro-Węgrzech. W rezultacie po odzyskaniu niepodległości galicyjscy urzędnicy zalali całą Polskę, wzbudzając oczywiście zawiść. Podśmiewano się z nich, lecz to oni byli najlepiej przygotowani.

KB: Powiedział pan profesor, że Królestwo Polskie było najlepiej rozwiniętą gospodarczo częścią Imperium Rosyjskiego. To fakt nieznan powszechnie, a dosyć interesujący.

WM: Ale tu cofamy się do problemów XIX-wiecznych.

KB: Jednak niezmiernie ciekawych. Polacy w zaborze rosyjskim mogli się bogacić bez ograniczeń?

WM: Przewaga gospodarcza Królestwa Polskiego nad Rosją dała się zauważyć już w pierwszej połowie XIX w., a najbardziej widoczna była w drugiej połowie stulecia. Można powiedzieć, że pod względem gospodarczym Rosja była dość przyzwoitym zaborcą. Rosyjskie prawo gospodarcze było wzorowane na angielskim, więc zapewniało swobodę – oczywiście nie w rozumieniu politycznym. Dbano jednak o to, aby nie tłumić gospodarki zbyt zawiłymi zarządzeniami. Oceniając tamtejsze warunki gospodarcze, trzeba wziąć poprawkę na korupcję i biurokrację, ale jeśli te dwa czynniki są przewidywalne, można je traktować jako koszty prowadzenia działalności.

KB: Dla Polski u zarania transformacji ustrojowej, na początku lat 90., pewną centralną ideą, na której oparto aktywność, był liberalizm i szeroko pojęty zachodni styl życia. Co było punktem odniesienia dla architektów II RP?

WM: W 1918 r. odzyskaliśmy niepodległość, ale nie musieliśmy się wzorować na innych, bo sami mieliśmy gospodarkę rynkową. Miała ona oczywiście pewne wypaczenia, wynikające z wojny, lecz one dotyczyły wszystkich krajów, które brały w niej udział. Nie trzeba było wymyślać nowego modelu gospodarczego. W 1989 r. było trudniej. Takiej drogi transformacji do tej pory nie przeszedł nikt. Powszechnie uważało się, że przejście od kapi-

Transatlantyk
„Polonia” oraz statki
pasażerskie
białej floty:
„Gdynia”, „Jadwiga”,
„Gdańsk” w porcie.
Gdynia, 1933 r.



talizmu do socjalizmu to *one way ticket* – nie ma powrotu. Poza tym droga obrona pod koniec lat 80. wynikała również z kontekstu. To był okres zdecydowanej dominacji myślenia liberalnego. Kryzysy naftowe lat 70. przyniosły kompromitację keynesizmu, zwyciężyło myślenie neoliberalne i monetarystyczne. Wyglądało na to, że cały świat idzie w tę samą stronę. Włączyliśmy się w główny nurt światowy; nie kombinowaliśmy na boku, jak w czasach komunizmu.

KB: Obecnie jesteśmy państwem jednonarodowym. Po odzyskaniu niepodległości w Polsce żyło 16 proc. Ukraińców, 10 proc. Żydów i mniejszy, ale znaczący odsetek innych nacji. Czy to miało wpływ na sytuację gospodarczą?

WM: Bezpośrednio nie, a pośrednio i na dłuższą metę – tak. II Rzeczpospolita miała swoje słabości, a jedną z nich była właśnie wspomniana struktura. Proszę pamiętać, że Niemcy znaleźli się w Polsce na skutek przegranych przez siebie wojen, zaś Ukraińcy z powodu fiaska powstania narodowego. Ci ostatni czuli się w Polsce tak, jak my w XIX w. w Rosji – można się jakoś ułożyć, żeby się dało żyć, ale nigdy byśmy nie uznali, że to na zawsze. Ukraińcy czekali po prostu na następną okazję. Maksimum tego, na co można było liczyć, to doraźna lojalność, przestrzeganie reguł. A przy tym nie było możliwe ich wysiedlenie, tak jak Niemców w 1945 r. Gdyby II Rzeczpospolita nie padła ofiarą sytuacji zewnętrznej i trwałaby dalej w swoich granicach, to dziś mielibyśmy Ulster we Lwowie. Twierdzenie, że Ukraińcy daliby się spolonizować, jest zwracaniem głowy. Tak jak Polacy nie zamierzali dać się zgermanizować, tak Ukraińcy nie zamierzali dać się spolonizować. Niemcy znaleźli się na polskich ziemiach na skutek wojny przegranej nie z nami, tylko z dużo potężniejszymi przeciwnikami. Więc patrzyli na nas jak na jakiegoś fuksiarza, który przypadkiem się dorwał do łupów. To przesądzało o trwałym konflikcie. Z punktu widzenia struktury narodowościowej nie dałoby się ustabilizować na dłuższą metę takiego państwa. Ono by było trwale zdestabilizowane.

KB: Współcześni historycy ukraińscy myślą podobnie?

WM: Ostatnio zaczęliśmy współpracować z badaczami ukraińskimi zajmującymi się historią gospodarczą. Dzięki spotkaniom dowiadujemy się, jak głęboko zakorzenione są pewne nieporozumienia i stereotypy. W polskiej publicystyce od czasów Kwiatkow-



© NAC

skiego funkcjonują określenia „Polska A” i „Polska B”. Polacy używali obu pojęć do opisanego negatywnego zjawiska, które należy przezwyciężać. W historiografii ukraińskiej też znane są te określenia. Ale oni rozumieli pojęcie Polski B jako trwałe napiętnowanie tej części kraju, którą zamieszkiwali, a użycie owego pojęcia oznaczało chęć skazania ich na wieczną biedę. Ukraińcy uważają, że ich bieda w okresie międzywojennym była w dużym stopniu rezultatem antyukraińskiej polityki władz polskich, a nie częścią ogólnej biedy, w której i Polacy mieli udział. Warto się spotykać choćby po to, by tego typu nieporozumienia sobie uświadamiać i wyjaśniać.

KB: Dzisiaj sfery polityczne próbują zarządzać lub chociażby oddziaływać na tendencje migracyjne. Czy w II RP było podobnie?

WM: Myślenie było zupełnie inne niż obecnie. Dzisiaj niektórzy uważają, że najlepiej by było, gdybyśmy polską diasporę z powrotem ściągnęli do kraju. To jest myślenie błędne. Przecież ona jest naszym kapitałem. Nie ma powodu, by namawiać Polaków do powrotu. Oczywiście z miejsc, gdzie cierpią biedę albo są prześladowani, należy ich wyciągać. Ale zachęcać tych z Anglii, żeby wracali? Im więcej tam naszych, tym lepiej dla nas. W okresie międzywojennym było dokładnie na odwrót – Polska przeżywała eksplozję demograficzną i popierała emigrację. Szukała dla niej kanałów, zaś inne kraje się przed naszą emigracją broniły. W tym kontekście trzeba też interpretować przynajmniej niektóre wątki relacji polsko-żydowskich. Władze polskie w zasadzie chciały, żeby Żydzi wyjechali do Palestyny. Sami Żydzi – nie wszyscy, ale ci o poglądach syjonistycznych – też tego chcieli. Zaś rządząca w Palestynie Wielka Brytania broniła się przed tym, jak mogła, bo to jej komplikowało relacje z Arabami.

KB: W II RP był antysemityzm. Paliwem dla tego zjawiska była propaganda, podkreślająca między innymi nadzwyczajną zasobność Żydów. Czy są dane historyczne potwierdzające, że ich ówczesna zaradność gospodarcza była rzeczywiście ponadprzeciętna?

WM: Byli Żydzi bardzo bogaci i bardzo biedni – pełny przekrój z punktu widzenia zaradności. Nastroje antysemityczne miały swoje źródła religijne, były też wygodną formą, w jakiej wyrażała się plebejska niechęć do elit społecznych. Ponadto – z przyczyn religijnych – w przeszłości Żydzi mieli większą swobodę zajmowania

się działalnością kredytową. Z tych samych przyczyn byli lepiej wykształceni. Pamiętajmy jednak, że inny był kontekst etyczny poglądów antysemitycznych w okresie międzywojennym, a zupełnie innego charakteru nabrał po doświadczeniach drugiej wojny światowej.

KB: Wiele się dziś mówi o fantastycznych polskich wynalazkach okresu międzywojnia, wspomina się m.in. „Lux-torpedę” czy ówczesne samoloty wojskowe.

WM: To nie były wynalazki na miarę Nobla. Choć faktycznie część pomysłów zrealizowano na niezłym poziomie, nawet światowym. Tym się między innymi różniło międzywojnie od PRL-u, który uczynił lukę technologiczną i był naśladowczy w stosunku do reszty świata. PRL wpędzał Polaków w kompleksy, bo generował przekonanie, że musimy gonić resztę świata, choć nigdy nie dogonimy. Takiego poczucia w II RP nie było. Polska myśl techniczna była na światowym poziomie. Polskie samoloty były mniej więcej równie dobre, jak amerykańskie. Różnica polegała na mocach produkcyjnych: my mogliśmy wytwarzać 30 takich samolotów miesięcznie, a Amerykanie – 3 tys. Barierą był brak kapitału. Chwalono nowoczesne samoloty Łoś, ale ich produkcja nie była nowoczesna, bardziej przypominała chałupnictwo – każdy egzemplarz był trochę inny.

KB: Czy budowanie pewnych mitów – we wspomnianych przykładach polegające na mniej lub bardziej zasadnym odwoływaniu się do sukcesów okresu międzywojennego – nie może pozytywnie wpływać na dzisiejsze życie gospodarcze? Czy nie może mieć waloru motywacyjnego?

WM: Jeśli ma walor motywacyjny – nie mam nic przeciwko. Natomiast jestem przeciwny tezie, że wtedy było lepiej. Gdybyśmy mieli możliwość przenoszenia się w czasie, każdy Polak z lat 30. zamieniłby się z nami w ciemno. To w niczym nie umniejsza znaczenia Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego. Gdynia była bardziej niewątpliwym i oczywistym sukcesem, między innymi dlatego, że ten projekt został ukończony. Przyniosła Polakom prawdziwe korzyści, w przeciwieństwie do COP-u, z którego najbardziej skorzystali Niemcy, a później PRL. Warto dodać, że prawie wszystkie międzywojenne osiągnięcia gospodarcze były podszyte myśleniem propagandowym. Na przykład mieliśmy flotę bardzo małą, ale w niej aż cztery transatlantyki. Proporcja tych ostatnich do całej floty była u nas wyjątkowo wysoka.

KB: Okres międzywojnia to czas powstawania marek i znaków towarowych, którymi dziś spokojnie moglibyśmy się poszczycić. Jednak nie zawsze chętnie się to robi.

WM: W tej sprawie fatalną wyrwę uczynił PRL. A i teraz mamy na tym polu problem. Brakuje nam odwagi, żeby lansować własne marki. Jeśli w jakiejś branży możemy szczerzyć się tradycją – a nie mamy tego wiele – to na pewno trzeba to robić. Jest pewna nieśmiałość w podkreślaniu własnej tożsamości. W tej sprawie Fundacja „Teraz Polska” może sporo zrobić.

Bóg jest autorem racjonalności świata

O granicach postępu i ich przekraczaniu, relacji między religią i nauką oraz o tym, że tworzenie polega na ograniczaniu, a matematyka prawdopodobnie rządzi wszystkim, z ks. prof. **Michałem Hellerem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Kiedy uzgadnialiśmy tematy rozmowy, zasugerowałem ksiądz profesor, żebyśmy porozmawiali o przypadku. A dzisiaj, przed spotkaniem, w kawiarni De Revolutionibus na ul. Brackiej w Krakowie moim oczom ukazał się duży plakat zapowiadający minioną już konferencję dotyczącą wspomnianego tematu. Czy jesteśmy w sytuacji, w której powinniśmy zwracać na przypadek szczególną uwagę?

Michał Heller: Przypadek zawsze jest ciekawym i atrakcyjnym tematem, życie ludzkie składa się z przypadków. Kiedy budzę się rano, to przypadek sprawia, którą nogą wstanę i która mi się pierwsza wsunie do pantofla. Każdego roku w Krakowie organizujemy festiwal przedstawiający zagadnienia naukowe w sposób bardziej popularny. Niedawno, a dokładnie w maju, odbyła się edycja poświęcona przypadkowi. Festiwal składa się z wykładów, odczytów, wystaw, spotkań autorskich itp. Wydarzenie trwa około tygodnia, uczestniczą w nim nawet 4 tys. osób, a w kawiarni, w której teraz rozmawiamy, odbywają się zawsze Śniadania Mistrzów. W tym roku skupiono się na zjawisku przypadku, a w poprzednich latach m.in. na emocjach i geniuszu. W przyszłym roku chcemy porozmawiać o języku.

KB: W ramach warszawskiego Festiwalu Nauki organizowana jest debata oksfordzka. Ostatnio zastanawiano się, czy Bóg jest potrzebny nauce. Zna ksiądz profesor odpowiedź na to pytanie?

MH: Łatwo na nie odpowiedzieć: Pan Bóg jest nauce niepotrzebny. Zastrzegam, że mówię o naukach ścisłych i empirycznych, nie o humanistycznych. Dlatego że podstawową metodą nauki jest empiria, doświadczenie. Zatem to należy do nauki, co da się zbadać empirycznie. Doświadczenie musi być specjalnego typu, aby jego wynik można było ująć w liczby, umieścić w ramach odpowiedniej struktury matematycznej, a następnie budować model, z którego wynikają inne przewidywania, również wymagające sprawdzenia empirycznego. Jeżeli się potwierdzą, to dana teoria lub dany model

Michał Heller

zostają zaakceptowane. W tym sensie w nauce miejsca dla Pana Boga nie ma, ponieważ doświadczalnie i matematycznie nie da się go ująć. Zatem problem Boga to jest problem, który w stosunku do nauki jest neutralny. Nauka w stosunku do kwestii istnienia Boga również jest neutralna. Ci, którzy twierdzą, że nauka obala istnienie Pana Boga, popełniają nadużycie intelektualne takie samo, jak ci, którzy twierdzą, że nauka dowodzi istnienia Boga. To nie znaczy, że Bóg jest kimś poza zasięgiem naszego umysłu. Jest jedynie poza zasięgiem metody naukowej. Wobec tego istnieje następujący problem: czy granice metody naukowej są zarazem granicami racjonalności, w takim rozumieniu, że poza granicami nauki racjonalności już nie ma, jest najwyżej emocja czy jakieś irracjonalne przeżycia? Wielu ludzi tak twierdzi – to jest brama do ateizmu, bo jeżeli poza granicami nauk nie ma racjonalności, to każda religia, każde wierzenie czy każde przekonanie, że Bóg istnieje, byłoby irracjonalne. Zatem problem relacji Bóg – nauka rozgrywa się wokół następującego pytania: czy granice nauki są granicami racjonalności? Zadając takie pytanie, wychodzimy poza grunt nauki, bo nie da się go rozstrzygnąć metodą empiryczną. Wkraczamy w dziedzinę filozofii, a kon-

© KAMIL BROSZKO-BROSZKO.COM





Ks. prof. zw. dr hab. **Michał Heller** (ur. w 1936 r. w Tarnowie) – filozof, teolog, fizyk kosmolog, prezbiter katolicki. Specjalizuje się w filozofii przyrody, fizyce, kosmologii relatywistycznej oraz relacji filozofia – nauka i nauka – wiara. Pracownik Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego oraz członek Papieskiej Akademii Nauk. Zainicjował i stworzył (wraz z Józefem Życińskim) Ośrodek Badań Interdyscyplinarnych, działający przy Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. W 2008 r. ufundował i założył Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych – wspólną jednostkę Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Był współzałożycielem i w latach 1978–2015 redaktorem naczelnym czasopisma naukowego „Zagadnienia Filozoficzne w Nauce”, w którym rozważane są problemy z pogranicza nauk empirycznych i filozofii. Za swoją działalność został uhonorowany m.in. doktoratem honoris causa Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie (1996), medalem miasta Tarnowa (1996), Nagrodą Naukową im. Mikołaja Kopernika Fundacji Miasta Krakowa, przyznaną przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie (2000). W 2008 r. otrzymał prestiżową Nagrodę Templetona, przyznaną za szczególny wkład w rozwój duchowego wymiaru życia człowieka – przez odkrycia naukowe lub praktyczną działalność. Jest kawalerem Orderu Orła Białego. W 2018 r. otrzymał tytuł Wybitnego Polaka, przyznawany przez Fundację „Teraz Polska”.

kretnie filozofii nauki, czyli zastanawiamy się nad granicami nauki, jednak nie jest to problem naukowy, lecz filozoficzny. Stawiając ten problem, wychodzimy poza granice nauki, ale dalej się obracamy w sferze racjonalności. Bo pytanie, czy nauka ma granice, jest pytaniem całkiem racjonalnym i wielu myślicieli, od starożytności do dziś, nad tym się głowiło. Moja odpowiedź jest taka, że granice nauki nie są granicami racjonalności. Racjonalność jest czymś szerszym niż nauka i tam właśnie, gdzie jest racjonalność, ale nie empiryczna, jest miejsce na pytania o Pana Boga.

KB: Czy dziś ludzie przesuwają granicę nauki, czy raczej stoją w miejscu, a granica ludzkiego poznania i to, co się za nią znajduje, są wciąż daleko?

MH: Ja opisałbym postępowanie naukowe w odniesieniu do problemu granic poznania, posługując się następującym porównaniem: wyobraźmy sobie zbiór osiągnięć naukowych, czyli różne teorie naukowe, które zostały potwierdzone, jako wnętrze koła. Nauka się rozszerza, robi postępy, rozwiązuje coraz więcej problemów – koło pęcznieje. Obwód koła to jest granica między tym, co wiemy, a tym,

czego nie wiemy, co jest na zewnątrz. Same punkty, które tworzą obwód, to są te problemy, które znajdują się na froncie badań. Jeżeli jednak obwód koła rośnie, to problemów nierozwiązanych jest coraz więcej, a nie coraz mniej. Każdy problem rozwiązany przez naukę generuje nowe problemy – obszar, na którym nauka graniczy z tym, co jeszcze nierozwiązane, stale się powiększa. Czy jednak są granice, których nauka nigdy nie przekroczy? To właśnie granice metody. Nauka, powiedzmy fizyka, nie może wyjść poza to, co da się zbadać empirycznie i ująć matematycznie, bo wtedy już by nie była fizyką.

KB: A nie można rozszerzać metod nauki?

MH: To jest dobre pytanie i czasem naukowcy się nad tym zastanawiają, ale odkąd metoda naukowa została wypracowana, czyli gdzieś mniej więcej od początku czasów nowożytnych, właściwie się nie zmienia. Oczywiście ewoluuje, na przykład dawniej teleskopy były małe, sięgały niedaleko, a dzisiaj mamy potężne urządzenia i nowoczesną technikę obserwacji. Newton nie mógł nic wiedzieć o cząstkach elementarnych, a dzisiaj mamy akceleratory, np. w CERN-ie (Wielki Zderzacz Hadronów), i wiemy dużo

więcej. Technika poszła naprzód, ale metoda jest wciąż ta sama. Musimy badać empirycznie i budować modele matematyczne, które również sprawdzamy empirycznie. Nic nie wskazuje, by metoda miała się zmienić. A gdyby ludzie ją porzucili – bo mogą – to będzie koniec nauki. Zaczną wymyślać teorie, których nie da się sprawdzić empirycznie. Wtedy wyboru teorii będzie można dokonać na przykład metodą głosowania.

KB: Albo poprzez jakiś rodzaj olśnienia, wgląd czy też po prostu poprzez proces intelektualny.

MH: Tak robią filozofowie i tak było w starożytności. Nie rozgraniczano nauki i filozofii, tylko snuto domysły. Efekt był taki, że co filozof, to inne domysły, co szkoła filozoficzna, to inna koncepcja świata. Potem wypracowano metodę naukową i natychmiast zaczęto gromadzić wyniki. W rezultacie dzisiaj fizyka jest taka sama w USA, Rosji, Chinach – gdziekolwiek chcą się nią zajmować.

KB: Jednak koncepcje świata starożytnych cechują się pewną trwałością, skoro studenci filozofii wciąż muszą się ich uczyć.

MH: Ale to jest historia filozofii, historia nauki wygląda już nieco inaczej. Nie chcę dewaluować filozofii – jest potrzebna, ponieważ posługuje się innym rodzajem racjonalności. Powiedziałbym nawet, że racjonalność, która obowiązuje w naukach, jest łatwiejsza od racjonalności, którą się posługujemy w filozofii. Dlatego że ma stosunkowo prostsze metody sprawdzania, czy mam rację, czy nie. Robię przewidywanie empiryczne. Jeżeli doświadczenie go nie potwierdzi, to znaczy, że nie mam racji – i koniec. Kryteria są jasne. W filozofii nie ma tak jasnych kryteriów, więc metoda jest trudniejsza. Konfrontacja dwóch sprzecznych teorii może polegać jedynie na tym, że dyskutuje się ze sobą. A dyskutować można w nieskończoność, dlatego postęp w filozofii – o ile w ogóle można o nim mówić – jest bardzo powolny.

KB: Niektórzy uczeni twierdzą, że Bóg jest potrzebny nauce, ponieważ umożliwia domknięcie obrazu całości tym wszystkim, którzy znają metodę, a zatem rozumieją jej ograniczenia. Co ciekawe, w tej grupie są również ateści.

MH: Zgadza się z tym stanowiskiem i nie jest ono sprzeczne z moimi wcześniejszymi тезami. Mamy z jednej strony metodę naukową, jasno odgraniczającą to, co jest poza nią. Z drugiej strony mamy metodę filozoficzną. One nie muszą być ze sobą sprzeczne, powinny się dopełniać. Faktem filozoficznym, który domaga się wyjaśnienia, a nie mogą go dać nauki empiryczne, jest samo istnienie nauk empirycznych. Metoda nauk empirycznych zakłada, że w świecie

jest jakiś porządek, który da się racjonalnie badać. I teraz powstaje pytanie, dlaczego da się go racjonalnie badać. Przecież świat mógłby być zupełnie chaotyczny, pełen bałaganu. A jednak taki nie jest. Uczeń, przynajmniej ci bardziej wyrafinowani, zastanawiają się nad tym. Zatem stwierdzenie, że obraz świata, który postrzegamy dzięki działaniu nauki, wymaga jakiegoś dopełnienia, jest jak najbardziej uzasadnione. Gdy się rozmawia z uczonymi dużej klasy, w większości przypadków uznają oni jakąś racjonalność nadrzędną w stosunku do racjonalności nauk empirycznych. Natomiast mniej przenikliwi uczeni nie lubią się za bardzo nad tym zastanawiać, wystarczy im bieżąca działalność, reszta ich nie interesuje.

KB: Niejednokrotnie racjonalność jest wykorzystywana jako argument mający przekonywać do ateizmu. To stoi w zasadniczej sprzeczności z wcześniejszym wywodem księdza profesora. Czy to oznacza, że nasz sposób widzenia sfery poza metodą naukową wynika wyłącznie z przyjętych założeń?

MH: Najpierw chciałbym rozróżnić pojęcia racjonalności i racjonalizmu. Racjonalizm ma w historii filozofii konotacje zbliżone do sceptycyzmu czy ateizmu; w okresie rewolucji francuskiej i oświecenia racjonalizm miał zastąpić religię. Natomiast racjonalność jest czymś głębszym. Racjonalizm wolterowski i racjonalność, o której mówiłem, nie grają ze sobą. Jeżeli wykorzystuje się postęp naukowy do walki z religią, to właściwie cofamy się z poziomem argumentacji do XVII czy XVIII w. Zjawisko ateistycznych walczących naukowców jest bardzo znane, bo oni są medialni. Wśród nich można wymienić choćby Richarda Dawkinsa. Lecz w świecie naukowym nie są dobrze widziani i stanowią mniejszość. Część uczonych ma odmienne poglądy, lecz nie mają oddźwięku w mediach, zaś większość po prostu nie wypowiada się na te tematy. Dawkins upraszcza sprawę. Na marginesie wspomnę, że miałem przyjemność z nim dyskutować – było to dość ciekawe doświadczenie. Rozmawia-

Twierdzenie, że obraz świata, który postrzegamy dzięki działaniu nauki, wymaga jakiegoś dopełnienia, jest jak najbardziej uzasadnione.

liśmy w studio BBC, a audycja była emitowana w angielskiej telewizji. Dawkins formułuje poglądy radykalnie ateistyczne, lecz nie do końca rozumie, z kim walczy. Był zszokowany, że w wielu kwestiach się z nim zgadzam. I na końcu, niestety już po nagraniu, któryś z uczestników dyskusji zadał mi pytanie, jaka jest zasadnicza różnica między poglądami moimi a Dawkinsa. I ja wtedy powiedziałem, że według mnie różnica tkwi w pisowni, bo inaczej zapisujemy słowo „racjonalność”. Ja piszę „racjonalność” przez duże „R”, bo dla mnie Bóg jest racjonalny i jest autorem racjonalności świata. A Dawkins pisze „racjonalność” przez małe „r”. Lecz również ją dostrzega. Wtedy Dawkins chwilę się zastanowił i stwierdził: *You're probably right* (z ang.

prawdopodobnie masz rację). Chodzi zatem o kwestię rozumienia racjonalności, w jego przypadku jako siły bezosobowej, lecz jednak siły. Kiedy prowadzę głębsze rozmowy z uczonymi deklarującymi się jako ateści, zwykle okazuje się, że oni nie uznają Boga za naiwnych, potocznych wyobrażeń.

KB: Czy książd profesor myśli czasem o fizyce jako o dyscyplinie praktycznej – mam na myśli te wszystkie układy scalone, elektronne atomowe, odtwarzacze CD, tomografy itd. – czy raczej nie schodzi z wyższego poziomu abstrakcyjnej teorii i metody?

MH: Fizyka jest nauką doświadczalną, abstrakcja i teoria bez stromy doświadczalnej nie mogłyby funkcjonować. Niedawno brałem udział w międzynarodowej letniej szkole kosmologicznej – dwutygodniowych zajęciach dla starszych studentów, które odbywały się tu, w Krakowie. Wygłosiłem wykład abstrakcyjny z matematyki, którą posługują się fizycy. Przede mną występował wykładowca z zagranicy, który przedstawił najnowsze wyniki badań świata galaktyk. Mówił m.in. o najnowszych teleskopach, które są naszpikowane elektroniką. Jeżeli w okresie między pierwszą i drugą wojną światową znaleźliśmy najwyżej kilkaset galaktyk, to dziś znamy miliardy. Pokazywał też na obrazach, oczywiście elektronicznie obrobionych, jak wygląda globalna struktura Wszechświata, jak się galaktyki układają w takie filamenty, miejsca puste, jakby sieci. To po prostu widać na obrazkach! Istnieją symulacje komputerowe, w których zadaje się działanie grawitacji i pierwotne położenie galaktyk, i one liczą, jak galaktyki ewoluują. Następnie wynik komputerowy można porównać z obrazem pochodzącym z obserwacji. Takie praktyczne wykorzystanie fizyki jest czymś niesamowitym.

KB: Ale gdybym zapytał tak bardzo prosto: po co w ogóle badamy galaktyki? Czy to jest pewnego rodzaju wyrefinowana, intelektualna gra, która się toczy między inteligentnymi ludźmi zaangażowanymi w tę dziedzinę? Czy może po to, abyśmy tam kiedyś polecieci? A może od czasów przedhistorycznych, kiedy pierwsi ludzie wpatrywali się w gwiazdy, pokolenie po pokoleniu dziedziczyliśmy pęd do odkrycia tego, co poza naszym światem?

MH: Myślę, że są co najmniej dwa powody. Po pierwsze, w człowieku drzemie pewna dynamika, która każe wiedzieć coraz więcej. Ona się ujawnia już w małym dziecku, które bez przerwy zadaje pytania. Jeżeli dawni pasterze patrzyli w niebo i zastanawiali się, co widzą, to robili właściwie to samo, co astronomowie korzystający dzisiaj z superteleskopów. Różnica polega między innymi na tym, że dziś w grę wchodzi olbrzymie fundusze. Tak wielkie, że pojedyncze państwo nie może sobie na nie pozwolić. To jest jeden powód. Drugi jest może bardziej prozaiczny i konkretny, chodzi mianowicie o postęp naukowy i techniczny. Jeżeli jakieś państwo zainwestuje pieniądze wyłącznie w naukę praktyczną, służącą konkretnym wdrożeniom, to niewiele osiągnie. Może poprawi nieznacznie wynalazki innych.

Wielkie odkrycia wynikają z badań fundamentalnych. Ludzie chcą wiedzieć, jak wygląda świat kwantów i jak wygląda Wszechświat w największej skali, budują przyrządy, zastanawiają się, postępuje technika i – co więcej – nasze rozumienie Wszechświata. Wiedza o funkcjonowaniu cząstek elementarnych pozwala na przełomowe odkrycia. Są one rezultatem badań fundamentalnych. Zastosowania nauki są ważne, ale nie one czynią postęp. Wiedzą o tym wielkie mocarstwa, które nie żałują pieniędzy na pozornie abstrakcyjne badania. Bardzo ciekawym przykładem jest Singapur – bardzo małe państwo, ubogie w bogactwa naturalne do tego stopnia, że nawet wodę pitną musi sprowadzać z zagranicy. Uzyskało niepodległość po drugiej wojnie światowej. Wcześniej była tam kolonia brytyjska, potem, w czasie wojny, Japończycy zagarnęli tę wyspę i wyróżnili miejscową ludność. Po wojnie powrócili Brytyjczycy, lecz po dwóch latach dali krajowi wolność. Singapur zaczął rządzić się sam. I w ciągu kilkunastu lat stał się potęgą ekonomiczną. Dziś może się poszczycić największym dochodem na mieszkańca na świecie. Ma uniwersytet, który od lat zajmuje miejsce w pierwszej piątce w światowych rankingach. Jaka była tajemnica sukcesu? Od początku postawiono na badania fundamentalne. I to procentuje.

KB: Ale dziś argumentuje się, że Polska nie ma szans konkurować w wysokości funduszy z USA czy azjatyckimi tygrysami.

MH: Zatem będziemy zawsze w ogonie i będziemy korzystali tylko z tego, co nam odpał z zagranicy. Również u nas warto inwestować w badania podstawowe. Badania praktyczne, aplikacje są ważne, niezbędne dla rozwoju przemysłu. Natomiast zlekceważenie badań fundamentalnych zawsze się zemści. Trzeba zachować jakąś równowagę. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz: badania fundamentalne są drogie i dzisiaj właściwie odbywają się na płaszczyźnie międzynarodowej. Należy się w to włączyć i czerpać profity. I do pewnego stopnia Polska to czyni – polskich uczonych w CERN-ie jest bardzo wielu, Polska jest w grupie krajów, które finansują CERN, możemy się również cieszyć dobrą współpracą międzynarodową w dziedzinie astronomii i kosmologii. Uważam, że należy takie działania zintensyfikować. Oczywiście nie można liczyć na zyski z takich badań w najbliższych latach, niezbędne jest spojrzenie długofalowe.

KB: Chciałbym wrócić do książki „Przypadek”. Stawia tam książd profesor tezę, że to, co stoi za stworzeniem świata i jego konstrukcją, można nazwać za Einsteinem „zamyśłem Boga”. Wcześniej padła teza, że Bóg nie jest potrzebny nauce. Lecz czy poznanie zamysłu Boga nie mogłoby być takim czynnikiem motywacyjnym dla nauki?

MH: Jak najbardziej. Wiara w Boga, wiara w Stwórcę czy jakąś transcendencję, na pewno jest silnym elementem motywacyjnym w historii nauki, a także w życiu wielu indywidualnych uczonych. Einstein jest tego wymownym przykładem. Dyskutuje się, jaką on miał koncepcję Boga. Czy był panteistyczny, czy jakiś inny, nie do

końca wiadomo. Natomiast Einstein miał zwyczaj mówić, że jedynymi religijnymi ludźmi w naszych materialistycznych czasach są uczeni. Dlatego właśnie, że mają kontakt z racjonalnością świata. Co więcej, doświadczenie badania naukowego, pracy naukowej, zarówno teoretycznej, jak i w laboratorium, ma samo w sobie coś z przeżycia religijnego. Einstein to czuł. Na czym polega ten fenomen? Badam jakiś problem i widzę, że jest czymś, co ode mnie nie zależy. Dzisiaj wśród filozofów modne jest twierdzenie, że naukę człowiek wymyśla, tworzy. Oczywiście, że człowiek tworzy teorie, ujmuje w język odpowiednie symbole, ale to, czego ten język i symbole dotyczą, jest poza nim. Nie może tego zmienić. Poeta może dowolnie manipulować tworzoną przez siebie treścią. Ale matematyk, rozwiązując problem, nie może dowolnie zmieniać wyniku. Jeśli chcę zburzyć mur, to biorę kilof, nie da rady kilof, to podkładam bombę. A gdy mam równanie, które ma określone rozwiązanie, a ja chciałbym, żeby miało inne, to nic na to nie poradzi żadna bomba, nawet atomowa. Uczeni czują pewien przymus. I to jest właśnie ów element racjonalności, to on rządzi, nie człowiek, który sam jest częścią racjonalności, bo przecież jesteśmy zbudowani z fizyki, biologii itd. Racjonalność świata jest większa od nas, ogarnia nas, co już ma w sobie pewien posmak doświadczenia religijnego i transcendencji.

KB: W końcowej części książki „Przypadek” pada teza, że jeżeli fizycy rzeczywiście krok po kroku rekonstruuja zamysł Boga, to cała historia fizyki świadczy o tym, że Bóg myśli matematycznie. Czy matematyka zdaniem księdza profesora jest tym skończonym językiem, którym można opisać wszystko, całą rzeczywistość?

MH: Ja zawsze rozróżniam dwie matematyki: jedna – nazywam ją matematyką przez małe „m” – to jest matematyka, którą my tworzymy. Gdyby, powiedzmy, starożytni Grecy zadali inne pytania na początku, być może nauka dzisiaj wyglądałaby inaczej, matematyka miałaby inną postać. Natomiast jest też druga matematyka, przez duże „M”, która od nas nie zależy. I ta nasza matematyka, przez małe „m”, ją tylko odzwierciedla. Jeżeli można powiedzieć, że matematyka jest językiem rzeczywistości, to ta przez duże „M” jest pewną rzeczywistością. Nawet matematyka przez małe „m” jest czymś więcej niż językiem. Podam bardzo prosty przykład. Kiedyś z moim kolegą rozwiązywaliśmy problem kosmologiczny i chcieliśmy równanie zobrazować na diagramie. Kazaliśmy komputerowi narysować ten diagram na ekranie. Rozwiązanie miało punkty stabilne i niestabilne. Chcieliśmy na diagramie umieścić strzałki z opisami, aby można było użyć go w publikacji. Próbowaliśmy opisać punkt niestabilny, rysujemy w tym miejscu strzałkę, a ona opada lub skacze do góry. Badane równanie nie tylko opisywało nasz problem teoretyczny, ale w mniejszej skali również miało moc sprawczą. I tak jest z równaniami fizyki – opisują, ale też zadają czy imitują. Stworzenie dobrego modelu matematycznego zjawiska polega na tym, żeby on w komputerze (lub na kartce papieru!) robił to samo, co przyroda w rzeczywistości. Oczywiście przy założeniu pewnego uproszcze-

nia. W tym sensie matematyka jest czymś więcej niż językiem przyrody, więcej niż językiem świata. Zadał pan pytanie, czy wszystko można opisać językiem matematycznym. Zazwyczaj ludzie twierdzą, że nie. Bo niby jak opisać miłość matematycznie? Ale ja bym nie był tego taki pewny. Za pomocą matematyki, którą my znamy, nie da się. Ale matematyka przez duże „M” ma chyba możliwości nieograniczone. Jedyna nieskończoność, z którą mamy do czynienia, to nieskończoność w matematyce i jej do końca nie potrafimy pojąć.

KB: Matematyka przez małe „m” odzwierciedla jakoś matematykę przez duże „M”?

MH: Zgadza się. I dlatego ma taką moc w naukach ścisłych, bo odzwierciedla coś, co rządzi Wszechświatem.

KB: A może adekwatne byłoby stwierdzenie, że nasza matematyka jest pewnym wycinkiem owej matematyki absolutnej?

MH: Tak, na pewno wycinkiem. Uważam, że jest to niemal pewne. I ten wycinek, którym się posługujemy, już jest ogromnie ciekawy, bo jak się spojrzy na historię matematyki, to pole zbadanych struktur matematycznych z czasem bardzo się poszerza, postęp jest ogromny. Matematycy mają świadomość, że owych struktur jest nieskończenie wiele, nigdy ich nie zabraknie.

KB: Wcześniej ksiądz profesor stwierdził, że mówiąc o naukach, ma na myśli fizykę. Czy dlatego, że nie umiemy stosować matematyki na gruncie nauk społecznych równie elegancko, co na gruncie nauk ścisłych?

MH: Nauki dzielą się na humanistyczne i ścisłe, zaś socjologia i inne nauki społeczne są trochę na pograniczu jednych i drugich. W ostatnich latach odnotowujemy inwazję metod matematycznych, szczególnie statystycznych i probabilistycznych, na obszar nauk społecznych. I dlatego mają one spore osiągnięcia. Kiedyś zwróciłem uwagę na całe stado ptaków siedzących na drzewach. Nie pamiętam już, jakie to były ptaki. W każdym razie nagle coś huknęło, a one się zerwały i poleciały takim pięknym lotem „dynamowym”; zaczęły falować w sposób uporządkowany. I przyszło mi na myśl pytanie, skąd ptak wie, jak ma lecieć w tym stadzie. Zaczęłam przeszukiwać informacje i okazało się, że matematycy dawno już ten problem zbadali. Zastosowano w tym celu metody probabilistyczne (używa się ich również na gruncie socjologii) i tzw. metody chaosu dynamicznego. Dzięki nim można modelować zachowania ptaków, stworzyć odpowiednie równania. Za tem zachowaniem społeczności ptaków rządzi pewien schemat. W ludzkich społecznościach też tak jest. Metody statystyczne świetnie się sprawdzają do opisu ruchu na autostradach, można nawet przewidywać korki na jezdni. Samochody oddziałują ze sobą tak, jak cząstki elementarne, tylko w inny sposób – nie za sprawą grawitacji, lecz poprzez mruganie światłami, przepisy ruchu drogowego, kieru-

nek jazdy itd. Z tym że w naukach społecznych predykcja oparta na matematyce jest zaburzona wolną wolą człowieka. Ptak nie może lecieć inaczej, niż mu instynkt każe. A człowiek wszystko może zrobić inaczej – na złość, z głupoty albo dlatego, że mu się tak podoba.

KB: Albo z chęci zaburzenia systemu.

MH: Tak. Z tego powodu metody matematyczne nie sprawdzają się w naukach społecznych tak dobrze, jak w fizyce czy biologii. Oczywiście nie tylko dlatego – to skomplikowany problem.

KB: Ale dojdziemy kiedyś do punktu, w którym wolną wolę ujmijemy w ramy matematyki? Na przykład dzięki zastosowaniu równań układów dynamicznych. Nauczmy się przewidzieć odstępstwo? W końcu to, co może wynikać z wolnej woli człowieka, może się mieścić w skończonej liczbie możliwości.

MH: Oczywiście. I nie musimy czekać, bo to już można dzisiaj robić, lecz w odniesieniu do zbiorowości. Nie można przewidzieć, czy dziś upije się Jan Kowalski, ale możemy przewidzieć, jaki procent Polaków to zrobi.

KB: A idąc dalej w nauki społeczne: czy dzięki metodzie matematycznej będziemy umieli wyjaśnić bardziej złożone fenomeny, na przykład dlaczego po rządach PO nastały rządy PiS, dlaczego w dziejach ludzkości wybuchały wojny czy choćby dlaczego ludzie zakochują się w sobie?

MH: Nie sądzę, żebyśmy kiedyś do tego doszli, ale nadal się upieram, że nie jest wykluczone, że matematyka rządzi wszystkim. Ale powtarzam: matematyka będąca nie-skończonym polem różnych teorii, modeli i struktur, których istnienia nawet nie podejrzewamy, a nasz umysł nie jest w stanie ich pojąć. Nasz mózg jest niezmiernie skomplikowanym i ciekawym urządzeniem, ale czy jest tak rozwinięty, że może pojąć cały Wszechświat i całą matematykę? Chyba nie. Ba, zaryzykowałbym stwierdzenie, że na pewno nie. Dlatego możemy podejrzewać istnienie struktur matematycznych, których nigdy nie poznamy, a one i tak będą rządzić jakimiś zjawiskami, które dla nas pozostaną niezbadane. W tym sensie nie wykluczam, że matematyka rządzi wszystkim, ale ta matematyka, która dla nas jest nieosiągalna.

KB: Czy sztuczna inteligencja, supermaszyna, jaką być może kiedyś zbudujemy, posługując się naszą niedoskonałą, bo niepełną matematyką, będzie w stanie ujawnić nam istotę matematyki przez duże „M”?

MH: Tutaj wchodzimy w science fiction albo dziedziny umiłowane przez dziennikarzy, które graniczą z irracjonalnością. Maszyny, które tworzymy, są tylko protezami racjonalności, protezami naszego myślenia. Istnieją rozmaite twierdzenia matematyczne, które określają, co maszyny mogą, a czego nie mogą. Oczywiście postęp jest duży, teoria może ulec zmianie, ale naszą podstawą myślenia o maszynach jest wciąż koncepcja maszyny Turinga. A co może maszyna Turinga, to może każda inna maszyna, czego zaś nie może maszyna Turinga, tego nie może żadna inna maszyna. Maszyna będzie tylko imitacją tego, co robi człowiek. Nasz umysł jest twórczy, maszyna jest odtwórcza. Wprawdzie jest szybka, co bardzo nam pomaga, ale dziś wszyscy, którzy używają matematyki, zgodzą się, że komputery są jedynie protezą myślenia. Ale dyskutując o postępie naukowym, warto przypomnieć powiedzenie: nigdy nie należy mówić nigdy.

KB: W książce „Przypadek” wspomniał ksiądz profesor – to była teza marginalna, ale zapadła mi w pamięć – że w USA

prawdopodobnie w większym stopniu niż w innych krajach polityka ma wpływ na naukę. W jaki sposób może ona wpływać przykładowo na fizykę?

MH: Przez finansowanie.

KB: Sądzi ksiądz profesor, że politycy i urzędnicy zajmujący się alokowaniem środków publicznych są w stanie zrozumieć najnowsze odkrycia fizyki, aby na tej podstawie manipulować przyznawanym finansowaniem?

MH: Oczywiście nie i dlatego w dużej mierze czynione jest to na ślepo i nie zawsze racjonalnie. Największy akcelerator cząstek elementarnych znajduje się w CERN-ie pod Genewą, ale on nie jest akurat amerykański, a europejski.

Amerykane również mają podobne urządzenia, ale znacznie mniejsze. Oczywiście chcieliby mieć większe. Wymyślili, że stworzą superzderzacz (Supercollider). Kanał, w którym pod Genewą odbywa się przyspieszanie cząstek, ma 27 kilometrów długości. Amerykanie chcieli zrobić kilka razy większy. Już nawet zaczęli kopać. Ale przyszedł koniec zimnej wojny, politykom odechciało się finansowania projektu, pojawiły się kampanie – będące faktycznie dezinformacją – wskazujące na bezzasadność takiej inwestycji. Przerwano budowę i nigdy do niej nie wrócono. Fizycy od cząstek elementarnych są bardzo zawiedzeni, bo mogłoby to naszą wiedzę bardzo popchnąć naprzód, ale to politycy zdecydowali. W innych krajach wpływ polityki i ekonomii na badania jest mniejszy, bo dysponują mniejszymi finansami.

Nasz mózg jest
niezmiernie
skomplikowanym
i ciekawym
urządzeniem, ale czy
jest tak rozwinięty,
że może pojąć cały
Wszechświat i całą
matematykę?
Chyba nie.

KB: Wielokrotnie powołał się ksiądz profesor na pojęcie racjonalności, w aspekcie filozoficznym i teologicznym. Ludzie mają wiele problemów w zwykłym codziennym życiu. Czy pojęcie racjonalności jest aplikowalne na tym gruncie? Czy racjonalność mogłaby nam jakoś pomóc?

MH: Myślę, że tak, tylko niestety ludzie nie zawsze lubią być racjonalni. Wystarczy wspomnieć o nierozsądnym gospodarowaniu pieniędzmi, o tych wszystkich problemach z kredytami, pożyczkami na rzeczy, które niekoniecznie są nam potrzebne. To typowe przykłady nieracjonalnego działania, które nieraz prowadzą do prawdziwych katastrof. Gdyby człowiek działał racjonalnie, nie byłoby wielu tragedii. Takie przykłady można mnożyć w nieskończoność. Chyba każdy może znaleźć w swoim życiu jakieś nieracjonalne wybory, których później żałował. Ale być racjonalnym też nie jest łatwo. Łatwiej jest widzieć nieracjonalność innych. Myślę, że to jest bardzo ważne, żeby ludzi uczyć racjonalnego działania. Jednak dzisiejsza kultura, styl, a także sposób wychowywania sugerują nam usuwać wszelkie ograniczenia. Wszystko można, a wartością jest realizowanie wszelkich swych zachcianek i możliwości. To jest irracjonalne. Tworzenie każdej struktury i każdej informacji zawsze polega na ograniczaniu. Jeśli chce się cokolwiek zbudować, ograniczanie jest niezbędne. Jeśli chcę budować dom, nie mogę równocześnie budować tunelu. Muszę się trzymać planu, według niego układać cegły, czyli w pewnym sensie ograniczać się. Informacja to też jest ograniczanie. Weźmy dowolny, chaotyczny zbiór liter – nie ma w nim żadnej informacji. Ale jeśli z tych liter ułożę ciąg „dzisiaj jest wtorek”, to za sprawą ograniczenia zbioru liter uzyskuję informację. Przechodzę od zbioru wielkiego różnych możliwości do zbioru ograniczonego regułami polskiej składni, regułami sensu, który chcę nadać. Przekazałem pewną informację. I taka jest definicja informacji – jest to ograniczanie większego zbioru możliwości do zbioru mniejszego. Samo wychowanie też polega na tworzeniu struktury, czyli na ograniczaniu. Chce mi się tysiąca różnych rzeczy, ale robię to, co trzeba. To jednak kosztuje, bo wiąże się z wysiłkiem. Tego trzeba uczyć młodych i samego siebie.

KB: Filozofia znów podpowiada nam, jak żyć.

MH: To było główne pytanie w filozofii greckiej. A także: co to jest szczęście? czy powinniśmy do niego dążyć? czy szczęście jest najważniejsze? Wszystkie szkoły greckie tym się zajmowały. Dzisiejsza filozofia nie szuka odpowiedzi na pytanie, jak żyć. Grecy powszechnie wyznawali pogląd, że człowiek jest mikrokosmosem. Że prawa racjonalności, które rządzą we Wszechświecie, rządzą też w człowieku. I to jest bardzo mądra filozofia.

KB: Chciałbym zapytać o kryminały. W jednym z wywiadów przyznał ksiądz profesor, że lubi sięgać po ten gatunek literacki.

MH: Lubię czytać kryminały, ale nie przesadnie. Gdy trafię na dobrego kryminała, to go chętnie czytam, później szukam drugiego i kolejnych. Po takiej serii mam spokój na kilka miesięcy. Zdecydowanie

mam nałóg czytania książek. Niekoniecznie muszą to być kryminały. Lubię bardzo beletrystykę, książki podróżnicze, historyczne. Kryminały są o tyle dobre, że jak mam trudną robotę naukową i umysł jest zmęczony, to bywają one świetną rozrywką. Nie wymagają jakiegoś zaawansowanego myślenia, ale nie są też głupie. Żądam od kryminału, aby zawierał zagadkę. Niespecjalnie przekonują mnie amerykańskie thrillery nastawione na bicie, gonitwę, ucieczkę. Preferuję klasyczne angielskie kryminały, gdzie detektyw rozwiązuje łamigłówkę, odwołując się do racjonalności. To mi się podoba. Oczywiście dzisiejszy postęp w kryminalistyce powoduje – i jest to motyw obecny we współczesnych kryminałach – że jeden detektyw na ogół nie jest w stanie wiele zrobić; niezbędne są zespół, laboratoria, rozbudowane analizy. Dopiero wtedy możliwe jest rozwiązanie problemu.

KB: A spogląda ksiądz profesor na naturę ludzką przedstawianą w kryminałach z perspektywy układów złożonych? Czy zbrodnie może być bifurkacją?

MH: Traktuję kryminały jako odzwierciedlenie życia innych, nieznanych mi ludzi. Moje własne życie upływa raczej w czterech ścianach, kontaktuję się z ograniczoną liczbą osób, które są dość nietypowe, bo przeważnie zajmują się nauką. Zaś współczesne kryminały ukazują nie tylko intrygę, ale także obraz społeczeństwa. Przyznam, że bardzo lubię czytać współczesne kryminały rosyjskie. Po upadku ZSRR wielu KGB-istów zaczęło pisać książki. Oni najlepiej wiedzą „jak się to robi”. Mieli takie metody, że mafie amerykańskie przy nich błędną. A przy okazji te książki opisują realia życia we współczesnej Rosji. W tym sensie kryminały mogą być pouczające.

KB: Dziś obowiązuje trend myślenia o sobie, ale także o innych w kategoriach efektywności zawodowej, sprawności, kariery itd. Ksiądz profesor jest aktywny zawodowo od dłuższego czasu i ma na tym polu ogromne sukcesy, potwierdzone osiągnięciami naukowymi i międzynarodowymi nagrodami. Czy taka postawa jest wynikiem określonej koncepcji życia, wynikiem powziętych przed laty postanowień, czy może pochodną wynikającą z wyznaczania sobie mniejszych celów?

MH: Od początku dobrze wiedziałem, czego chcę. Nie myślałem w kategoriach sukcesu, chociaż oczywiście wyobrażałem sobie, że jeśli coś się w przyszłości uda, to będzie dobrze. Miałem pewne zainteresowania i plany. I realizowałem je. Pasjonowała mnie nauka, poznawanie, ale także – wbrew pozorom – humanistyka. Mam umysł, co może być dla niektórych zaskoczeniem, raczej humanistyczny niż matematyczny. Matematyka nie przychodzi mi łatwo, muszę w nią wkładać spory wysiłek. A im bardziej wiek jest zaawansowany, tym ten wysiłek musi być większy. Jednak przez całe życie systematycznie ją studiowałem, co przyniosło pewne skutki, a nawet jakiś tam sukces. Poza tym kierowałem się w życiu zasadą, o której już wspominałem: nie robię w życiu tego, co chcę, tylko to, co uważam, że trzeba robić. Stosuję więc pewnego rodzaju ograniczanie materiału, aby coś z niego wydobyć.

Więzi między ludźmi przetrwały wojnę

Urodziła się nieco ponad rok po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Jej losy naznaczyła wojna, podczas której była żołnierzem, partyzantem, szpiegiem. Po wojnie poświęciła się pomocy tym, z którymi związało ją braterstwo broni i bój o ojczyznę.
Z **Haliną Górką-Grabowską** rozmawia Kamil Broszko.



Por. w st. sp. **Halina Górka-Grabowska**, z domu Holc (ur. 29 stycznia 1920 r. w Równem) – żołnierz, partyzant, agentka wywiadu Armii Krajowej. Pseudonim w partyzantce: „Katarzynka”. Po zakończeniu wojny zaangażowana w pomoc i wsparcie żołnierzy. Otrzymała wszystkie najważniejsze odznaczenia wojskowe, m.in. Krzyż Walecznych i Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. Dama Orderu Virtuti Militari.

Halina Górka-Grabowska

Kamil Broszko: Jest pani niemal równolatką odrodzonej Polski. Chciałem zapytać o pani losy, szczególnie o doświadczenia wojenne.

Halina Górka-Grabowska: Jako dziecko byłam pod opieką kobiety, która bardziej poświęcała się żołnierzom przebywającym w czasie wojny w szpitalach aniżeli własnym dzieciom. To pierwsze moje wspomnienie i atmosfera, która mnie ukształtowała.

KB: To była pani mama?

HGG: Tak.

KB: Była lekarką czy pielęgniarką?

HGG: Wolną sanitariuszką. Zostawiała dom, rodzinę i opiekowała się żołnierzami. Spełniała rolę dodatkowej pielęgniarki. I uważała, że to jest jej obowiązek, również dlatego, że jej bracia byli wówczas na wojnie, byli legionistami. A na Wołyniu, gdzie w miejscowości Równe przyszedł na świat, walk było sporo. Później pamiętam szkoły, podstawową, średnią... i znów wojnę. Lecz zanim wybuchła, wezwała mnie do siebie pewna pani, która była żoną generała. Zapytała mnie ściszym głosem, czy w razie działań zbrojnych będę wspomagać wojsko. I ja powiedziałam, że oczywiście zgadzam się na taką rolę. Miałam wtedy 17 lat.

KB: Została pani agentką wywiadu wojskowego?

HGG: Dokładnie tak. Tamta pani odebrała ode mnie przysięgę wojskową, z zastrzeżeniem, że nikt się o niej nie dowie. O tej przysiędze zawiadomiła dowództwo dywizji, potem dowództwo armii. Moje nazwisko zawędrowało przez Kowel do Lublina i w stosownych aktach odnotowano istnienie młodej żołnierki. Oczywiście nie miałam prawa nikomu o tym mówić, ale gdy nastąpiła wojna, uważałam się za pełnoprawnego żołnierza, na równi z tymi, którzy walczyli na froncie. Wypełniałam normalne rozkazy. O mojej roli i przysiędze wiedział dowódca 23 Pułku Piechoty we Włodzimierzu, natomiast pozostali oficerowie czy żołnierze nie orientowali się.

KB: Skoro działalność miała charakter tajny, musiała mieć pani przykrywkę. Rozpoczyna się wojna, mieszka pani na Wołyniu, w miejscowości Włodzimierz, i pracuje w...

HGG: Kiedy rozpoczęła się wojna, pracowałam w starostwie. Zaś moje pierwsze tajne zadania polegały na organizowaniu i wysyłaniu paczek dla osób wywiezionych na Syberię. Powiązany z nami pracownik poczty otrzymywał paczki w różnych godzinach dnia, a następnie nieoficjalnie dołączał je do transportu. Dostarczałyśmy z koleżanką na pocztę 10 takich paczek dziennie. Oczywiście wszystko to w konspiracji. Co ciekawe, kierownikiem tej poczty był Ukraińiec, który z nami współpracował. Niedługo później Niemcy postanowili zająć większe tereny i rozpoczęła się okupacja naszych ziem. Moja rola polegała na wykorzystaniu Niemców, którzy wykazywali ludzkie odruchy w stosunku do nas. Zgłosiłam się do pracy w przedsiębiorstwie zajmującym się ubojem, przetwórstwem

i sprzedażą mięsa, które realizowało dostawy dla armii niemieckiej. Jego szef, Niemiec, w swojej młodości był jeńcem na terenie Anglii, tam zresztą wyuczył się zawodu. Uważał – i mówił nam o tym – że to, co czynią Niemcy na naszych terenach, jest zbrodnią. Niemiec, były jeńiec angielski, doszedł do wniosku, że on nie ma prawa postępować tak, jak wielu przedstawicieli jego narodu. Namówiłam go, by wystawił mi kartę swobodnego poruszania się. To mi dawało praktycznie nieograniczony dostęp. Pod pozorem załatwiania spraw niemieckich wchodziłam do różnych urzędów, przedsiębiorstw, ale także do getta.

KB: Lawirowała pani między Niemcami i Ukraińcami, a na dodatek odwiedzała getto?

HGG: W tym kontekście przypomina mi się ciekawa historia. Kiedy odbywały się niemieckie łapanki, Ukraińcy chętnie w nich uczestniczyli. Odpowiadało im, że mogą wyrzucić na Polakach jakąś presję albo zemścić się za traktowanie ich jako naród trochę niżej ustawiony w hierarchii ludów. Ale to nie jest jedyna prawda. Byli też tacy Ukraińcy, którzy mówili: „Halinka, idziesz do getta? Zanieś im jakieś mięso”. Ponieważ Żydzi nie jadali wieprzowiny, dostawałam kawały wołowiny; wrzucałam je do torby i zabierałam ze sobą. Szłam z karteczką od mojego niemieckiego szefa, żeby oficjalnie coś w getcie załatwić, np. ostrzenie noży. A od kolegów Ukraińców dostawałam mięso, aby podrzucić je głodującym Żydom. Oczywiście te kilka kilogramów, zabrane przez drobną dziewczynę, to była kropla w morzu potrzeb. Ale Żydzi wiedzieli, że jeżeli ja wchodzę na teren getta, to nigdy nie mam pustych rąk.

KB: Ilu Żydów było we Włodzimierzu?

HGG: Na początku wojny tysiące, ale później ta liczba bardzo szybko rosła. Przyjeżdżali Żydzi ze Śląska, z Krakowa, Warszawy, Gdańska, Poznania – z całej Polski. Naprawdę to, co się działo we wschodniej części kraju, jak wielu Żydów tam się ukrywało, trudno dziś sobie wyobrazić. W pewnym momencie było ich we Włodzimierzu 60 tys. I tak kolejno Niemcy ich mordowali.

KB: Który to był rok?

HGG: Początek lat 40. Kiedy w 1943 r. poszłam do getta, Żydów zostało już tylko 6 tys. Mówię do przełożonego w getcie: „Srul, wyznacz jakąś grupę mocniejszych ludzi i daj mi ich pod opiekę. Zorganizuj ich w lesie. Mamy tam lekarzy, pielęgniarki, ziemianki, zapasy. To nie będzie łatwe, ale przynajmniej jest cień szansy, że przeżyją”. A on mówi: „Słuchaj, jest nas 6 tys. W jaki sposób mam z tych 6 tys. wybrać 150? Zginę razem z nimi”. I zginął, razem z większością. Natomiast niektórzy sami zdecydowali się wcześniej opuścić getto, znaleźli drogę ucieczki i przeżyli w lasach. Gdy w 1944 r. mieliśmy już zorganizowane oddziały w lesie, oni się zgłosili i było ich sporo.

KB: Zanim jednak znalazła się pani w lesie, trafiła do więzienia.

**Pułkownik Jan Wojciech Kiwierski,
dowódca 27 Wołyńskiej
Dywizji Piechoty AK**



© ARCHIWUM HALINY GÓRKI GRABOWSKIEJ

HGG: Zdecydował o tym nieszczęśliwy przypadek. Jeden z oficerów, który miał pewne kłopoty z pamięcią, zafundował sobie pas rupturowy i w nim przechowywał wszystkie dane siatki wywiadowczej z całego Wołynia. Ten człowiek wracał ze swojej misji, z Równego do Łucka, i władował się na ciężarówkę wypełnioną handlarkami. Każda z nich coś wiozła ze wsi do miasta, na przykład kury albo słoninę, aby trochę pohandlować. Kierowca ciężarówki chętnie zabierał te starsze kobiety, bo na nich zarabiał. Kiedy już dojeżdżali do Łucka, mijali ciężarówkę z niemiecką wartą. Niemcy chętnie podjęli kontrolę, głównie po to, aby trochę okraść handlarki. I podczas sprawdzania natrafili na mężczyznę, który wydał im się podejrzany, bo nie wiozł żadnych towarów. Zabrali go do Łucka, tam rozebrali do naga, wykonali szczegółową rewizję, sprawdzili też oczywiście pas rupturowy. A tam wszystko – dane ludzi z Łucka, Kowla, Włodzimierza, a nawet z odleglejszych obszarów Wołynia... Wtedy zaczęły się aresztowania.

KB: Ten człowiek miał przy sobie rozpisaną całą siatkę konspiracyjną?

HGG: Tak, nazwiska, hasła – wszystko w jednym pasie rupturowym. Później dobrze władający językiem polskim Niemcy wchodzili do domów ludzi działających w podziemiu i aresztowali w sumie 200 osób z całego Wołynia, w tym również mnie. Zgromadzili nas w Równem, w świetnie strzeżonym więzieniu. Były tam czujki sowieckie, ale też Ukraińcy czy Niemcy skazani za szabrowanie. I oczywiście Polacy, w tym cała nasza siatka. Przebywałam tam przez trzy miesiące. Zostałam wypuszczona w listopadzie 1942 r. A na przełomie lat 1942 i 1943 w tym więzieniu nastąpił bunt.

KB: Co było bezpośrednim impulsem do jego wybuchu?

HGG: Głodzenie, maltretowanie, poddawanie dzikim badaniom medycznym i znęcanie się nad więźniami. Notorycznie zabierano z celi więźniów i po kilku godzinach albo dniach przynoszono ich z powrotem, niemal martwych, pobitych do nieprzytomności. Nieraz zastanawiałam się tam, gdzie jest granica zła, jakie można wyrządzić drugiemu człowiekowi.

KB: Każde więzienie wymusza pewne adaptowanie się do warunków. Jak radziła sobie pani w więzieniu w Równem?

HGG: Byli tam osadzeni również niemieccy więźniowie. Karano ich za pospolite przestępstwa, najczęściej kradzieże. Oczywiście Niemcy byli traktowani inaczej niż Polacy czy inne nacje. Najczęściej pełnili jakieś funkcje, na przykład nosili kotły z kawą. Podawano nam tam kawę zbożową, lurę, bez żadnych wartości, tyle że była ciepła. Więźniami funkcyjnymi nigdy nie byli Polacy, jedynie Ukraińcy i właśnie Niemcy. Oni również podlegali presji więziennej, więc czasem odczuwali w stosunku do Polaków coś w rodzaju koleżeństwa. I ja to

wykorzystywałam. Ponieważ więźniowie niemieccy pełniący funkcje mogli poruszać się po całym więzieniu, w zamian za cebulę czy paczkę papierosów przekazywali informacje pomiędzy osadzonymi w różnych celach. Kobiety były przetrzymywane na drugim piętrze, zaś w piwnicach byli mężczyźni. Gdy chodziliśmy po spacerniaku, mogliśmy do otwartych cel na parterze czy w piwnicy – gdy tylko okienko było uchylone, a pilnujący Niemiec udawał, że

nie widzi – coś wrzucić. Chociażby cebulę czy jabłko. Oczywiście, żeby Niemiec nie widział, musiał swoją dolę dostać.

KB: Proszę jeszcze opowiedzieć o wspomnianym buncie. Choć wyszła pani już wcześniej z więzienia, z pewnością zna jego przebieg.

HGG: Nasi koledzy zdobyli drabiny, przystawili je do muru na podwórku więziennym i po prostu go przeskoczyli, a następnie uciekli na teren Równego. Ale tych, którzy mieli siłę, aby tego dokonać, było niewiele – co najwyżej jedna trzecia spacerujących wówczas po terenie więzienia. Niemcy bardzo szybko opanowali sytuację. Zaczęli ginąć ludzie, najpierw na drabinach, potem na podwórku więziennym. W końcu Niemcy zdecydowali się „oczyścić” całe więzienie – nikogo nie pozostawili przy życiu. Wszyscy więźniowie zostali rozstrzelani, a później przez jakiś czas na pola pod Równem ciężarówki wywoziły trupy.

KB: Trzy miesiące po pani wyjściu?

HGG: Wyszłam w listopadzie, a ta makabra w więzieniu była w styczniu. Zginęło wtedy na pewno co najmniej tysiąc osób. Bo to jednak były dwa piętra, parter i piwnice. W jednej celi siedziało 10 osób, a w salach żydowskich – kilkadziesiąt. Żydzi byli straszliwie stłaczani, prawie na stojąco tam przebywali. Kiedy Niemcy ich łapali, nieraz mieli przy sobie naprawdę pokażne sumy. Jedna z pań, chyba ze Śląska, miała w takim małym pudełeczku z kremem zatopione brylanty. Myślała, że jak Ukrainkę – która była funkcyjną – tym pudełeczkiem przekupi, to ona jej ułatwi przejście do celi dla Polaków. A Ukrainka wzięła pudełeczko, dowiedziała się, co w nim jest, i oddała gestapowcom, żeby wcześniej wyjść z więzienia, bo też była oskarżona o jakieś kradzieże. I w ten sposób wykupiła się i ją zwolniono. A z zawartości pudełeczka któryś tam z gestapowców skorzystał. Inni do więzienia szli tak, jak ich chwymano. Ja na przykład byłam w odwiedzinach u koleżanki i gdy wróciłam, to gestapo już czekało na mnie w domu. Więc to, co miałam w rękę i na sobie, mogłam zabrać do więzienia. Jeżeliby mi nie przyniesiono odzieży, tobym nie miała nawet w co się przebrać. Ale rodzina dostarczyła mi ciuchy.

KB: Wspomniała pani o sowieckich czujkach w więzieniu.

HGG: Była przykładowo jedna Rosjanka z Dalekiego Wschodu, która została na Wołyn przysłana jako agent, a dokładnie ktoś,

kto miał organizować ludzi przeciwko Niemcom. I ona wpadła. Ale umiała kłamać, udawać, miała kontakt z agentami na terenie Równego, którzy dostarczyli do gestapo odpowiednie zasoby, dzięki czemu ona wyszła. Oczywiście ktoś z wywiadu sowieckiego musiał nią sterować, ale też organizować dla niej wszelkie wsparcie. Opiekunowie i agenci ją uratowali.

KB: Jaką linię obrony przyjęła pani w więzieniu?

HGG: Udawałam – że się tak wyrażę – głupa. Co mogę mieć z tym wspólnego? Jestem za młoda, nie znam się, nic nie wiem. W końcu takie podejście zaowocowało i wypuszczono mnie z więzienia. Przekonałam Niemców, że jestem po prostu niekumata – tak to można nazwać językiem młodych ludzi. Gdy wróciłam do domu z Równego, oczywiście nie zamierzałam przerywać mojej działalności w podziemiu i w dalszym ciągu konspirowaliśmy na terenie Włodzimierza i poza nim.

KB: Do kiedy została pani we Włodzimierzu?

HGG: Do kiedy można było. Z tym wiąże się ciekawa historia. Ojciec był z zawodu zegarmistrzem, ale też naprawiał instrumenty muzyczne, głównie organy i trąbki. Był człowiekiem wszechstronnym, zarówno jeśli chodzi o umiejętności, jak i rzemiosło. Z tego powodu był znany lokalnie. Pewnego dnia przyszedł do niego Ukraińiec i powiedział: „Niech pan zabierze córkę, bo ona jest podejrzana, są na jej tropie”. Wysłano mnie na daleką wieś i tam działałam w konspiracji, pomagałam łącznikom kursującym między miastami. A co jest ciekawe w tej historii? Ukraińiec, który mnie uratował, wraz z rodziną przedostał się za Bug. I tu pozostał, z żoną Rosjanką. Polacy uznali ich za krajan i do końca swoich dni żyli spokojnie w Gdańsku. Zatem więź pomiędzy ludźmi, którzy sobie pomagali, pozostała również po wojnie.

KB: Jak podczas wojny polscy uciekinierzy, ale też szpiedzy, przemieszczali się na dużych odległościach?

HGG: Korzystali z tajnych ścieżek. Wiodły one z Syberii do Paryża, Wiednia czy Londynu, a powstały jeszcze w czasach carskich. Taką ścieżkę tworzyły powiązane ze sobą rodziny, różnych narodowości: Rosjanie, Ukraińcy, Kazachowie. Ukrywający się trafiał do kolejnych domów, w których się nim opiekowano. Kolega mojego męża uciekł z likwidowanego obozu spod Kijowa. Wzięto go na ciężarówkę, żeby pracował przy przewożeniu żywności do obozów jenieckich. On jednak skorzystał z okazji i gdy ciężarówka miała postój, zawieruszył się i trafił właśnie na taką ścieżkę. Jako jeniec musiał chodzić w mundurze i początkowo uciekał tak właśnie ubrany. Zobaczyła go jakaś starsza kobieta, wciągnęła do chałupy i powiedziała, że w takim mundurze to on daleko nie zajdzie. Przebrała go i podała mu następny namiar, gdzie się ma skryć. A on, korzystając z jej wskazówek, szedł od jednej naszej czujki do następnej, spod Kijowa aż do granicy z Polską. W Szepetówce powiedziano mu, że teraz musi liczyć na swoich, ale wcześniej przez

całą drogę był prowadzony. Korzystał też z jedzenia, które Ukraińcy i Rosjanie pozostawili na cmentarzach dla swoich zmarłych.

KB: Czyli to były polskie ścieżki?

HGG: To były stare polskie ścieżki, pochodzące z czasów carskich. O tych sprawach niewiele osób wie. Kolega męża zupełnie przypadkowo się uratował – dzięki temu, że ta stara niewiasta, Ukrainka, wciągnęła go do swojej chałupy i dała mu ciuchy. I wskazała następny etap. W ten sposób, idąc od domu do domu, dotarł aż do Szepetówki.

KB: Wracając do pani losów, jest rok 1943 i co dzieje się dalej?

HGG: Wróciłam do pracy i robiłam to, co trzeba było. Firma, w której pracowałam, zajmująca się zaopatrzeniem, wystawiała faktury dla armii niemieckiej za dostarczone dobra. Moją rolą było zdobywanie informacji zawartych w tych fakturach i przekazywanie ich łącznikowi polskiego wywiadu. Na podstawie tego, ile jednostka zamawiała zaopatrzenia, można było po prostu obliczyć, ilu jest żołnierzy w danej jednostce i w mieście. Te wszystkie informacje zbierałam, spisywałam i wysyłałam do kolejnej łączniczki, zresztą mojej kuzynki. Przyjeżdżał do niej łącznik od pułkownika z Hrubieszowa, oficjalnie podający się za handlarza sodą albo drożdżami. W jej domu zbierano i opracowywano dane nie tylko ode mnie, ale z całego Wołynia; w ten sposób w skondensowanej formie trafiały do dowództwa.

KB: Była pani na Wołyniu, miejscu trudnej historii, opowiedzianej choćby w filmie pod tym samym tytułem.

HGG: To prawda, ale proszę pamiętać, że wtedy Ukraińcy też ginęli. Komendantem milicji we Włodzimierzu był kolega z mojej matury. Jako Ukraińiec zorganizował oddział wyzwalający Wołyń dla Ukrainy – policję, która niszczyła Polaków. Ale banderowcy ten oddział zlikwidowali. To było stu kilkudziesięciu ukraińskich policjantów, którzy pod przewodnictwem Andrija Melnyka chcieli wyzwalać Ukrainę. Banderowcy uznawali ich za zbyt łagodnych.

KB: Ten oddział zlikwidowali poprzez rozformowanie czy jego członków wymordowano?

HGG: Banderowcy rozstrzelali cały oddział, z moim kolegą na czele, za to, że nie chcieli się przyłączyć. Melnykowcy nie zgadzali się na likwidację całych miejscowości zajętych przez ludność polską. Uważali, że to jest działanie przeciw Ukraińcom.

KB: Inny bolesny temat związany z Wołyniem dotyczy relacji polsko-ukraińsko-żydowskich. Dała pani wcześniej wspaniałe świadectwo pomocy Żydom w getcie...

HGG: Staram się w ogóle o tym nie wspominać i nie oczekuję żadnych pochwał. Są tacy, którzy pragną drzewka w Instytucie Jad Waszem. Ja nie chcę drzewka. Mam przyjaciółkę Żydówkę, dużo młodszą ode mnie, która ma ponad 80 lat. Grywam z nią w brydża.



Kiedyś jej opowiedziałam o moich przygodach w getcie, ale z zastrzeżeniem, że to wszystko ma pozostać tajemnicą.

KB: Ale jest pani świadkiem historii, która wciąż domaga się kolejnych głosów, relacji, wyjaśnień.

HGG: Jest już dużo tych głosów, mój nie jest potrzebny.

KB: Na początku 1944 r. dołączyła pani do 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej. Jakie miała tam pani obowiązki?

HGG: Obowiązki wywiadowcze i obowiązki łączności.

KB: Którą akcję zapamiętała pani najlepiej?

HGG: Była cała masa różnych zajęć, w których musiałam brać udział. Wymienię jedno. Polecono nam nawiązanie kontaktu z partyzantką sowiecką. Przeszliśmy na jej teren, a mój dowódca został zaproszony na uroczysty obiad do wódzów tamtej partyzantki. Był zauroczony ich przyjacielskim przyjęciem. Po powrocie opowiadał nam o tym. Ale kiedy on biesiadował, ja obserwowałam. I mówię do niego: „Panie poruczniku, w nocy wszystkich nas rozbiorą i wywiozą w głąb Związku Radzieckiego. W tej chwili wszystko, co ze sobą przywieźliśmy, jest grabione. Pański koń został już zabrany. Musimy się wyknąć o zmroku”. Nie wierzył mi. Więc poprosiłam, aby nie rzucając się w oczy, sprawdził nasze tabory i żołnierzy. Miałam rację. Zaleciłam żołnierzom, aby udawali, że śpią, a w nocy wyknęliśmy się niepostrzeżenie. Natrafiliśmy na wartę na granicy terenu tamtej partyzantki, lecz musiała nas puścić, bo mieliśmy wielokrotną przewagę. Oczywiście dowódca batalionu skontaktował się z moim dowódcą, gdy dowiedział się o sprawie, i groził oskarżeniem po wojnie o zdradę i złamanie rozkazu. Ale tamten dowódca nie przeżył wojny, a mojemu dowódcy się udało. Zresztą podobna była historia z „Bombą”.

KB: Z materiałem wybuchowym?

HGG: Nie, „Bomba” to człowiek – był dowódcą 600-osobowego oddziału partyzanckiego po drugiej stronie Wołynia, bliżej dawnej granicy Polski. Gdy wyniszczona grupa radzieckich partyzantów z południa Polski przeniosła się na Wołyń, on się nimi opiekował. Chorzy byli, wyczerpani, wygłodzeni. „Bomba” ich ubrał i nakarmił, lekarze zajęli się chorymi i po tygodniu stanęli na nogi. Pod pretekstem rewanżu dowódcy sowieckiej partyzantki zaprosili „Bombę” wraz z trzema strzelcami, lekarzem i księdzem na przyjęcie. W trakcie toastu zalali „Bombie” oczy i skuli mu ręce. Okazało się, że już czekała na niego awionetka. Zabrali go do Kijowa. Zwracam uwagę, że warto było wysłać stamtąd samolot, aby go porwać i aby oddział bez dowódcy, kapelana i lekarza przestał istnieć. A z Kijowa zabrali go na Łubiankę i tam dwa lata męczyli. Oskarżono go o działalność na rzecz wywia-

du brytyjskiego. A potem wysłano do kopalni, nad Ocean Spokojny. Kopał węgiel przez 10 lat. W końcu, po wielu latach starań, udało się go ściągnąć z powrotem. To była ciekawa historia. Pani, która kochała go już przed wojną, zgłosiła, że go wykupi. Była bardzo zamożna i zaproponowała, że zapłaci każdą cenę, aby tylko wrócił. Przeznaczyła na ten cel ogromną ilość biżuterii i wykupiła go. I dopiero po powrocie „Bomba”, czyli Władysław Kochański, mógł się z nią ożenić. A w czasie wojny nie chciał nikomu głowy zawracać. Tym bardziej że był „zrzutkiem”. Najpierw tajnymi szlakami uciekł do Anglii. Tam został świetnie przeszkolony przez brytyjski wywiad, a następnie zrzucony na spadochronie w celach dywersyjnych. Był jednym z pierwszych cichociemnych, został zrzucony na przełomie lat 1942 i 1943. Ciekawa postać, bardzo przystojny facet. Po powrocie do Polski skończył studia i pracował jako ekonomista. Ze względu na sytuację polityczną w kraju do wojska się oczywiście nie nadawał. Nieraz przyjeżdżał tu, do tego mieszkania, bo kontaktowaliśmy się w sprawie Wołynia i 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK. Miał ogromnej grubości łydki, opuchnięte i oropiałe, zaś palce u nóg miał tak odmrożone, że niektóre były szczątkowe. Te 12 lat w Związku Radzieckim uczyniło go wrakiem w sensie fizycznym, do końca miał jednak bystry umysł i znakomitą pamięć. Tutaj, w tym mieszkaniu, rozmawialiśmy nieraz do rana. Pomagałam mu przy myciu i do końca życia będę pamiętała te jego umęczone nogi.

KB: 26 lipca 1944 r. 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK została rozformowana. Co się dalej z panią działo?

HGG: Jeszcze wcześniej część naszej dywizji została rozdzielona na odrębne pułki. Ja znalazłam się w 25 Pułku Piechoty. Rozkazano nam przedostać się na wschód, przejść przez Prypeć na tereny zajęte przez Armię Czerwoną i dołączyć do armii Berlinga. Kiedy już tam dotarliśmy, przez miesiąc namawiano nas, abyśmy weszli w jej struktury. Nasi żołnierze odmawiali, twierdząc, że dowództwo jest w Londynie. Wyobraża pan sobie wściekłość NKWD-zistów, gdy zwykły żołnierz, taki w wieku 15–20 lat, mówił, że dowództwo jest w Londynie? W końcu z tej armii Berlinga przyszedł do mnie oficer, który był moim krewnym. Wcześniej sześć lat spędził na Syberii, tam znalazł się w grupie Polaków, która nie zdołała się wydostać do Persji, więc został automatycznie wcielony do wojsk na terenie Związku Radzieckiego. Zabrał mnie do siebie na trzy dni, żeby mnie odżywić, i mówi: „Halinka, powiedz temu swojemu dowódcy, żeby się przestał wygłupiać, bo Berling i tak żołnierzy sobie weźmie, a z oficerami robi to, co robił do tej pory”. Bo niepokorni oficerowie w armii dowodzonej przez Berlinga znikali. Choćby byli najbardziej wartościowymi żołnierzami. Zawsze znalazł się donosiciel.

KB: Rozumiem, że pani krewny przekonał panią i innych. Czym się pani zajmowała w armii Berlinga?

HGG: Uczyla polskich oficerów polskiego języka.

KB: To żart?

HGG: Bynajmniej. Tamtejsi polscy oficerowie dopiero musieli się nauczyć języka. Jeden z takich oficerów, mojego wzrostu i mojej ówczesnej tuszy, tzn. 50 kg żywej wagi, który notabene był Żydem, zapytał mnie, po co ja ich uczę polskiego. Stwierdził, że przecież ten język nie będzie potrzebny. Że w Warszawie czy w Krakowie będzie się pisać i mówić po rosyjsku. A ja męczę 30 oficerów, ucząc ich na siłę! I tak ich uczyłam od końca czerwca do połowy sierpnia. Dwóch moich uczniów z tej grupy spotkałam później na ul. Piotrkowskiej w Łodzi. Poznali mnie, ucieszyli się, mówili płynnie po polsku, ubrani byli w cywilne ciuchy. Znałam też innych. Jeden ożenił się z Polką i długo tutaj żył, na Białostocczyźnie, pracował w polskim wojsku. Dochował się dwójki dzieci i nagle armia radziecka zaczęła wycofywać oficerów sowieckich z armii polskiej. Kazano mu jechać na drugą stronę Bugu. Powiedziała mi, że nie ma prawa wyjeżdżać, straci wszystko i zostanie wysłany na Syberię. Lecz on zdecydował poddać się dyscyplinie. Jego żona nigdy nie dowiedziała się, co się z nim stało. Ona odmówiła wyjazdu do Związku Radzieckiego. Pozostała w Białymstoku ze swoimi dziećmi. A ja mu mówiłam: „Zmień nazwisko z Orzechowski na Orzechowski, zmień datę urodzenia, wyprowadź się na drugi kraniec Polski, to cię nie znajdą”. Ale pojechał i słuch po nim zaginął. Widywałam jeszcze kilka razy tych radziecko-polskich oficerów w Łodzi. Mówiłam im, że dobrze zrobili, wskakując w ubrania cywilne i zostając w Polsce. Ale nigdy nie podałam im swojego adresu, a gdy po spotkaniu wracałam do domu, zawsze szłam specjalną trasą, aby sprawdzić, czy nikt mnie nie śledzi. Nikomu nie wierzyłam. Wiedziałam, że nie mogę być pewna dnia ani godziny.

KB: W armii Berlinga zastał panią koniec wojny?

HGG: Rozstałam się z wojskiem wcześniej, dlatego że mój dowódca, a późniejszy mąż, został ciężko ranny na Wiśle, pod Puławami. Wykonywał tam próbę zwiadu, aby sprawdzić, jakie siły znajdują się po drugiej stronie rzeki. Okazało się, że stacjonuje tam ogromna armia niemiecka. Sprawiała wtedy polskim oddziałom krwawą łaźnię. Trzy bataliony ludzi z trzech pułków zostały dosłownie zmiecione z powierzchni ziemi, a batalion to są setki. Dowódcą jednego z tych batalionów, 5 Pułku Piechoty, był mój mąż. Ostrzał go podziurawił, ale jakoś dopłynął resztką łodzi do brzegu. Nawet uratował kilku ciężiej rannych. Najpierw powiedziano mi, że nie żyje, później – że jednak mu się udało, ale jego stan jest bardzo zły. Zgłosiłam się więc do opieki nad rannym dowódcą i jakimś cudem zwolniono mnie z armii. Przyjechałam do szpitala w Lublinie, w którym on się znajdował, i codziennie czuwałam przy jego łóżku. To, co on wypił czy zjadł, było podawane moimi rękami. Był całkowicie zabandażowany, tylko oczy było widać i usta. Nie wszystkie odłamki udało się wtedy usunąć z jego ciała, nosił je aż do śmierci. Kiedy zobaczyłam takiego truposza, nogi się pode mną ugięły. Przed wyjazdem do męża otrzymałam zaświadczenie, że jestem żołnierzem i mam się zgłosić do wojska w Lublinie. Usunęłam część dokumentu i pozostawiłam fragment, który ułatwiał mi

zarejestrowanie się jako były żołnierz. I to wszystko. Nigdy już nie zgłosiłam się do armii, bo wiedziałam, czym to się kończy.

KB: Pani dowódcą, a później mężem był Zygmunt Górka-Grabowski ps. „Zajac”. Jakie były jego losy, nim się państwo poznali?

HGG: Podczas wojny był w warszawskiej kompanii saperów, pełnił również funkcję instruktora i opiekuna młodzieży z ramienia Armii Krajowej, był wykładowcą i prowadził tajne kursy wojskowe w różnych prywatnych mieszkaniach. W konspiracji uczył młodych ludzi specyfiki wojsk piechoty. Oczywiście brał również udział w boju, wraz z saperami, w tym w tzw. akcji na 100 milionów oraz w likwidacji jednostek i zasobów niemieckich. Mąż trwał w Warszawie do 1944 r.

KB: A co się działo, gdy pani mąż wyszedł ze szpitala w Lublinie?

HGG: Z chwilą, gdy mąż wyszedł ze szpitala i trochę lepiej się poczuł, zabrano go do kwatermistrzostwa i został dowódcą zaopatrzenia polskiej armii w Lublinie. Wykorzystano fakt, że był fachowcem, saperem. Niestety komuniści wsadzili pięć osób z mojej rodziny do więzienia na zamku w Lublinie. Taka to była rodzina – co drugi służył w Armii Krajowej, niektórzy od 15. roku życia. To nie podobało się nowym władzom. Mąż zgłosił się w sprawie moich krewnych do generała Bukojemskiego, który dużo wiedział, dużo widział i sporo mógł. Znali się jeszcze sprzed ataku na Wiśle. Generał kazał mu zameldować o tym dowódcy. Mój mąż to uczynił i w ciągu 24 godzin przestał być oficerem armii polskiej, stracił dostęp do zaopatrzenia, stracił źródło zarobkowania. Pamiętam, jak po jakimś czasie z więzienia wyszedł mój wuj. I nagle mówi nam: „Zmywam się, nie mogę tu być. Zostawiam wam mieszkanie, a sam umykam na Śląsk”.

KB: W czasie powstania warszawskiego pani mąż był w szpitalu?

HGG: Kiedy mąż był w szpitalu, granica wciąż przebiegała na Wiśle, jeszcze nie przeszliśmy na drugą stronę. Dopiero po upadku powstania warszawskiego armia zajęła się wyzwalaniem, bo przedtem nie można było pomóc Warszawie. Były oczywiście jednostki, które „przypadkiem” trafiły na powstanie warszawskie. Miałam z tymi ludźmi do czynienia po wojnie – wszyscy zmienili nazwiska, daty urodzenia, pochodzenie.

KB: Jak można przypadkiem trafić na powstanie?

HGG: Żołnierze byli wysyłani na zwiad, ale decydowali się dołączyć do powstańców. Jednak później żaden z nich nie zdradził swojego prawdziwego nazwiska ani przynależności do wojska. To byli koledzy najpierw z 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, a potem z 1 Armii Wojska Polskiego, czyli armii Berlinga. Spotkałam się z nimi po wojnie, bo odszukali mnie i mojego męża. Okazywało się, że pan, który nazywał się przed wojną Zacharczuk, po wojnie ma na nazwisko Wojciechowski, Wiśniewski itd., kiedyś

Halina Górka-
-Grabowska
z mężem
Zygmuntem
w mieszkaniu
w Warszawie.



© ARCHIWUM HALINY GÓRKI-GRABOWSKIEJ

mieszkał w Warszawie, teraz – pod Wałbrzychem. Wcześniej z zawodu był saperem, a teraz uprawia kapustę.

KB: Mieliby problemy z ówczesną władzą?

HGG: Nie mogliby przyznać się do dawnego nazwiska. Przecież ilu z nich w dziwny sposób się rozpuściło. Właśnie tak, jak mnie uprzedzano. „Zamknij buzię i pilnuj się, bo nigdy nie wiadomo, co się stanie”. To, że mojego męża zwolnili z wojska, uchroniło go przed śmiercią i umożliwiło ucieczkę.

KB: Dokąd dokładnie?

HGG: Pojechaliśmy do Łodzi i pracowaliśmy w urzędzie miejskim. Najpierw zatrudnił się mąż. Dostaliśmy na miejscu mieszkanie. Potem, po spotkaniu z kolegami z przedwojennej podchorążówki, rozpoczął pracę w firmie, a ja weszłam do tego urzędu jako jego następczyni. Mąż zarabiał nieźle, ja trochę zarabiałam w urzędzie i jakoś zaczęliśmy żyć. Ale wszędzie spotykałam się z wtyczkami ubeckimi. Po wojnie zmieniałam pracę 13 razy, dlatego że nie pasowałam do ówczesnej koncepcji. Ale udało mi się przetrwać, bo miałam wdech i byłam nastawiona na milczenie, nie zdradzałam się przed nikim i z niczym.

KB: Jak znaleźli się państwo w Warszawie?

HGG: Zmieniła się sytuacja w pracy męża, przeniesiono jego firmę, zmienił się dyrektor. Część przyjaciół mojego męża przeniosła się do Warszawy i on do nich dołączył. Zajął na początku mizernie stanowisko, ale był szczęśliwy z powodu powrotu do Warszawy. Oczywiście nie mógł wrócić do armii, ale przynajmniej znalazł się wśród swych towarzyszy broni, byłych saperów. Pomagali zarówno sobie nawzajem, jak i tym, którzy wracali z obozów sowieckich, nieraz po długotrwałym internowaniu.

KB: Jak wyglądały państwa warunki lokalowe na początku pobytu w Warszawie?

HGG: Mąż dostał miejsce w hotelu robotniczym – 27 m kw. na pięć osób. Sąsiadka za ścianą miała psa, który był strasznie zapchlony, i te pachy przechodziły do nas. Jedna z pań wpełchała

do wspólnego sedesu poświęconą sosenkę, jakby liczyła, że w nim zniknie. W końcu wydzieliliśmy jedną z ubikacji, dorobiliśmy klucz i sąsiadka nie miała tam wstępu. W takich warunkach przemieszkaliśmy trzy lata. Mielśmy jednak dozoną przyjaciółkę, która była żoną wpływowego człowieka, prof. Aleksandra Jackiewicza. Dopiero on wymógł na władzach przedzielenie nam tego mieszkania, w którym się teraz znajdujemy. Przenieśliśmy się do niego w 1957 r.

KB: Czy można powiedzieć, że od tego symbolicznego momentu państwa życie potoczyło się już spokojniej?

HGG: Zależy, jak na to spojrzeć. Powiem panu, że wszystko, co po wojnie udało się zrobić dla żołnierzy 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, przechodziło przez nasze mieszkanie. Zdarzały się tu spotkania 30 byłych oficerów, partyzantów. Zaś człowiek, który reprezentował po wojnie ową dywizję jako dowódca, w swoim mieszkaniu nikogo nie przyjmował; ja się z nim spotykałam w samochodzie.

KB: Czyli w pewnym sensie nadal działała pani w konspiracji?

HGG: Można tak powiedzieć. W miejscu, w którym teraz siedzimy, pod podłogą jest drucziana siatka – instalacja podsłuchowa. Działała do 1987 r. Gdy wyjechaliśmy z mężem na dwa miesiące za granicę, syn spowodował, że siatkę odłączono. Taką samą instalację miał Jerzy Albrecht, mieszkający pod nami minister finansów. Skoro więc władza podsłuchiwała swoich ministrów, to co dopiero takich „wywrotowców” jak my?! Oczywiście wiedzieliśmy o tym podsłuchu. Odkryliśmy go podczas remontu instalacji kanalizacyjnej. Wszystkie drażliwe sprawy personalne, najgorsze i najcięższe tematy omawialiśmy w łazience. Z naszego mieszkania wysyłano wszystkie spisy, nazwiska, pseudonimy, napisane przeze mnie na maszynie. Nasza łączniczka, która dużo podróżowała w celach służbowych, zabierała naszą korespondencję do Londynu, a stamtąd od władz na uchodźstwie przychodziły zawiadomienia o przyznanych odznaczeniach. Całe nasze powojenne życie było podyktowane pragnieniem pomocy towarzyszom broni.



Rafał Olbiński w pracowni

Teraz światem rządzi populizm

O nonsensach we współczesnej sztuce, polskich elitach i polityce schlebającej najniższemu gustowi z **Rafałem Olbińskim** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

Marzena Tataj: Mamy pełnię lata, a spotykamy pana w pracowni na Starym Mieście w Warszawie, gdzie pędzle nie mają czasu wyschnąć.

Rafał Olbiński: Faktycznie dużo się u mnie zawodowo dzieje. Nie dalej jak tydzień temu odbył się wernisaż wystawy „The Virtue of Ambiguity” w Pałacu Sztuki w Krakowie, gdzie pokazałem ponad 90 obrazów z ostatnich lat. Zakończyłem też pracę nad albumem „Olbiński. Ars picturae”, zawierającym 70 sonetów napisanych przez Iana Davida Lukinsa pod wpływem moich obrazów. Całość będzie wydana w językach angielskim i polskim przez Wydawnictwo Bosh, a premiera odbędzie się 11 października w gościnnych wnętrzach Teatru Wielkiego w Warszawie.

Chciałbym zabrać się za sztukę teatralną lub scenariusz filmowy, bo mam kilka pomysłów, ale niestety brakuje czasu. Poza tym nie za dobrze sprawdzam się w pracy zespołowej, gdyż jestem za bardzo autorytarny. Tak przynajmniej twierdzą inni. Natomiast niewątpliwie prawdą jest, że wszelkie prace organizacyjne i zajęcia formalne mnie męczą. Byłem wprawdzie przed laty redaktorem artystycznym pisma „Jazz Forum”, ale tam miałem swobodę twórczą i nikt do mojej pracy się nie wtrącał. Oczywiście w dzisiejszych czasach nie ma już przyzwolenia na takie eksperymenty. A wtedy tym właśnie byłem – eksperymentem Jana Byrczka, pomysłodawcy i redaktora naczelnego „Jazz Forum”. Nic dziwnego, Byrczek był prezesem Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, kontrabasistą,



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

Rafał Olbiński (ur. 1943 r. w Kielcach) – malarz, grafik i twórca plakatów. Absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. Był dyrektorem artystycznym magazynu „Jazz Forum”. W 1981 r. wyemigrował do USA; wykładał na Temple University w Filadelfii i w School of Visual Arts w Nowym Jorku.

Zdobył uznanie na całym świecie, a jego prace zdobyły okładki czasopism: „Newsweek”, „Time”, „Business Week”, „New York Times”, „Der Spiegel”, „Stern”. Jest twórcą z ogromnym dorobkiem. Stworzył liczne plakaty dla amerykańskich oper (New York City Opera, Utah Opera, Pacific Opera San Francisco, Philadelphia Opera), a także scenografię operową do przedstawienia „Don Giovanni” w Filadelfii. W Polsce regularnie tworzył okładki dla miesięcznika „Charaktery”.

Jego prace prezentowane były na wielu wystawach w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Francji, Niemczech, Włoszech, Meksyku, Chile, Tajlandii i w Polsce. Można znaleźć je m.in. w kolekcjach tak prestiżowych instytucji, jak The National Arts Club w Nowym Jorku, Library of Congress w Waszyngtonie, Suntory Museum w Osace. Za swoje prace otrzymał ponad 150 nagród, w tym złote i srebrne medale przyznane przez Klub Dyrektorów Artystycznych w Nowym Jorku oraz Towarzystwo Ilustratorów w Nowym Jorku i Los Angeles.

W 2006 r. nagrodzony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, a w 2012 r. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla kultury polskiej i światowej. W 2013 r. otrzymał tytuł Wybitnego Polaka, przyznawany przez Fundację „Teraz Polska”.

członkiem zespołów Komedy i Kurylewicza, więc jako artysta rozumiał prawo do eksperymentu. Jako absolwent Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej bawiłem się zatem czymś, o czym nie miałem pojęcia, ucząc się przy okazji. A skoro nie miałem pojęcia i nie znałem reguł, to podchodziłem do nowej materii bardzo nieortodoksyjnie. Taka idea przyświeca mi przez całe zawodowe życie. Miałbym więc teraz chęć napisania scenariusza, ale po prostu nie mam czasu, bo przygoda z malarstwem, którą rozpocząłem 20 lat temu, zaczęła zupełnie niespodziewanie przynosić obfite owoce i obecnie maluję tylko na zamówienie. Obawiam się, że będę skazany na nawał pracy do końca życia. A lata lecą... Ale nie narzekam. Dbam o kondycję fizyczną, robiąc codziennie 100 pompek. Poza tym mieszkam na trzecim piętrze w budynku bez windy, co też siłą rzeczy wpływa korzystnie na moją formę.

MT: A nie myślał pan o scenografii teatralnej?

RO: Może panią zaskoczę, ale i to mam już za sobą. W 2002 r. zrobiłem scenografię do „Don Giovanniego” dla Opery w Filadelfii i miałem nawet bardzo dobrą prasę w „New York Timesie” i w „Philadelphia Inquirer”. Wprawdzie była to praca zespołowa, ale dyrektor Robert Driver dał mi wolną rękę i dlatego dobrze się to skończyło. (śmiech) Przyznam także – może nieco cynicznie – że praca w teatrze jest satysfakcjonująca, ale niezbyt godziwie płatna. Krótko mówiąc, mogę dostać te same pieniądze za mały obraz, który wymaga pracy przez trzy dni, co za scenografię, która zajmie mi trzy miesiące. Nie jest to bez znaczenia, kiedy ma się dzieci na studiach.

Kamil Broszko: Czy pana ciągoty do filmu i teatru nie wynikają z potrzeby odnalezienia nowych środków artystycznego wyrazu, bo treści, które chce pan przekazać, nie mieszczą się w dotychczasowych formach?

RO: Całe moje malarstwo jest literackie. Na przestrzeni wieków malarstwo służyło opowiadaniu historii poprzez obrazy. Dopiero na początku XX w. wymyślono abstrakcję, która nie wiadomo do czego nas doprowadzi. Kiedy studiowałem architekturę, uczyłem się różnych form kompozycji, co polegało na zestawianiu na przykład czerwonego kwadracika z czarnym patyczkiem. Nagle takie ćwiczenia pojawiają się w malarstwie i od razu są nazywane sztuką. Jest ona z założenia arbitralna, bo jak się narysuje czerwony kwadrat i czarną kreskę z jego lewej strony, to uznaje się to za wielkie dzieło, natomiast gdyby ta kreska pojawiła się po prawej stronie – dziełem już nie jest. W 1918 r. Kazimierz Malewicz namalował „Białe na białym”, a 50 lat później Frank Stella maluje czarne na czarnym. Widzę w tym wielkie oszukaństwo, niczym w „Nowych szatach cesarza”. Wszyscy wiedzą, że król jest nagi, ale boją się o tym powiedzieć. Jeżeli w Whitney Museum of American Art widzę ustawione rzędem walizki, to nie odbieram tego jako sztuki, tylko przypominam sobie, że muszę kupić walizkę. Nie wydaje mi się, żeby o taki odbiór dzieła chodziło artyście. Nonsens i pretensjonalność większości instalacji sztuki współczesnej są przygnębiające, bo żerują na głupocie społeczeństwa i wykorzystują cynizm manipulatorów – kuratorów, agentów, pośredników – którzy zarabiają ogromne pieniądze. Dla czegoż by nie wydać kilku milionów dolarów na kropki namalowane przez Hirsta? Owe kropki oczywiście niczego do sztuki nie wnoszą, ale ponieważ są podpisane „Damien Hirst” – kosztują miliony. Do tego sprowadza się sedno sztuki współczesnej. Dlatego ja uciekam w swoje opowiadania obrazami, metafory, które potrafią zainspirować wyobraźnię odbiorcy, jak choćby Iana Davida Lukinsa. *Ut pictura poesis* (z łac. jak w malarstwie, tak i w poezji) – ta sentencja Horacego stawia znak równości pomiędzy poezją i obrazem. Zatem nie ma nic dziwnego w tym, co robię, bo kontynuuję antyczną tradycję ludzi, którzy mieli poczucie estetyki i wiedzieli, na czym polega rola sztuki. Jest nią zaspokojenie zupełnie podstawowej potrzeby człowieka, jaką jest poczucie piękna. Obecnie dochodzi do paradoksu, że za kicz uważa się obraz z piękną kobietą lub wschodem słońca. A przecież te zjawiska istnieją w przyrodzie. Cegła zaprezentowana w muzeum jest dziełem sztuki, ale już ta sama cegła na budowie jest po prostu cegłą. To paranoja, która ogarnęła cały świat i na którą się nie godzę. Zatem z uporem uprawiam swoje literackie malarstwo, łatwo przekładalne na plakat czy ilustrację, bo poprzez metaforę przenosi treści, które każdy może odczytać na swój sposób.

MT: Czy rozpoczynając malowanie nowego obrazu, ma pan gotowy pomysł i przesłanie?

RO: Podstawowe kryterium twórcy to być zauważonym. Twist intelektualny czy formalny na obrazie powinien powodować, że widz się przed nim zatrzyma. Wtedy mam szansę przekazać w sposób



1

metaforyczny treści, które tak naprawdę są dostępne w bibliotece naszej cywilizacji. Jeżeli mój zamysł widz odczyta – jestem szczęśliwy. Jeżeli tak się nie stanie, jest to moja wina, bo sztuka czy piękno powstaje w oczach oglądającego. Gdy widz jest prymitywny, to piękno jest prymitywne, a gdy na sztukę patrzy człowiek wysublimowany, o dużej wrażliwości, to piękno też ma takie przymioty.

MT: To sprytne podejście, bo w ten sposób całą odpowiedzialność za odbiór sztuki przenosi pan na widza.

RO: Nie całą, bo pierwszym widzem i oceniającym jestem ja sam. I to swoją uwagę muszę najpierw przyciągnąć i siebie zaskoczyć. Dopiero później moja praca jest oceniana przez innych i ich ocena wcale nie musi się zgadzać z moją. Problem w tym, że widz jest coraz gorzej wykształcony i przygotowany do odbioru sztuki. Kiedyś piękno płynęło z góry. Najbardziej wykształceni i najpotężniejsi, jak królowie czy papieże, zamawiali dzieła u najwybitniejszych artystów. Następnie arystokracja, magnaci i biskupi starali się ich w tym naśladować, a na biskupach wzorowali się proboszczowie i mieszczanie. Każdy chciał się wzniesić na wyższy poziom. Teraz światem rządzą rynsztok i populizm, które windują na wyżyny popkultury. A resztką, która stara się chronić potrzebę prawdziwego piękna, została zepchnięta na margines. To wina polityków, bo to oni zabiegają o głosy obywateli. Jesteś chame



2

– świetnie! Bądź chame, bo potrzebujemy twego głosu. Chama nie można denerwować.

KB: Kultura popularna zapewnia artyście spełnienie kryterium bycia zauważonym.

RO: Oczywiście, ale jest ono ustawione na niezwykle niskim poziomie. Wystarczy zrobić kupę na środku ulicy i już mamy wydarzenie, które oddziałuje na ludzi, oczywiście tych prymitywnych. Tutaj nie jest spełnione drugie kryterium sztuki, mianowicie kryterium moralne, zgodnie z którym sztuka powinna starać się czynić nas lepszymi. Historia sztuki to historia odradzania. W starożytnej Grecji okres mykeński obfitował w wielkie dzieła, po czym nastąpiło 900 lat posuchy, aż do okresu hellenistycznego. Podobnie po ciemności średniowiecza nastąpiły czasy renesansu. Kultura fluktuuje, rozkwita, gaśnie i odradza się. Teraz znów jesteśmy w czarnej dziurze. Jak długo to potrwa? Oczywiście nie wiadomo, ale wierzę, że podstawowa potrzeba człowieka, jaką jest poczucie piękna, zwycięży raz jeszcze z populizmem.

MT: Dlaczego polska ziemia zrodziła tak mało artystów najwyższej próby?

RO: Sztukę tworzy cywilizacja miejska, czyli klasa średnia. Na polskich terenach jedynie Kraków był prawdziwym ośrodkiem



3

1 „Weather Forecast”

2 „Viva Espania”

3 „Justice”

4 „Oko Meduzy”



4

miejskim, załóżkiem klasy średniej, wymieszanej narodowo i wyznaniowo. Kiedy Wazowie przenieśli stolicę do Warszawy, Kraków podpadł, a Warszawa, położona na terenach należących do zubożałych książąt mazowieckich, nie zdołała wykreować klasy średniej. Magnateria z pobudek snobistycznych zamawiała dzieła u włoskich mistrzów. Bernardo Bellotto został sprowadzony na dwór Stanisława Augusta, a Jean-Pierre Norblin do posiadłości książąt Czartoryskich. Strukturę ówczesnego polskiego społeczeństwa dobrze oddaje „Pan Tadeusz” Mickiewicza. Szlachta zajmowała się polowaniem i grzybobraniem, robiła także zajazdy od czasu do czasu. Kiedy hrabia miał ochotę obcować ze sztuką, wyjeżdżał do Włoch. Chłostwo zapewniało państwu świeży chleb, zaś mieszczaństwa nie było w ogóle. Czy w takich warunkach mogła powstawać polska sztuka? Od stuleci żyjemy na pustyni kulturalnej. Czasem pojawiają się prawdziwe perełki, ale nikt o tym nie mówi. Na przykład ważną rolę w kształtowaniu się nurtu sztuki op-art odegrali polscy artyści tworzący w Stanach Zjednoczonych. Czołową postacią był Julian Stańczak. Uważa się nawet, że to od jego pierwszej indywidualnej wystawy „Optical Paintings” w Marth Jackson Gallery w Nowym Jorku w 1964 r. ukuty został termin „op-art”. W kontekście op-artu trzeba również wymienić Richarda Anuszkiewicza, mającego polskie korzenie i – podobnie jak Stańczak – związanego z Cleveland Institute of Art. Jego prace można podziwiać w Museum of Modern Art oraz Whitney Museum of American Art w Nowym Jorku. Kto o nich mówi w Polsce? Wybitnym przedstawicielem tego nurtu był również Wojciech Fangor, jednak dołączył zbyt późno, aby odnieść sukces finansowy. Mieliliśmy też wielkiego rzeźbiarza Igora Mitoraja (zmarł w Paryżu w 2014 r.), znanego na całym świecie. Niestety, na

jego pogrzebie nie było nawet przedstawiciela naszej ambasady... Tak więc są polskie nazwiska w panteonie sztuki nowoczesnej i dzięki nim powinna rodzić się tradycja.

KB: A jak widzi pan w tym kontekście rolę elit?

RO: Elita jest taka, jakie społeczeństwo. W Polsce elita jest mała i na dodatek ciągle jest niszczona – kiedyś przez siły zewnętrzne, teraz przez wewnętrzne. Nigdy elita nie będzie wygodna dla populistycznego rządu. Przed drugą wojną światową prawdziwa elita niemiecka opuściła kraj, a ci, którzy zostali, nie byli elitą, tylko de facto tubą propagandową. Władza próbuje tworzyć elitę z nadania, ale to nie ma racji bytu w dłuższej perspektywie, gdyż cechą immanentną elity jest jej ładunek intelektualny, poprzez który powinna oddziaływać. Musi też istnieć odbiorca gotów wykonać pewien wysiłek i ze zrozumieniem odebrać ten przekaz. Ludzie jednak wolą iluzję od prawdy, bowiem prawda wymaga zmierzenia się z konsekwencjami. Czyż nie prościej jest łudzić się i domagać na przykład redystrybucji przychodów według potrzeb, a nie według zasług? A przecież takie postępowanie demoralizuje społeczeństwo. Plutarch powiedział, że największym szkodnikiem dla wolności jest ten, który rozdaje przywileje i pieniądze za darmo. Syty niewolnik jest największym wrogiem wolności. Tak więc rozdając pieniądze, demoralizujemy społeczeństwo i niszczyliśmy demokrację. Jedyną szansą dla Polski są miasta. W ostatnim czasie bardzo się rozwinęły i nadal muszą się rozwijać, aby krzewić nowoczesne, postępowe myślenie elity. Argumenty prawdziwej elity trafiają do kilku osób. Można się pocieszać – mówiąc za Oliverem Cromwellem – że paru dzielnych ludzi tworzy większość. Faktycznie, jednostki tworzą historię, a masami się manipuluje.

KB: Ale może owe wyjątkowe jednostki dopadło rozleniwienie?

RO: Każde status quo, które trwa długo, powoduje rozleniwienie. Dlatego trzeba cały czas się kontrolować. W tym celu w demokracji potrzebna jest konstruktywna opozycja. Musimy też być przygotowani do konkurowania. O rynek walczy wiele silniejszych ekonomicznie państw i firm, więc nie powinniśmy się obrażać, ale wygrywać intelektem i sprytem. Myślenie, że jesteśmy Chrystusem narodów, powinno dawno odejść do lamusa.

Historia Polski to historia przegranych szans. Najgorzej, że nie uczymy się na swoich błędach. Mieliśmy szansę jedną na stulecie, aby wejść do zjednoczonej Europy, która jest rajem na ziemi w porównaniu z innymi państwami na świecie. Obserwowałem z Nowego Jorku, jak podziwiano nas za przyspieszenie gospodarcze dokonane w niezmiernie krótkim czasie. Polska zaczynała być postrzegana jako przyjazny, sympatyczny kraj uśmiechniętych obywateli. Teraz poruszamy się na salonach Europy jak cham w gumiakach. Więc drzwi zaczynają być przymykane, choć jest to czynione stopniowo, powoli, bo to kulturalni gospodarze...

KB: Czy będzie pan świętował rocznicę odzyskania niepodległości?

RO: Mam ambiwalentny stosunek do tego typu świąt. Patriotą się jest, nie mówi się o tym. Podoba mi się sentencja Edmunda Burke'a: *To make us love our country, our country ought to be lovely* (z ang. abyśmy pokochali nasz kraj, powinien on być cudowny). Chciałbym, żeby Polska była piękna, przyjemna, uśmiechnięta. Żebyśmy wszyscy byli życzliwi i serdeczni dla innych. To jest mój patriotyzm. Niestety w ciągu ostatnich lat pojawiły się na ulicach sztandary narodowców, wrogie twarze pełne nienawistnych haseł. Próbuje się usuwać ze świadomości publicznej ikony naszej historii. I robi się to dla doraźnych, politycznych celów. W ten sposób można zniszczyć samo pojęcie niepodległości jako czegoś ważnego i wyjątkowego dla każdego narodu. Łatwiej jest skierować myślenie obywateli na symbolikę biało-czerwoną, aby przez to unikać rozwiązywania prawdziwych problemów stojących przed tym narodem, wystarczy wspomnieć o zapaści demograficznej czy nadejściu epoki sztucznej inteligencji.

MT: A propos miast, pan jest prawdziwym zwierzęciem miejskim, z przekonania i wyboru.

RO: Jestem produktem cywilizacji miejskiej. Jestem liberałem, otwartym na kompromisy i tolerancyjnym, a tego nas uczy miasto. Najdłużej, bo 33 lata, mieszkalem w Nowym Jorku, ale ważne są dla mnie również Warszawa i Kielce – miasto mojego dzieciństwa. Wróciłem do Warszawy z powodów osobistych, ale także dlatego, aby zwolnić tempo, bo Nowy Jork jest dla młodych ludzi, gotowych na codzienną, morderczą konkurencję. Chciałem też być częścią rozkwitu, jaki jeszcze kilka lat temu dokonywał się w Warszawie i w Polsce. Poza tym lubię Europę, która ma do zaoferowania o wiele więcej niż Stany Zjednoczone. Nie mówię tu oczywiście o Nowym Jorku, który jest zupełnie innym tworem niż reszta USA. Kilka razy byłem w Kalifornii, ale czułem się tam zagubiony, jakbym wylądował na Marsie. Podobne odczucia miałem w Houston w Teksasie. Dobrze odnalazłem się w San Francisco, bo to trochę europejskie miasto. W USA mogłem żyć tylko w Nowym Jorku, który jest pełen ludzi utalentowanych, energicznych, przybywających do tego miasta z własnym bagażem doświadczeń, własnym talentem i przeświadczeniem, że odniosą sukces. Nowy Jork został w pewnym sensie stworzony przez Europejczyków, a renesans kulturalny tego miasta rozpoczął się przed drugą wojną światową, kiedy osiedlili się w nim Żydzi uciekający z Niemiec, tworząc elitę kulturalną całego kraju. W Polsce przedwojennej również tygiel polsko-żydowski wpłynął niezwykle twórczo na dokonania w dziedzinie filmu, literatury czy malarstwa. Niestety, druga wojna światowa pozbawiła nas tych artystów, a reszty dokonały wydarzenia 1968 r. Teraz stawiamy tak silne akcenty na jednolitość narodową, że za chwilę staniemy się XIX-wiecznym skansenem kulturalnym. Nie tędy droga.



„Valentine's Night”

MT: Lubi pan Warszawę?

RO: Lubię. Za piękny widok z okna pracowni na praski brzeg Wisły, za przyjaciół i ciekawych adwersarzy. W Polsce jest wielu ludzi otwartych i twórczych, niektórzy mają kompleksy, zupełnie niepotrzebnie. Ja zresztą kiedyś byłem taki sam, ale po 33 latach życia w Nowym Jorku wyzbyłem się całkowicie kompleksów i zdaję sobie sprawę, że przez to jestem wrogiem numer jeden dla niektórych środowisk. Lubię sobie przypomnieć takie powiedzenie, że pioruny krytyki zawsze walą w najwyższe drzewa. *(śmiech)* Jeżeli ma się osiągnięcia zawodowe w Nowym Jorku i w konkursie na plakat „Nowy Jork stolicą świata” pokonuje się artystów, których uważało się za swoich mistrzów czy ikony fachu, to mimo woli nabiera się pewności siebie.

MT: Stanisław Zagórski, wielki polski grafik, wieloletni dyrektor artystyczny wytwórni płytowej CBS, autor okładek płytowych największych muzyków amerykańskich, przytoczył taką historyjkę: „Któregoś dnia przed moimi drzwiami stanął duży mężczyzna w wielkim futrze. A pod pachą trzymał teczkę swoich prac. Wybitnych. Jak je zobaczyłem, to wybaczyłem mu to futro”. Mówią o panu „książę surrealizmu”.

RO: Stanisław Zagórski to wyjątkowa postać, absolutna czołówka grafików nowojorskich, twórca okładek magazynu „Time” i płyt Rolling Stonesów czy Milesa Davisa. Świetny nauczyciel w School of Visual Arts, gdzie ja zresztą również wykładałem. Wyjajmowałem od niego pracownię na Manhattanie, więc mieliśmy

bliskie kontakty przez wiele lat. A jeżeli chodzi o futro, to działałem w myśl zasady „wyróżnij się lub zgiń”. W latach mojej młodości w Polsce wszyscy nosili się na szaro lub brązowo, bo niczego innego w sklepach nie było. Już wtedy skombinowałem poniemiecki wojskowy płaszcz skórzany – tak bardzo chciałem się wyróżnić.

KB: Co odbiorca może dostrzec w pańskim malarstwie?

RO: Jeżeli sztuka ma być uczciwa, to musi być w pewnym sensie odzwierciedleniem i sumą naszych przeżyć czy wrażeń po przeczytanej książce, obejrzanym filmie, wysłuchanej muzyce. Dlatego też przeszedłem ze sztuki komercyjnej do sztuki pięknej, aby oddać to, co się nagromadziło we mnie przez wszystkie lata, i odkryć siebie na nowo. Całe nasze życie jest poszukiwaniem siebie. Moja twórczość jest taką wędrówką w głąb własnego ja. Określamy się poprzez swoją pracę, swoje dokonania. Ja szukam balansu pomiędzy rzeczywistością i jej wyobrażeniem.

KB: Na pana obrazach widzimy wiele kobiet, co nie jest niczym dziwnym. Ale też jest wiele wody...

RO: Chyba dlatego, że urodziłem się w Kielcach i morze zobaczyłem dopiero w wieku 15 lat. Pełna piratów literatura młodzieżowa sprawiła, że w młodości chciałem zostać marynarzem. Jedną z największych przyjemności mojego życia jest pływanie w morzu. Teraz mam swoje morze – na Martynice. Mówi się, że dziecko jest ojcem mężczyzny. Mam dom nad brzegiem oceanu, więc mogę się napawać jego pięknem i z niego korzystać.

Siłaczka od startupów

O nowej koncepcji wspierania polskiej innowacyjności, zwrocie z inwestycji w startupy i o tym, czy ważniejsze są pieniądze, czy zmienianie świata, z **Elizą Kruczkowską** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

Marzena Tataj: Spotykamy się w nowej siedzibie Polskiego Funduszu Rozwoju, na ostatnim piętrze znanego warszawskiego budynku CeDeT. Z okien pani gabinetu rozpościera się panorama na Wisłę i Saską Kępę. Na pierwszym planie widać jeden z najstarszych warszawskich neonów – globus Orbisu na kamienicy w Alejach Jerozolimskich. Piękne widoki za oknem, piękne widoki na przyszłość polskich startupów. Jaka jest pani rola w Polskim Funduszu Rozwoju?

Eliza Kruczkowska: Do nowej siedziby przenieśliśmy się dwa dni temu i nadal się urządzamy. W Polskim Funduszu Rozwoju zajmuję się budową ekosystemu innowacji i koordynacją tych działań w ramach programu ds. rozwoju innowacji – jednego z dziesięciu strategicznych programów Grupy PFR. Powstała ona, aby wywołać synergię działań instytucji odpowiedzialnych za wspieranie rozwoju gospodarczego w Polsce i za granicą. To miejsce dialogu, współpracy i racjonalizacji kompetencji. Chodzi o to, aby pracownicy każdej z instytucji wchodzących w skład Grupy (jest nas prawie 2 tys. osób) znali wzajemnie swoje oferty

i współpracowali przy tworzeniu nowych produktów i ich promocji skierowanej do klientów (tak nazywamy odbiorców naszych usług). W Grupie PFR jestem odpowiedzialna za nowe innowacyjne firmy, popularnie zwane startupami.

Kamil Broszko: Jaka jest relacja między pojęciami innowacji i startupu? Pytam, bo pani wcześniejsza działalność w organizacji pozarządowej najsilniej kojarzyła się właśnie ze startupami.

EK: Wcześniej pracowałam w fundacji Startup Poland, największej organizacji w Polsce zajmującej się startupami oraz edu-

Eliza Kruczkowska

cją polityków i samorządowców odnośnie roli innowacyjności w rozwoju społecznym i ekonomicznym kraju. Fundacja wspólnie z dr Agnieszką Skalą z Politechniki Warszawskiej przeprowadza coroczne badanie „Polskie startupy”, które ma na celu monitorowanie ekosystemu startupów i pokazanie trendów w polskiej gospodarce cyfrowej. Startup Poland pod kierownictwem nowej prezes nadal diagnozuje problematykę, pełniąc rolę think tanku. Ja natomiast przeszłam do sfery wykonawczej – budowy ekosystemu. Dzięki temu mam sposobność i obowiązek patrzeć na problematykę szerzej, nie koncentrując się jedynie na aspekcie poznawczym i medialnym. Mówiąc o wsparciu budowy ekosystemu, mam na myśli przede wszystkim wsparcie finansowe poprzez PFR Ventures – pierwszy w Polsce „fundusz funduszy”, który dysponuje kwotą prawie 3 mld zł, przeznaczonych na inwestycje zwrotne w nowe i rozwijające się spółki technologiczne z sektora MŚP poprzez pośredników finansowych, jak fundusze venture capital czy aniołowie biznesu. Obecnie współpracuje z nami 10 funduszy VC, które w naszym imieniu będą bezpośrednio inwestowały w startupy. Planujemy podpisanie umów jeszcze z kilkunastoma.

Z jednej strony zapewniamy kapitał do rozwoju, a z drugiej dbamy o edukację osób indywidualnych. Czasami ludzie przechowują pomysły w szufladzie i nie wiedzą, co zrobić, aby je skomercjalizować. Dlatego wspólnie z Allegro, Fundacją TDJ i Fundacją PFR uruchomiliśmy Szkołę Pionierów – program dla nowych talentów. Wybieramy 50 naszym zdaniem najbardziej obiecujących osób z całej Polski i przez trzy tygodnie poddajemy je intensywnemu szkoleniu przez praktyków z dużych firm technologicznych oraz inwestorów z funduszy działających w tym obszarze. Naszym celem jest wyposażenie

tych młodych ludzi w twarde umiejętności związane ze sprzedażą, marketingiem, tworzeniem zespołu i przygotowaniem się do rozmowy z inwestorem. Chcemy również, aby wspólnie z Natalią Hatałską (futurologiem) i Aleksandrą Przegalińską-Skierkowską z Akademii Koźmińskiego (ekspertem ds. sztucznej inteligencji) zastanowili się nad trendami w technologiach. Na koniec szkolenia wybrana przez nas pięćdziesiątka wyjedzie na specjalny, tygodniowy kurs edukacyjny, przygotowany dla nas przez Uniwersytet w Cambridge. Zakwalifikowani do programu „pionierzy” to ludzie w różnej sytuacji życiowej; jedni są studentami, inni pracują zawodowo. Mam nadzieję, że po naszym kursie łatwiej będzie im podjąć decyzję o stworzeniu własnego biznesu technologicznego.

Oprócz tego staramy się pomagać naukowcom w komercjalizacji pomysłów. Do tego służyć ma nasz drugi program Dobry Pomysł, w ramach którego poprzez platformę internetową można zgłosić pomysł, a nasi analitycy biznesowi i eksperci branżowi sprawdzą, czy nie jest już opatentowany i czy jest opłacalny biznesowo. Polska talentami stoi, zatem nic dziwnego, że do pilotażu programu zgłosiło się aż 600 kandydatów, z których wybraliśmy 35 osób. Przygotowujemy je do rozmowy z inwestorem, pomożemy stworzyć tzw. pitch deck, czyli prezentację dla inwestorów, pokażemy, jak założyć działalność gospodarczą, dobierzemy odpowiednie programy dotacyjne (oferowane przez PARP czy NCBR).

MT: Czy działanie PFR w tym względzie nie pokrywa się z rolą NCBR czy PARP?

EK: Działamy komplementarnie. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju to instytucja nadzorowana przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, mająca na celu wspieranie komercjalizacji i transferu wyników badań naukowych do gospodarki. PARP to agencja nadzorowana przez Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii, która wspiera przedsiębiorców sektora MŚP w zakresie pozyskiwania środków finansowych z budżetu państwa oraz funduszy unijnych. A my myślimy o przedsiębiorczości trochę szerzej. Naszym klientem nie musi być naukowiec czy przedsiębiorca, ale każdy, kto ma pomysł. Ponadto nie dotujemy przedsiębiorstwa, ale w nie inwestujemy, licząc na zysk z inwestycji po jakimś czasie. Jesteśmy bowiem instytucją finansową, która w zakresie wspierania startupów działa w modelu publiczno-prywatnym. Oznacza to, że kiedy zespół inwestycyjny posiadający środki prywatne przychodzi do nas z ofertą inwestycyjną, to w zależności od programu może liczyć na dokapitalizowanie inwestycji środkami w wysokości 50–80 proc. wartości funduszu. I to nie poprzez gwarancje czy ubezpieczenia.

KB: Waszymi interesariuszami są praktycznie wszyscy: młodzi ludzie myślący o własnym biznesie, firmy z doświadczeniem, naukowcy, fundusze inwestycyjne. Niemal cała Polska.

EK: Kiedy dwa lata temu pisaliśmy strategię Polskiego Funduszu Rozwoju, podzieliliśmy grupy interesariuszy na sześć kategorii: nowe innowacyjne przedsiębiorstwa, małe i średnie przedsiębiorstwa,

Eliza Kruczkowska

– dyrektor ds. rozwoju innowacji w Polskim Funduszu Rozwoju, koordynator rządowego programu Start in Poland. Poprzednio prezes fundacji Startup Poland, będącej centrum współpracy między firmami startupowymi i ośrodkiem wspierania ekosystemu startupów w Polsce. Specjalistka z zakresu szeroko rozumianego public relations.

© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM

duże przedsiębiorstwa, samorządy i sektor publiczny, inwestorzy zagraniczni oraz osoby indywidualne. Zastanawialiśmy się, co już jest dostępne na rynku, a co nowego można komplementarnie zaoferować. Najbardziej dumna jestem z tego, że zdołaliśmy otworzyć tzw. jedno okienko dla innowatora – platformę Startup.pfr.pl.

Po przeprowadzeniu badań wśród młodych ludzi zauważyliśmy, że dla nich nie jest ważne, do której instytucji pójść po pomoc – chcą po prostu wiedzieć, na co mogą liczyć w sytuacji, w jakiej się aktualnie znajdują. Szukają spersonalizowanej oferty. Podzieliliśmy zatem młodych przedsiębiorców na trzy kategorie. W pierwszej są osoby, które mają pomysł, ale jeszcze nie założyły działalności gospodarczej. To klienci Szkoły Pionierów czy Dobrego Pomysłu. Następnie rozróżniamy zespoły, które są na pośrednim etapie rozwoju, czyli mają już produkt i chcą go rozwijać. Albo jeszcze szukają odpowiedniego modelu biznesowego, zmieniając ścieżkę rozwoju lub sam produkt. Dla tej grupy mamy programy akceleryacyjne realizowane przez PARP lub Agencję Rozwoju Przemysłu (dysponując programami akceleryacyjnymi dla branży gier komputerowych, ale też łączącą początkujących przedsiębiorców z dużymi korporacjami). A na tych przedsiębiorców, którzy mają już produkt dobrze osadzony w polskim rynku i zastanawiają się nad wejściem na rynki zagraniczne, czeka oferta Polskiej Agencji Handlu i Inwestycji. Poprzez biura handlowe, m.in. w San Francisco, Toronto, Szanghaju i niebawem w Nowym Jorku, pomagamy wypłynąć na szerokie wody. Dla startupów są to atrakcyjne kierunki. Cała oferta, zawierająca obecnie 100 programów, jest dostępna na portalu Startup.pfr.pl, gdzie prowadzimy użytkownika za pomocą systemu podstawowych pytań, na przykład: na jakim etapie rozwoju jesteś? poszukujesz finansowania czy doradztwa? Niebawem dodamy na platformie panel logowania i wówczas każdy przedsiębiorca będzie mógł założyć konto i otrzymywać powiadomienia o naszych nowych programach. Wtedy będziemy w pełni innowacyjną instytucją wspierającą innowacje.

MT: Bardzo szybko udało się pani stworzyć nowoczesne narzędzie w państwowych strukturach...

EK: Nie byłoby to możliwe, gdyby nie prezes PFR, Paweł Borys, który jest człowiekiem otwartym na innowacyjność i nie waha się słuchać, co mówią mileniałsi. Tak żartobliwie nazywany jest mój departament, bo pracuje w nim wielu młodych ludzi, którzy myślą nieszablonowo. Być może wiemy o przedsiębiorcach więcej, bo nie boimy się z nimi rozmawiać. Wsluchujemy się w ich potrzeby. Nasz portal powstał zaledwie przed rokiem; obserwujemy, jak używają go nasi klienci, poprawiamy, rozbudowujemy. Jesteśmy zwinni w pracy i sami działamy jak startup. A przy tym dużo się uczymy, bo chcemy być jeszcze lepsi.

MT: Zbudować narzędzie komunikacji to jedno, ale zidentyfikować interesariuszy i ich otoczenie biznesowe, określić potrzeby i dotychczasową ofertę, wypunktować jej braki – to wyzwanie na miarę pozytywistycznej siłaczki.

EK: Początki nie były łatwe, bo najpierw musieliśmy sami sobie zaufać i nauczyć się współpracować. Myślę tu o dziewięciu instytucjach wchodzących w skład Grupy PFR: PFR, PFR Ventures, PFR TFI, KUKE, PAIH, PARP, ARP, BGK i BGK Nieruchomości. Postanowiłam organizować cokwartalne spotkania liderów poszczególnych projektów i specjalistów od innowacyjności ze wszystkich dziewięciu podmiotów. Na początku się docieraliśmy, a teraz wszyscy chętnie przychodzą i opowiadają o swoich projektach. Rozbijamy praktyki „silosowości” instytucji w Polsce. PARP na przykład uruchomił program Poland Prize, by pomóc zagranicznym startupom w rozpoczęciu działalności w Polsce. Jego celem jest wykreowanie Polski na kraj pierwszego wyboru prowadzenia działalności w Europie Środkowo-Wschodniej dla zagranicznych startupów. Z kolei, jak już wspomniałam, PFR Ventures ma 3 mld zł do zainwestowania i poszukuje dobrych projektów w Polsce. Dzięki integracji Grupy PFR rozpoczął się proces kompleksowego wsparcia innowatora na wszystkich etapach: pomysłu, edukacji, rozwoju i organizacji oraz inwestycji. Na tym polega przyjazny ekosystem. Ogromna w tym rola minister przedsiębiorczości i technologii Jadwigi Emilewicz oraz ministra inwestycji i rozwoju Jerzego Kwiecińskiego. To oni, niczym „aniołowie innowacji”, likwidują przeszkody i starają się koncyliacyjnie podchodzić do budowania relacji. Tak więc otoczenie sprzyja, a jak mówi prezes Borys, gdy pomysł jest dobry i racjonalny, to pieniądze się znajdują. Więc działamy z zapałem, czując realne wsparcie szefów. Tylko współpraca, otwartość i zaufanie do innych ludzi pozwalają odważnie tworzyć.

KB: Startupy są zjawiskiem globalnym. Narodziły się w USA, ale zawiadnęły umysłami obywateli także mniejszych krajów, jak Izrael czy Finlandia. Jak w tym kontekście Polska plasuje się na rynku globalnym? Czy w ogóle warto się porównywać?

EK: I tak, i nie. Warto poznać proces tworzenia instytucji wspierających innowacyjność w innych państwach. Warto też dzielić się własnymi doświadczeniami. I tak dzieje się w przypadku PFR. Na etapie powstawania PFR Ventures wymienialiśmy się wiedzą m.in. z Europejskim Bankiem Inwestycyjnym, Europejskim Funduszem Inwestycyjnym, ze szwedzkim Fund of Funds oraz BPI France, który jest odpowiednikiem PFR we Francji. Z mojej inicjatywy powstał projekt wymiany doświadczeń z innymi ekosystemami w Europie, do którego udało się zaangażować PAIH i PARP. Chcemy pokazać Europie Zachodniej, jak wygląda polski ekosystem innowacji, a także nawiązać współpracę, by w konsekwencji jeszcze lepiej wspierać polskich przedsiębiorców. W tym roku rozpoczniemy współpracę z Wielką Brytanią, Francją i Finlandią. Kiedy za granicą opowiadamy o programie wsparcia startupów Start in Poland, firmowanym przez minister Emilewicz, to kompleksowość tej oferty jest odbierana bardzo pozytywnie. O polskim ekosystemie startupów opowiadałam także w Mińsku, co wzbudziło duże zainteresowanie. Również na Białorusi dostrzega się potencjał rozwojowy innowacyjności.

Świetnie byłoby w Polsce znaleźć innowacyjne rozwiązania, które zmieniają świat, ale twardo stąпам po ziemi i wiem, że dużo ich nie będzie.

W zeszłym roku byłam w Paryżu na największej technologicznej konferencji Viva Technology. Widziałam tam stoiska dużych francuskich przedsiębiorstw, jak L'Oréal, Orange czy TGV, które na kilka miesięcy przed wydarzeniem rozpiwały konkursy na rozwiązania technologiczne, a ich zwycięzcy w nagrodę mogli wygłosić prezentację podczas konferencji. Z podziwem patrzyłam na wystąpienie przedstawicieli polskich startupów opowiadających o swoich projektach na stoisku TGV. To pokazuje, jak elastycznym i otwartym trzeba być w dzisiejszym świecie gospodarczym. Nie wolno bać się konkurencji, trzeba współpracować, a jednocześnie pilnować własnego interesu. Tak przecież robi premier Macron we Francji, gdzie ingerencje państwowe w gospodarkę są na porządku dziennym.

Wracając do pytania, nie wiem, czy powinniśmy porównywać się z Izraelem. Oni zaczęli swój program Yosma w 1993 r. My mamy zupełnie inną sytuację geopolityczną, gospodarczą, historyczną. Każdy gra swoimi korzyściami. Więc róbmy swoje, nie oglądajmy się na innych, ale też z pokorą podpatrujemy, co robią inni. Namawiamy przedsiębiorców, aby nie obawiali się porażki, ale też by nie byli w stosunku do siebie nadmiernie krytyczni. Ważne, że się uczymy i idziemy w dobrym kierunku.

KB: Da się tworzyć w oparciu o finansowanie z pieniędzy publicznych takie innowacje, aby zwrot z poniesionych nakładów był satysfakcjonujący w sensie ekonomicznym?

EK: Odpowiedź na to pytanie nie może być jednoznaczna, gdyż mamy jeszcze zbyt mało doświadczeń. Z jednej strony ostatni raport NIK pokazuje, że nie do końca wydatki na innowacyjność przełożyły się na wyniki gospodarcze. Według mnie powodem tej sytuacji jest mała absorpcja innowacji przez tradycyjny biznes. Młodzi tworzą innowacje i są gotowi je sprzedawać. Polskie startupy specjalizują się w rozwiązaniach B2B, więc odbiorca, którym jest biznes, musi być gotowy, aby te innowacje wdrażać. Nic nie dzieje się z dnia na dzień. Na początku startupy były takim kwiatkiem do kożucha i występowały głównie jako atrakcja wydarzenia marketingowo-piarskiego. Jednak teraz coraz częściej słyhać o wdrażanych w firmach innowacjach, które przekładają się na realne korzyści finansowe. Jeżeli takich przykładów będzie więcej – na większą skalę otworzy się u nas rynek rozwiązań technologicznych. Musimy nauczyć się sobie nawzajem ufać, współpracować, a potem już cierpliwie czekać na efekty.

KB: A może ostatecznie wszystko jest kwestią zarządzania, tzn. jeśli inteligentnie i rzetelnie zarządza się środkami publicznymi, to efektywność będzie rosła?

EK: Przede wszystkim musimy mieć jasno wytyczony cel i badać efektywność wydatkowanych pieniędzy. Gdy robimy w moim zespole planowanie produktów, to zawsze określamy kluczowe wskaźniki efektywności (tzw. KPI). Musimy wiedzieć, jakie umiejętności nabywa uczestnik naszych programów. Nie chcemy robić raportów dla raportów, ale myśleć o końcowych efektach, które rzeczywiście mają

coś zmieniać. Prezes Borys jest finansistą, cała nasza instytucja składa się z ludzi biznesu, którzy z szacunkiem podchodzą do pieniędzy. Ja wywodzę się z niskobudżetowej organizacji pozarządowej i jestem tutaj uważana za centusia, który ogląda dwa razy każdą złotówkę, zanim ją wyda. Bardzo rozważnie wybieramy to, w co inwestujemy i na co wydajemy pieniądze. Nasza praca musi się bronić merytorycznie. Musimy działać z głową, uczciwie, abyśmy każdego dnia mogli spojrzeć w lustro i powiedzieć: pomagamy innym, pozostając wiernymi swoim zasadom. Taka jest moja misja siłaczki.

KB: Czym według pani kierują się twórcy startupów? Wydaje mi się, że nieraz dla nich kwestia zarabiania schodzi na dalszy plan, a kluczowa jest chęć zmieniania świata.

EK: To prawda. Ich mottem jest *think big*. To bardzo amerykańskie.

KB: Pani zespół też kieruje się zasadą *think big* przy tworzeniu programów, ocenianiu projektów albo przy wytyczaniu strategicznych kierunków rozwoju całego zjawiska, jakim jest innowacyjność w Polsce?

EK: Bardzo wierzę w teorię środka. Oczywiście myślimy ambitnie – bez tego nie udało by się uruchomić wielu odważnych projektów. Ale z drugiej strony hołduję teorii małych kroków i pokornego rozwoju, nie inspirują mnie miliony na koncie i nowe ferrari. Wyznają protestancką etykę pracy – trzeba swoje wypracować, żeby do czegoś dojść. Tak zostałam wychowana i bardzo to szanuję. Przeważnie nie zostaje się milionerem w przeciągu jednej nocy. Świetnie byłoby w Polsce znaleźć innowacyjne rozwiązania, które zmienią świat, ale twardo stąпам po ziemi i wiem, że dużo ich nie będzie. A mały i średni biznes – internetowy czy technologiczny – też musi w Polsce powstawać, tak również da się zarobić pieniądze i rozwijać na innych rynkach. Miejmy więc odważne pomysły, ale też pamiętajmy, że musi się znaleźć na nie klient.

KB: W ostatnim czasie stała się pani twarzą innowacyjności w Polsce. Czy to duży ciężar mierzyć się z codzienną oceną swoich działań?

EK: Działając w ramach fundacji Startup Poland, tworzyłam jako jedna z kilkunastu osób załóżek ekosystemu startupów. Nagle otrzymałam propozycję – albo raczej rzucono mi wyzwanie – aby taki ekosystem ukształtować w Polsce. Podjęłam świadomą decyzję, że chcę owemu wyzwaniu sprostać. Mam w gabinecie wiele dyplomów i bardzo cenię sobie wyróżnienia otrzymane od środowiska startupów. Ale podchodzę do rzeczy z dystansem. Jestem z pogranicza pokoleń X i Y, co jest zaletą, bo rozumiem młodych, ale też potrafię rozmawiać ze starszymi. Wierzę w to, co robię; niektórzy mówią, że jestem autentyczna i dlatego ludzie mi ufają. Kocham swoją pracę i wierzę, że idę w dobrym kierunku. Ale nie robię tego sama. Moją siłą jest zespół i udana współpraca z przeróżnymi ludźmi. Sama niczego bym nie zrobiła!

Polska jedną wielką strefą ekonomiczną

W czerwcu tego roku weszła w życie ustawa o wspieraniu nowych inwestycji. Zwiększa ona obszar, na którym można uzyskać zachęty podatkowe, do niemal 100 proc. terenów inwestycyjnych w Polsce.

Adam Mikołajczyk

Jak dotąd preferencyjne traktowanie inwestorów dotyczyło jedynie 14 specjalnych stref ekonomicznych (SSE). W wyniku wprowadzenia ustawy cały kraj ma stać się atrakcyjniejszy dla innowacyjnych przedsięwzięć gospodarczych. Zmiany z niej wynikające mają ułatwić także funkcjonowanie małych i średnich przedsiębiorstw, które nie będą już musiały przenosić się do SSE i inwestować z dala od dotychczasowego obszaru działania, by uzyskać ulgi podatkowe. Poprzednia ustawa przystawała do rzeczywistości ekonomicznej Polski z lat 90., a jej głównym celem było pobudzenie bazy przemysłowej i likwidacja bezrobocia.

Potrzebę wprowadzenia ustawy tłumaczy minister przedsiębiorczości i technologii Jadwiga Emilewicz. – *Prawo przestało nadążać za zmieniającą się sytuacją gospodarczą w kraju i na świecie, co skutkowało m.in. podziałami regionalnymi. Ograniczenia terytorialne wymuszały na przedsiębiorcach i administracji wielomiesięczne procedury, które często prowadziły do rezygnowania z inwestycji. Czas korzystania z ulg podatkowych wyznaczała, już dwukrotnie zmieniana, data kończąca funkcjonowanie stref. Obniżało to inwestycyjną konkurencyjność Polski na arenie międzynarodowej* – twierdzi minister.

Ustawa definiuje nową inwestycję jako inwestycję w rzeczowe aktywa trwałe lub wartości niematerialne i prawne związane z:

- założeniem nowego przedsiębiorstwa,
- zwiększeniem zdolności produkcyjnej istniejącego przedsiębiorstwa,
- dywersyfikacją produkcji przedsiębiorstwa przez wprowadzenie produktów uprzednio nieprodukowanych w przedsiębiorstwie,
- zasadniczą zmianą dotyczącą procesu produkcyjnego istniejącego przedsiębiorstwa, z wyłączeniem przedsiębiorstwa, wobec którego wszczęte zostało postępowanie upadłościowe lub został złożony wniosek do sądu o ogłoszenie upadłości.

Ustawa wprowadza jednak fundamentalną zmianę: inwestycje te nie będą musiały się znajdować w granicach stref, które w tej chwili obejmują 25 tys. ha, co stanowi zaledwie połowę wielkości Warszawy (0,08 proc. powierzchni Polski). Nie oznacza to jednak, że pojawią się wszędzie, bo pewne lokalizacje będą uprzywilejowane. Z nimi wiązać się będą większe ulgi podatkowe. Ustawa przewiduje, że inwestorzy otrzymają punkty, m.in. za typ i miejsce inwestycji. Im więcej ich zdobędą, tym większe ulgi otrzymają. Na przykład więcej punktów zdobędzie firma, która chce zainwestować w regionie, gdzie bezrobocie jest wysokie (głównie we wschodniej Polsce) i któremu grozi wykluczenie społeczno-gospodarcze. Dotyczy to 122 miejscowości w Polsce, m.in. Przemyśla, Grudziądza, Zamościa, Zakopanego, Mielca, Augustowa, Malborka czy Sieradza. Rząd liczy, że wsparcie dla inwestorów umożliwi utworzenie 480 tys. miejsc pracy.

Intencją projektodawców jest wspieranie inwestycji (przede wszystkim z sektora produkcyjnego oraz usług), które będą rozwijały i wzmacniały polską gospodarkę i jej pozycję w konkurencyjnym otoczeniu. Decyzja o wsparciu wydawana jest po spełnieniu kryteriów ilościowych i jakościowych. Kryteria ilościowe to minimalne koszty inwestycji w powiecie z określonym poziomem bezrobocia. W rozporządzeniu przyjęto zasadę, że im wyższa stopa bezrobocia w powiecie, tym niższa wymagana kwota inwestycji. Ponadto w przypadku mikro, małych i średnich przedsiębiorców oraz inwestycji w zakresie nowoczesnych usług dla biznesu szczegółowe warunki dotyczące kryteriów ilościowych obniża się odpowiednio: dla mikroprzedsiębiorców o 98 proc., dla małych przedsiębiorców o 95 proc., a dla średnich przedsiębiorców i nowoczesnych usług dla biznesu o 80 proc.

Przedsiębiorca ubiegający się o decyzję o wsparciu – w zależności od stopy bezrobocia w powiecie właściwym dla miejsca

Decyzja o wsparciu, kryteria ilościowe

Poziom bezrobocia w powiecie jako % średniej krajowej	≤ 60% średniej krajowej	od 60% do średniej	od średniej do 130%	130–160%	160–200%	200–250%	>250%
Poziom bezrobocia w powiecie w %*	4,2 lub mniej	4,3–7,0	7,1–9,1	9,2–11,2	11,3–14	14,1–17,5	więcej niż 17,5
Minimalne koszty kwalifikowane	100 mln zł	80 mln zł	60 mln zł	40 mln zł	20 mln zł	15 mln zł	10 mln zł

Źródło: Deloitte Polska

*Przy uwzględnieniu aktualnej średniej krajowej stopy bezrobocia, zgodnie z obwieszczeniem prezesa GUS (obecnie 7%)

realizacji nowej inwestycji oraz wielkości firmy – musi spełnić jedno z kryteriów ilościowych dotyczących wysokości kosztów kwalifikowanych inwestycji (10–100 mln zł) w zależności od stopy bezrobocia w powiecie (60–250 proc. przeciętnej stopy bezrobocia w kraju).

Z kolei kryteria jakościowe są to warunki zgodności ze średnio-okresową strategią rozwoju, o której mowa w Ustawie z 6 grudnia 2006 r. o zasadach prowadzenia polityki rozwoju (Dz. U. z 2016 r. poz. 383, z późn. zm.). Należą do nich m.in. określony poziom sprzedaży eksportowej, współpraca z jednostkami badawczo-rozwojowymi lub naukowymi, posiadanie statusu dla mikro, małej i średniej przedsiębiorczości, przyczynianie się do rozwoju klastrów sektorowych, prowadzenie działalności w zakresie badań i rozwoju czy wspieranie pracowników w zdobywaniu wykształcenia i kwalifikacji zawodowych.

Powyższe kryteria są zróżnicowane w zależności od tego, czy przedsiębiorca zamierza inwestować w sektorze usług, czy też w sektorze produkcji przemysłowej. Ubiegający się o uzyskanie decyzji o wsparciu nie musi spełnić wszystkich powyższych warunków. Za spełnienie każdego z nich wnioskodawca otrzymuje 1 punkt. Maksymalnie można uzyskać 10 punktów – zarówno dla projektów dotyczących sektora usług, jak i sektora produkcji przemysłowej. Uzyskanie 6 punktów kwalifikuje projekt do dalszego postępowania. Maksymalna intensywność regionalnej pomocy inwestycyjnej liczona jest jako stosunek ekwiwalentu dotacji brutto do kosztów kwalifikujących się do objęcia tą pomocą. Okres, na który wydawana jest decyzja o wsparciu, ustala się na 10, 12 lub 15 lat. Jest on zależny od lokalizacji inwestycji.

Zdaniem ekspertów ustawa ma szansę pobudzić rozwój gospodarki kraju i zrównoważyć różnice między regionami. Co ważne, szanse na wyższe ulgi podatkowe będą miały mikro, małe i średnie

Decyzja o wsparciu, kryteria jakościowe

A	Rozwój strukturalny
1	tworzenie wysokopłatnych miejsc pracy i oferowanie stabilnego zatrudnienia
2	inwestowanie w projekty usługowe wspierające branże zgodne z aktualną polityką rozwojową kraju, w których Polska może uzyskać przewagę konkurencyjną
3	określony poziom sprzedaży ekspresowej
B	Rozwój naukowy
4	przyczynianie się do rozwoju klastrów sektorowych / współpraca z jednostkami badawczo-rozwojowymi lub naukowymi
5	prowadzenie działalności w zakresie badań i rozwoju / tworzenie centrum nowoczesnych usług dla biznesu o zasięgu wykraczającym poza Polskę
C	Rozwój zrównoważony
6	podejmowanie inwestycji na obszarach o wysokim poziomie bezrobocia
7	posiadanie statusu dla mikro, małej i średniej przedsiębiorczości
8	miejsce lokalizacji inwestycji
D	Rozwój zasobów ludzkich
9	współpraca ze szkołami branżowymi / podejmowanie dodatkowych działań z zakresu opieki nad pracownikiem, np. oferowanie pracownikom udziału w dodatkowych programach opieki zdrowotnej
10	wspieranie pracowników w zdobywaniu wykształcenia i kwalifikacji zawodowych

Źródło: Deloitte Polska

Decyzja o wsparciu, intensywność pomocy

Obszar	Maksymalna intensywność
województwa: lubelskie, podkarpackie, warmińsko-mazurskie i podlaskie	50%
województwa: kujawsko-pomorskie, lubuskie, łódzkie, małopolskie, opolskie, pomorskie, świętokrzyskie, zachodniopomorskie; na obszarach należących do podregionów: ciechanowsko-płockiego, ostrołęcko-siedleckiego, radomskiego i warszawskiego wschodniego	35%
województwa: dolnośląskie, wielkopolskie i śląskie	25%
podregion warszawski zachodni	20%
miasto stołeczne Warszawa	10%

Źródło: Deloitte Polska

firmy. Będą one miały też niższe wymagania co do wysokości inwestowanych kwot. Do tej pory bowiem pod uwagę brane były przede wszystkim kryteria ilościowe, tj. wielkość inwestowanego kapitału i liczba oferowanych miejsc pracy. Dlatego o zwolnienia z podatku aplikowały głównie duże zagraniczne firmy, które ze względu na rynki zbytu inwestowały przede wszystkim na zachodzie i południu Polski. Polskie przedsiębiorstwa rzadko były w stanie podjąć decyzję o zainwestowaniu dużej kwoty czy utworzeniu tysiąca miejsc pracy. To praktycznie uniemożliwiało wejście do SSE, zwłaszcza małym i średnim przedsiębiorstwom. Idea jednej wielkiej strefy ekonomicznej ma przełamać dotychczasowy schemat inwestycyjny. Dzięki ustawie będzie można zrównoważyć nasycenie inwestycjami i w większym stopniu wykorzystać potencjał całej Polski. Będzie również możliwe promowanie firm, dla których mniejsze miasta są atrakcyjnymi miejscami do lokowania przedsięwzięć.

Przedsiębiorcy ustawiają się w kolejce po wsparcie. Do Pomorskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej (PSSE) zgłosiło się już kilkunastu przedsiębiorców zainteresowanych skorzystaniem z pomocy publicznej w związku z nowymi inwestycjami. – Według wstępnych analiz minimum 90 proc. ze wspomnianych projektów inwestycyjnych zakwalifikuje się do uzyskania wsparcia – komentuje Paweł Lulewicz, wiceprezes strefy ekonomicznej na Pomorzu. To efekt kilkumiesięcznej akcji informacyjnej „Strefa w każdej gminie”, w ramach której pracownicy PSSE odwiedzili 180 gmin z 226 funkcjonujących w obszarze pomorskiej strefy. Celem spotkań była m.in. analiza i diagnoza terenów inwestycyjnych, aby w oparciu o istniejącą infrastrukturę zbudować ofertę inwestycyjną. Zaproszono także przedstawicieli MŚP. – *Chcieliśmy im uświadomić, że teraz strefa ekonomiczna to także oferta*

dla mniejszych graczy rynkowych, którzy nie muszą kupować dużej powierzchni ani budować ogromnego zakładu, aby otrzymać ulgę podatkową – dodaje Lulewicz.

Również z perspektywy samorządu miasta Łodzi ustawa o wspieraniu nowych inwestycji jest słusznym rozwiązaniem. – *Nasze miasto zawsze miało deficyt skonsolidowanych gruntów publicznych, które można by było przeznaczyć pod inwestycje. Wprowadzane zmiany rozwiązują zatem wiele problemów* – komentuje Adam Pustelnik, dyrektor Biura Obsługi Inwestora i Współpracy z Zagranicą Łódzkiego magistratu. Zresztą i bez tych ułatwień Łódź w ostatnim czasie przeżywa boom inwestycyjny. Najwięcej dzieje się wokół słynnego już Nowego Centrum Łodzi i EC1. Obok nowego dworca Łódź Fabryczna powstaje właśnie Brama Miasta. Do nowo tworzonego w centrum przestrzeni biurowych Łódź pozyskuje inwestorów usługowych, w tym firmy z sektora BPO (outsourcing procesów biznesowych) i nowoczesnych technologii oraz centra badawczo-rozwojowe. Strategię inwestycyjną miasta uzupełniają działania dotyczące lokowania inwestycji przemysłowych na obrzeżach Łodzi, obecnie w zachodniej części miasta, gdzie przebiega autostrada A1. – *Nie zapominajmy także o trwającym procesie rewitalizacji, który uruchamia inwestycje prywatne, wkomponowywane w odrestaurowaną tkankę Śródmieścia. Obserwujemy obecnie w centrum miasta napływ inwestycji na niespotykaną dotąd skalę. Gros z nich to projekty mieszkaniowe, w tym z najwyższej półki, których wcześniej w Łodzi nie było* – dodaje Pustelnik. Nowe mieszkania mogą się przydać, bo Łódź szuka również nowych mieszkańców. Ruszył właśnie ogólnopolski projekt pn. Mobilna Łódź, który ma promować nowoczesny potencjał miasta i jednocześnie zachęcać młodych ludzi z innych regionów kraju do studiowania, pracy i zamieszkania w Łodzi. Kolorowy autobus z jednorożcem odwiedzi w sumie 30 lokalizacji, w których Łódź zaprezentuje swoje możliwości, mające przyciągnąć zwłaszcza specjalistów z sektora AGD, BPO, IT i logistyki.

Ustawa jest także naturalnym impulsem dla samorządów regionalnych i lokalnych do zaktywizowania działań promocji gospodarczej. I to nie tylko w zakresie promowania atrakcyjności inwestycyjnej (przyciągania nowych inwestorów), ale także budowania klimatu inwestycyjnego, związanego ze stabilnością i pozytywnymi doświadczeniami przedsiębiorców. Decydującą rolę pełni potencjał regionu czy miasta (położenie, zasoby, wiedza, umiejętności itp.), czyli zestaw czynników lokalizacji oraz promocja gospodarcza, która kształtuje informacje, uporządkowuje je, ukierunkowuje i udostępnia, wpływając tym samym na procesy decyzyjne inwestorów i przedsiębiorców. Charakter klimatu inwestycyjnego jest natomiast pochodną satysfakcji inwestorów i przedsiębiorców, decyzji i zachowań władz regionalnych i menedżerów jednostek powiązanych z kształtowaniem warunków do działalności gospodarczej. Elementem tych działań jest m.in. stwarzanie dogodnych warunków

dla rozwoju biznesu. Jeśli klimat inwestycyjny jest sprzyjający i wyróżniający, działa na zasadzie efektu śnieżnej kuli – przyciąga kolejnych inwestorów i przedsiębiorców. W tym kontekście zdecydowanie lepiej sprawdzają się bezpośrednie kontakty i budowanie trwałych relacji poprzez spotkania, prezentacje i wizyty studyjne. Kolorowe kampanie promocyjne w prasie specjalistycznej, na outdoorze czy w Internecie nie są tutaj najskuteczniejszą strategią. Warunkiem udanej promocji regionu czy miasta jest bowiem stworzenie nowoczesnych, niebiurokratycznych ram dla efektywnej współpracy wielu grup partnerów – jednostek samorządu terytorialnego, instytucji otoczenia biznesu, przedsiębiorstw, agend rządowych – na wzór udanych projektów realizowanych swego czasu w Poznaniu (Konsorcjum Marki Poznań) czy województwie opolskim (Klub 150). Warto w tym kontekście wspomnieć przykład Berlina – już ponad 20 lat temu powstała tam inicjatywa Berlin Partner, która ma umożliwiać miastu efektywny rozwój poprzez przyciąganie nowych inwestorów, firm i rynków zbytu. Pomaga także inwestorom pragnącym założyć swoją firmę w stolicy Niemiec, a także tym, którzy chcą rozwijać zakres jej działania na terenie miasta lub na szczeblu międzynarodowym. W ramach partnerstwa publiczno-prywatnego inicjatywa wspierana jest przez 236 firm i instytucji naukowych. Berlin Partner jest miejscem pierwszego kontaktu dla firm, oferuje im zindywidualizowane i dostosowane do potrzeb usługi w zakresie znalezienia odpowiedniej lokalizacji, finansowania, kontaktu z władzami miasta oraz uzyskania wymaganych pozwoleń czy rekrutacji wykwalifikowanego personelu. Dodatkowo organizuje wiele różnych wydarzeń i spotkań networkingowych, które pomagają w kontaktach i wspomagają budowanie relacji wszystkich interesariuszy.

Zmiany w systemie przyciągania i obsługi inwestorów w Polsce będą miały swoje konsekwencje w postaci nowych możliwości dotyczących pozyskania inwestorów oraz promocji gospodarczej. Szczególnie skorzystają biedniejsze regiony, zwłaszcza te powiaty i gminy, które borykają się ze stosunkowo wysoką stopą bezrobocia. Tak jak na przykład województwo warmińsko-mazurskie, które po sukcesie związanym z wykreowaniem atrakcyjnej i wyrazistej marki turystycznej (m.in. dzięki udziałowi w światowym plebiscycie „7 nowych cudów natury” oraz skutecznym kampaniom promocyjnym) kładzie nacisk na aktywizację i rozwój gospodarczy. Region próbuje przełożyć dobre postrzeganie turystyczne na wzrost poziomu konkurencyjności gospodarki regionalnej i jej interesariuszy (przedsiębiorstw, instytucji i organizacji otoczenia biznesu, sektora kreatywnego, startupów, sfery nauki oraz samorządów). Najnowsza kampania skierowana do potencjalnych inwestorów, ukazująca atrakcyjny region zarówno do inwestowania, jak i do życia (zgod-

nie z hasłem „Zdrowe życie, czysty zysk”), obejmie promocję w prasie (artykuły), radiu (spot) i Internecie (spot video, grafiki). Zaplanowano współpracę z influencerami, reklamy Google AdWords i komunikację w mediach społecznościowych. Akcja obejmie zasięgiem Szwecję, Norwegię, Niemcy, Austrię, a także kraje spoza UE: Rosję (głównie obwód kaliningradzki), Ukrainę, Białoruś, Kazachstan, Izrael i Arabię Saudyjską.

Należy przy tym pamiętać, że promocja gospodarcza regionu nie jest wyłączną – ani nawet główną – domeną działalności samorządu wojewódzkiego. Samorząd regionalny odgrywa bardzo istotną rolę w inicjowaniu oraz koordynowaniu procesów składających się na rozwój atrakcyjności i klimatu inwestycyjnego, jednak efekty promocji gospodarczej w głównej mierze zależą od zaangażowania poszczególnych gmin, miast i powiatów; chęci i umiejętności ich współpracy ze sobą; współpracy z instytucjami otoczenia biznesu, agendami rządowymi i przedsiębiorstwami. Zależą również od kompetencji w zakresie analizowania i przewidywania zmian w gospodarce regionalnej i otoczeniu konkurencyjnym, a także od zasobów i zdolności do stosowania marketingu terytorialnego na rzecz rozwoju gospodarczego obszarów lokalnych. Projektowanie systemu promocji gospodarczej regionu jest więc zadaniem polegającym na usprawnianiu oddolnej promocji poszczególnych gmin, wspieraniu współpracy w tym zakresie, udrażnianiu mechanizmów wymiany informacji i doświadczeń, stwarzaniu mechanizmów – promocyjnych, organizacyjnych i finansowych – na rzecz synergicznej promocji różnych subregionów, ich specjalności i atutów z zaangażowaniem wszystkich aktorów promocji gospodarczej danego regionu.

Ważnym elementem nowego systemu wspierania inwestycji będą spółki zarządzające strefami ekonomicznymi, które staną się dla inwestora głównym punktem kontaktu w regionie, a także regionalnym koordynatorem udzielania pomocy publicznej w obszarze instrumentu zwolnień podatkowych i dotacji rządowych. Jeden punkt kontaktu dla inwestora ma zapewnić kompleksową usługę, a także istotną pomoc w eliminacji barier inwestycyjnych (m.in. skrócenie czasu procedur). Zgodnie z zapowiedziami dotychczasowe specjalne strefy ekonomiczne mają działać do 2026 r., a wraz z nową ustawą otrzymały narzędzia do stworzenia własnego planu rozwoju inwestycji i obsługi inwestorów na każdym etapie transakcji.

Adam Mikołajczyk – międzynarodowy ekspert ds. marketingu terytorialnego, pasjonat branding i rozwoju miast. Z dziedziny doradztwa marketingowego dla sfery publicznej (w tym głównie dla jednostek samorządu terytorialnego) związany od ponad 15 lat. Od 2010 r. prezes zarządu Fundacji Best Place – Europejskiego Instytutu Marketingu Miejsc (Bestplaceinstitute.org), która jest szeroko rozpoznawalną i cenioną organizacją ekspercką świadczącą usługi doradcze dla sfery publicznej.



© ARCHIWUM BEST PLACE

Od Bałtyku aż do Tatr

Cała Polska jedną wielką specjalną strefą ekonomiczną. To stwierdzenie, które pojawiło się w wielu komentarzach do obowiązującej od niedawna ustawy o wspieraniu nowych inwestycji, może sugerować, że mamy do czynienia z istną rewolucją w zakresie pomocy publicznej udzielanej przedsiębiorcom w naszym kraju.

Nie do końca tak jest. Powinniśmy raczej mówić o naturalnej ewolucji instrumentów wsparcia inwestorów i ich dostosowaniu do wyzwań, przed którymi stoi obecnie polska gospodarka.

O ile nie nastąpią żadne zmiany, 14 specjalnych stref ekonomicznych (SSE), utworzonych na podstawie ustawy z 1994 r., przejdzie do historii z końcem 2026 r. By przekonać się o ich potencjale, warto przytoczyć kilka liczb.

W 2017 r. wartość kapitału zainwestowanego w SSE od początku ich istnienia wyniosła prawie 107 mld zł. Pochodził on głównie z sześciu krajów: Polski (21,55 proc.), Niemiec (18,81 proc.), Holandii (8,22 proc.), USA (8,14 proc.), Luksemburga (6,35 proc.) i Włoch (5,34 proc.). Według danych na koniec ubiegłego roku ponad 2,4 tys. inwestorów zatrudniało w strefach łącznie ponad 353 tys. pracowników (wzrost o ponad 6 proc. w stosunku do roku poprzedniego).

Te liczby stanowią potwierdzenie tezy, że SSE były i są ważnymi punktami na gospodarczej mapie Polski. Jeśli dodamy do tego takie elementy, jak choćby stopniową specjalizację branżową poszczególnych stref, zbliżającą je do nowoczesnych klastrów, czy też silną markę SSE, potwierdzoną licznymi wyróżnieniami w prestiżowych międzynarodowych rankingach, to wówczas łatwiej zrozumieć powody, dla których pierwsze założenia nowego podejścia do wspierania inwestycji w Polsce wywołały pewne wątpliwości. Trzeba jednak pamiętać, że dyskusja na temat charakteru, horyzontu czasowego, a w szczególności zasięgu terytorialnego funkcjonowania SSE trwała już od dłuższego czasu. Mimo że strefy przyniosły pozytywne rezultaty, to jednak zasadniczo nie zmieniły krajobrazu inwestycyjnego w naszym kraju. Najprężniej rozwijają się bowiem strefy będące częścią największych aglomeracji na zachodzie i południu Polski. I trudno się dziwić. W zasadzie nie tworzy się firm „na pustyni”. I nie chodzi tylko o uzbrojenie, media, infrastrukturę, rynek pracy, ale też kulturę przemysłową i kulturę pracy danego terenu.

Odejście od sztywnej zasady terytorialności należy uznać za jedną z najważniejszych zmian, jaką niesie za sobą Ustawa z dnia 10 maja 2018 r. o wspieraniu nowych inwestycji. To z pewnością dobra wiadomość dla mikro, małych i średnich przedsiębiorstw, z punktu widzenia których przenoszenie działalności do poszczególnych stref lub inwestowanie z dala od głównej siedziby było raczej problematyczne. Co więcej, nowe regulacje przewidują, że wymagane nakłady inwestycyjne będą

w większym stopniu dostosowane do możliwości finansowych MŚP. Dominujące dotąd kryteria, jak wartość inwestowanego kapitału czy też liczba oferowanych miejsc pracy, powodowały bowiem, że o zwolnienia w strefach ubiegały się głównie zagraniczne firmy. Jednak takim wymogom trudno było się dziwić, kiedy bezrobocie wynosiło 20 proc., a nawet gdy sięgało „tylko” 10 proc. Ale teraz koniunktura na świecie się zmieniła.

Jednocześnie należy zdecydowanie podkreślić, że mówienie o tym, iż cała Polska stała się jedną wielką specjalną strefą ekonomiczną, jest mylące. Przyznawane preferencje podatkowe będą bowiem uzależnione od trzech warunków: lokalizacji i charakteru inwestycji oraz jakości tworzonego miejsc pracy. W praktyce oznacza to, że na przykład w rozwiniętych powiatach o niskiej stopie bezrobocia dostęp do zwolnień z CIT lub PIT będzie ograniczony, szczególnie jeśli planowana inwestycja zostanie nisko oceniona pod względem współpracy z ośrodkami badawczymi czy też oferowanych świadczeń dla pracowników. Poza tym obowiązywać będzie zasada, zgodnie z którą im wyższa intensywność pomocy publicznej w danym województwie, tym dłuższy okres zwolnienia, wynoszący od 10 do 15 lat.

Cóż, czas pokaże, czy nowe rozwiązania rzeczywiście wpłyną na krajobraz inwestycyjny w Polsce. Z pewnością jednak dla przedsiębiorców planujących przedsięwzięcia inwestycyjne w najbliższym czasie sporym wyzwaniem pozostanie oszacowanie, czy bardziej korzystne jest dla nich ubieganie się o wsparcie w ramach istniejących od wielu lat specjalnych stref ekonomicznych, czy raczej już w nowym systemie. Na razie trudno ocenić, w jakim stopniu ten nowy system będzie odporny na takie zagrożenia, jak nadmierna biurokratyzacja procedur czy też upolitycznienie decyzji o wsparciu.

Stawka jest zaś wyjątkowo wysoka. Decyzja o tym, że mimo swych niewątpliwych zalet SSE przestaną istnieć z końcem 2026 r., to jednocześnie zobowiązanie do wypracowania i skutecznego wdrożenia rozwiązań, które umożliwią długofalowy rozwój gospodarczy Polski.



© ARCHIWUM ADAMA SZEJNFELDA

Adam Szejnfeld

Posel do Parlamentu Europejskiego

Brawa po spektaklu są owocem mojej pracy

O zarządzaniu kulturą, międzynarodowych sukcesach i znaczeniu opery z **Waldemarem Dąbrowskim** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Obserwuję pańską działalność od lat i określiłbym ją jako zarządzanie kulturą poprzez pasję. Nie ma co ukrywać, że kocha pan kulturę i sztukę. Pewnie nie zawsze ten sposób zarządzania sprawdza się w branżach typowo komercyjnych, a w kulturze jest to metoda nie dla każdego. Czy owa ścieżka wynika z osobowości i indywidualnych predyspozycji, czy właśnie z miłości do sztuki?

Waldemar Dąbrowski: Dziękuję za miłe słowa, które traktuję jako komplement. Nie wyobrażam sobie zarządzania jakimkolwiek procesem, a zwłaszcza w dziedzinie kultury, jeżeli nie będzie w nim elementu pasji. Zarządzania w obszarze kultury nie da się nauczyć z książek, trzeba się do tego urodzić. Mówię to w cudzysłowie, bo przecież praca dla kultury wymaga talentu i pracowitości, a przede wszystkim wizji, czyli zaproszenia do podróży. Do celu, który ty widzisz, a inni jeszcze nie. Może widzi go jakaś część zespołu, który ci towarzyszy i podziela klarowność twojego myślenia. Inni wierzą, bo stoją za tobą jakieś dokonania. Jeszcze inni mają cały szereg wątpliwości. Zaś ty musisz być pewien, że owa podróż będzie wartością dla każdego z nich. Oczywiście nie wystarczy sformułowanie wizji czy wskazanie celu. Za tym musi stać bardzo precyzyjna koncepcja organizacyjna, uwzględniająca



© KRZYSZTOF BIELIŃSKI/TWON

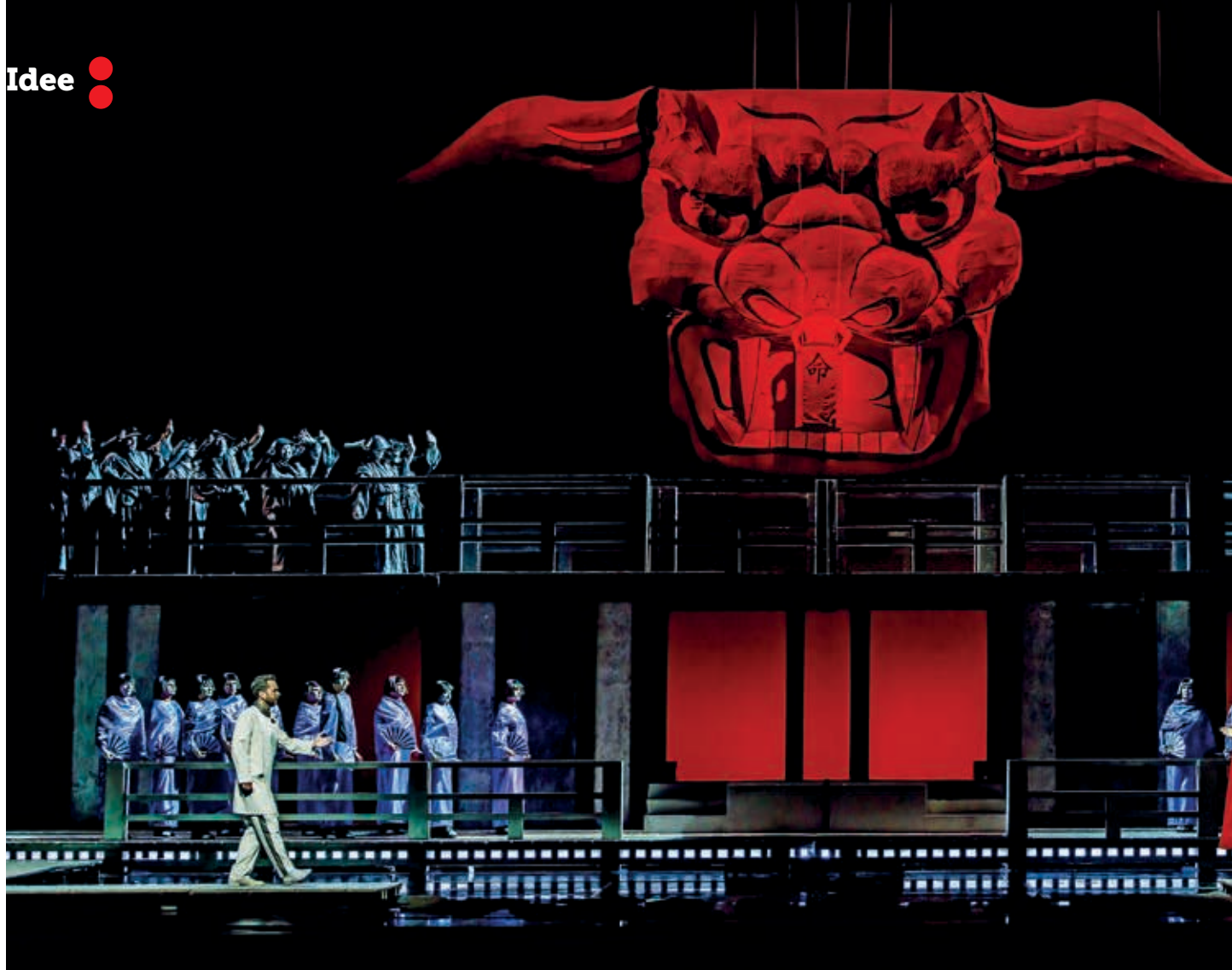
Waldemar Dąbrowski – dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, animator kultury, polityk. W latach 2002–2005 minister kultury; stworzył system finansowania inwestycji infrastrukturalnych w kulturze ze środków europejskich i funduszy norweskich, co zaowocowało ponad 700 inwestycjami w całym kraju.

Wspólnie z Jerzym Grzegorzewskim prowadził w latach 80. Centrum Sztuki Studio. Wraz z Franciszkiem Wybrańczykiem założył orkiestrę Sinfonia Varsovia. Przewodniczył obchodom Roku Chopinowskiego 2010. Działalność menedżera i animatora kultury zaczynał w latach 70., gdy stanął na czele klubu studenckiego Riviera-Remont.

Za jego kadencji po raz pierwszy Opera Narodowa została nominowana do International Opera Awards 2016 (operowe Oscary) w kategorii Najlepszy teatr operowy, zaś Mariusz Treliński, dyrektor artystyczny teatru, w 2017 r. w tym samym konkursie zdobył nagrodę w kategorii Najlepszy reżyser operowy na świecie.

Waldemar Dąbrowski w 2017 r. został mianowany pełnomocnikiem ds. organizacji obchodów Roku Stanisława Moniuszki, ustanowionego na 2019 r. uchwałą Sejmu RP.

Z jego inicjatywy uruchomiona została również platforma Vod.teatr Wielki.pl, transmitująca dzieła największych kompozytorów polskich. To efekt konsekwentnie realizowanej linii reperturowej, w ramach której wystawione zostały m.in. „Halka”, „Cud albo Krakowiacy i Górale”, „Straszny dwór” i „Goplana”. Ten ostatni tytuł w reżyserii Janusza Wiśniewskiego w maju 2017 r. otrzymał International Opera Award w kategorii Dzieło odkryte na nowo.



indywidualne talenty współpracowników. Czasem ktoś potrafi pracować za trzech, ale nie potrafi zarządzać trzema.

KB: Choć owa podróż może być wspaniała, nie każdemu uda się kogokolwiek do niej zaprosić. Jeden zaprosi trzech, drugi zaprosi dziesięciu, a trzeci – cały legion. Jak wyglądała pańska droga do objęcia największej sceny narodowej?

WD: Moja droga jest dosyć nietypowa, bo formalnie jestem inżynierem elektronikiem. To działalność w klubie studenckim wyznaczyła azymut, według którego podążałem konsekwentnie przez całe życie. Na tej drodze spotkałem wielu wspaniałych ludzi. Gdy miałem 30 lat, powierzono mi dyrekturę Teatru Studio, bezpośrednio po Józefie Szajnie. Trochę się dziwię – miałbym dzisiaj wątpliwości, czy powierzyć podobne zadanie komuś tak młodemu. Ktoś inny na szczęście potrafił odczytać moją zdolność wpisania się w złożony mechanizm teatru dramatycznego, który ma w sobie zarówno wymiar poetycki, jak i technologiczny (organizacyjny i finansowy). Do tego potrzebne są specjalne predyspozycje, które trzeba w sobie odnaleźć.

KB: Podobno to prof. Bardini przepowiedział panu przewożenie scenie narodowej.

WD: Prof. Bardini był dla nas wszystkich postacią kultową. Choć nie byłem z nim w bliskich relacjach, zauważył mnie. Kiedyś, przy okazji jakiegoś koncertu w filharmonii, powiedział mi wprost: „Jeszcze będzie pan dyrektorem Opery Narodowej”. Uśmiełem się wtedy naprawdę szczerze. Nie nosiłem tej przepowiedni w sobie i nie była ona dla mnie szczególnie inspirująca, wręcz przeciwnie. Uznałem, że to się nigdy nie zdarzy. Przy okazji muszę wyznać, że tak naprawdę dyrektorem Opery Narodowej „zrobił” mnie Janusz Olejniczak, który przekonał do tego – o czym wtedy nie wiedziałem – ówczesną minister kultury, Joannę Wnuk-Nazarową. Janusz bardzo dobrze mnie znał, bo jesteśmy przyjaciółmi od czasów młodości. Mimo jego rekomendacji długo odmawiałem tego zaszczytu i... ciężaru. Dopiero kiedy Mariusz Treliński i Boris Kudlička przedstawili mi swoją koncepcję „Butterfly”, zaczął kiełkować we mnie załączek nowego pojmowania opery. Wtedy zacząłem wytyczać swój kierunek myślenia o teatrze operowym. Doskonale sobie przypominam, jak idę po rue de Rivoli w Paryżu i dzwoni moja komórka, odbieram i słyszę panią Wnuk-Nazarową, która z żelazną konsekwencją powtarza po raz kolejny swoją propozycję. Wtedy się zgodziłem. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało to kokieterystycznie, tak po prostu było.

KB: Dlaczego to koncepcja wystawienia „Madame Butterfly” przeważała szalę?



© KRZYSZTOF BIELIŃSKI/TW-ON (2)

**„Madame Butterfly”,
Teatr Wielki – Opera
Narodowa; reżyseria:
Mariusz Treliński; sceno-
grafia: Boris Kudlička.**

**Powyżej: „Halka”, Teatr
Wielki – Opera Narodo-
wa; reżyseria: Natalia
Korczakowska; sceno-
grafia: Anna Met.**

WD: Koncepcja „Butterfly” Mariusza Trelińskiego i Borisa Kudlički była ze wszech miar nowatorska, ale w sposób właściwy scenie narodowej, tzn. polegający nie na parciu do przodu za wszelką cenę, tylko na dotarciu do istoty przekazu Pucciniego, a równocześnie nasyceniu go pięknym obrazem, który można określić mianem estetycznego sensu Japonii. I to nie poprzez cepeliowską pagodę, tylko poprzez głębokie doświadczenie tego, czym była sztuka japońska z perspektywy europejskiej i polskiej zarazem. Mariusz potrafił odczytać historię opowiedzianą już setki razy na jeszcze głębszym poziomie intelektualno-emocjonalno-etycznym. Butterfly popełnia samobójstwo, przegrywa, ale nie dlatego, że została uwiedziona przez amerykańskiego oficera. Ona przegrywa, ponieważ zdradziła ideały swoich przodków i swojej kultury. Sprzeciwiła się katalogowi wartości elementarnych. Zrobiła coś, czego zrobić nie powinna. To było dla mnie bardzo odkrywcze.

Chciałem zmierzyć się z kolejnymi arcydziełami z przeszłości, które czas sprawdził i które wpisały się w kanon operowy, ale wystawić je w sposób atrakcyjny dla współczesnej publiczności. Polacy nie są zbyt rozkocharani w operze. Wielu przed tym spotkaniem blokuje swoista psychologiczna bariera. Postawiłem przed sobą i całym zespołem teatru zadanie obniżenia owej bariery i zbliżenia każdego kulturalnego Polaka do decyzji o przekroczeniu bram Opery Narodowej. Skupiamy się oczywi-

ście nie tylko na repertuarze światowym, ale również polskim. Rozwijamy także projekt platformy internetowej, telewizji VOD; staramy się pozyskać fundusze na opłacenie praw autorskich i wykonawczych.

KB: W repertuarze nadchodzącego sezonu 2018/2019 pojawia się sporo polskich nazwisk. Zapewne jest to związane z 100. rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości.

WD: Do tego święta przygotowaliśmy się od 2013 r., kiedy to wystawiliśmy nową inscenizację „Halki” Stanisława Moniuszki. Program roku jubileuszowego powinien być nasycony dziełami polskimi, więc opracowywaliśmy sukcesywnie nowe przedstawienia: wspomnianej „Halki” i „Straszego dworu” Stanisława Moniuszki, „Krakowiaków i Górali” Jana Stefaniego, „Erosa i Psyche” Ludomira Różyckiego oraz „Goplany” Władysława Żeleńskiego, za którą w maju ubiegłego roku otrzymaliśmy operowego Oscara, czyli International Opera Award w kategorii Dzieło odkryte na nowo. W tym roku rozpoczynamy sezon premierą „Manru” Ignacego Jana Paderewskiego. Przy okazji przygotowujemy wystawę pod roboczym tytułem „Wirtuoz – mąż stanu”, bo chcemy pokazać, jaką rolę Paderewski odegrał nie tylko w kulturze, ale także w procesie odzyskiwania niepodległości. Gdyby nie jego udział w dodaniu 13. punktu do programu pokojowego Wilsona, kształt odrodzonej Polski mógłby być inny, uboższy. To wielka postać i bohater narodowy. Nie powiem, że zapomniany, ale na pewno niewystarczająco wyeksponowany. Paderewski zasługuje na więcej. Pamięć o nim jest świętym obowiązkiem ludzi polskiej kultury.

KB: Paderewski ujawnił najwyższy talent w pozornie odległych dziedzinach: dyplomacji i wirtuozerii. Czy jego „Manru” ma potencjał, aby znów zaistnieć na dużą skalę, jak niegdyś, za życia kompozytora?

WD: Mam nadzieję, że tak. To piękna opera z niezwykle aktualnym przesłaniem podniesienia różnorodności i odrębności do rangi waloru, a nie zarzewia konfliktu. Mówimy zatem o tym, co jest

podstawą wspólnoty europejskiej. Tematyka pochwały różnorodności ubrana w szaty pięknej muzyki i po mistrzowsku wydobyta przez reżysera Marka Weissa powinna być gwarancją udanego wystawienia. Jest to koprodukcja z Teatrem Wielkim w Poznaniu, więc mam nadzieję, że zaistnieje również na kilku scenach krajowych. Zainteresowałem nią także Ukraińców. Nawiasem mówiąc, amerykańska premiera „Manru” w lutym 1902 r. przeszła do historii jako pierwsze wystawienie polskiej opery na deskach Metropolitan Opera w Nowym Jorku. W nadchodzącym sezonie będziemy jeszcze mieli inne ważne premiery polskich oper. Będą to „Król Roger” Karola Szymanowskiego w reżyserii Mariusza Trelińskiego i ze scenografią Borisa Kudlička oraz „Halka wileńska” Stanisława Moniuszki w reżyserii Agnieszki Glińskiej. Sam jestem ciekaw tego sezonu.

KB: Co oznacza określenie „narodowy” w kontekście teatru? Czy to nazwa historyczna mająca charakter pewnej pamiątki? A może wskazuje na misyjność, ale trochę też uwiera, bo co narodowe, nie podlega zmianie, dyskusji?

WD: Na temat funkcji teatru narodowego trzeba dyskutować w określonej perspektywie czasu. Mądrość tego pojęcia musi być nieustannie pogłębiana i odświeżana. Bo co ono w istocie oznacza? Że ma się szczególną misję do spełnienia w strukturze kultury i cywilizacji narodu i społeczeństwa. Jeżeli wyobrazimy sobie kulturę jako piramidę, to u podstawy są dom i szkoła, prywatny ogród, mądra rozmowa z rodzicami, ładnie nakryty stół do obiadu. A na szczycie tej piramidy są instytucje narodowe. Te, które pielęgnują dorobek historyczny, ale równocześnie otwierają płaszczyznę aktywnego istnienia – intelektualnego i emocjonalnego – możliwie szerokich i różnorodnych kręgów społeczeństwa. Teatr narodowy z całą pewnością jest zwolniony z obowiązku awangardy, czyli czegoś, co się starzeje szybciej niż cokolwiek inne. Nie musi spełniać potrzeby zaistnienia inaczej, a jedynie mądrze i pięknie. Teatr narodowy w moim rozumieniu jest płaszczyzną prezentacji narodowego talentu, a opera z natury rzeczy jest polem syntezy wszystkich talentów: muzycznego, tanecznego, plastycznego, poetyckiego i intelektualnego. Jest też miejscem prezentacji piękna ludzkiego głosu. A z drugiej strony musi być też obszarem konfrontacji narodowego talentu z talentem europejskim i światowym. Bo przecież jesteśmy jednym z ogniw łańcucha kultury, który ma swój wymiar historyczny i współczesny, ale także powinien rysować nam sens przyszłości. Teatr narodowy ma rozszerzać, a nie zawężać zdolność uczestniczenia w dyskursie kulturalnym i artystycznym.

KB: Opera jest w uprzywilejowanej sytuacji w porównaniu z innymi muzami, bo świat filmu czy teatru dramatycznego jest zdominowany przez język angielski. Opera dysponuje uniwersalnym językiem muzyki, który ułatwia kontakt z widzami globalnymi. Dowodem na to mogą być operowe Oscary zdobywane przez Teatr Wielki i jego twórców. Czy mają państwo plany podboju globalnego?



WD: Inaczej rozumiem naszą rolę. Chcemy budować pozycję Opery Narodowej jako specjalnego miejsca w Warszawie, które jest węzłowe dla kultury polskiej poprzez nawiązywanie żywych i twórczych relacji z wiodącymi instytucjami operowymi na świecie. Obranie takiej drogi sprawiło, że Mariusz Treliński dostał International Opera Award dla najlepszego reżysera mijającego roku, a Piotr Beczała – dla najlepszego śpiewaka roku. Na początku lipca na francuskim Festival d'Aix-en-Provence odbyła się – nagrodzona owacjami na stojąco – premiera opery „Ognisty anioł” Siergieja Prokofiewa w reżyserii Mariusza Trelińskiego, ze scenografią Borisa Kudlička. To są wielkie osiągnięcia. W sensie masowego odbioru opery nie ma siły futbolu, a nawet filmu. Niewątpliwie sukcesy, którymi się tak cieszymy, nie docierają do szerokiej publiczności. A mimo to powodują, że największe sceny operowe świata, jak Metropolitan Opera w Nowym Jorku czy opery w Petersburgu i Londynie, chcą z nami współpracować i wystawiać dzieła w koprodukcji. Możemy nosić dumnie podniesione głowy. Zaś niektóre z polskich głów coraz więcej znaczą w operze europejskiej i światowej. Otwierać sezon w MET to jest w tej branży jak pasowanie na rycerza, a mieliśmy tę przyjemność we wrześniu 2016 r., wystawiając „Tristana i Izoldę” Wagnera w reżyserii Mariusza Trelińskiego i ze scenografią Borisa Kudlička. W Warszawie ten spektakl był już wystawiony wcześniej, w czerwcu 2016 r.

KB: Jaka jest pozycja Polski w dziedzinie fonografii operowej?

WD: Słaba. Nie chciałbym nikogo wprowadzić w błąd, ale wydaje mi się, że w Niemczech uzyskanie statusu złotej płyty z muzyką klasyczną, także operową, wymaga sprzedania minimum 100 tys. płyt, a u nas – 5 tys. Mogę się mylić co do tych tysięcy, ale stosunek na pewno jest jak 1 do 20. Te liczby mówią same za siebie.

KB: Teatr Wielki oprócz opery i baletu oferuje również bardziej popularne koncerty, jak np. „Głosy gór”. Czy to jest sposób na poszerzenie ogrodu sztuki, na docieranie do tych, którzy na inne przedstawienie do opery by nie przyszli?

WD: Dokładnie o to chodzi. Co prawda rzadko, ale organizujemy koncerty jazzowe czy z pogranicza klasyki, jazzu i folku, jak „Głosy gór”, które wymyśliłem kiedyś z Januszem Olejniczakiem.



© KRZYSZTOF BIELIŃSKI/TW-ON (2)

„Halka”, Teatr Wielki – Opera Narodowa; reżyseria: Natalia Korczakowska; scenografia: Anna Met.

zbieram owoce swojej pracy. Mam taki rodzaj satysfakcji, która jest darem od losu. Natomiast największym problemem jest sprostanie wyzwaniom, które w żartobliwym tonie scharakteryzował Churchill: „Poza wojnami najdroższym wynalazkiem człowieka jest opera”. Budżet jest zmorą i utrapieniem każdego dyrektora teatru operowego. Obecnie mamy budżet większy niż kiedykolwiek w historii – i trzeba docenić ten fakt – ale on nigdy nie jest wystarczający, ponieważ pragnienia repertuarowe i artystyczne zawsze biegną do przodu. Do tego dochodzi powinność należytego honorowania pracy setek pracowników technicznych i administracyjnych.

To przenikanie się góralskiej muzyki ludowej (w wykonaniu kapeli Sebastiana Karpiela-Bulecki) i wspaniałej muzyki klasycznej, napisanej z inspiracji Tatrami przez wielkich polskich kompozytorów: Szymanowskiego, Góreckiego i Kilara. A wszystko, zaaranżowane w jazzowym klimacie przez Jana Smoczyńskiego, składa się na niezwykle, energetyczny wieczór, na który przychodzą tłumy. I wielu wraca na kolejny koncert w następnym sezonie. Prawie zapomnielibym dodać, że muzyce towarzyszą niezwykle projekcje zdjęć Tatr autorstwa Mieczysława Karłowicza, kompozytora, taternika i fotografa. To wspinała, wielopłaszczyznowa promocja kultury polskiej, którą z sukcesem prezentowaliśmy we Włoszech, Szwajcarii, Hiszpanii czy Kazachstanie – wszędzie mieliśmy owacje na stojąco. Zaś 14 listopada nasi artyści zdobędą także górę gór: po raz pierwszy wystąpią w Carnegie Hall w Nowym Jorku.

KB: I za każdym razem dyryguje maestro Jerzy Maksymiuk?

WD: Dziękuję, że pan przypomniał, bo trzeba Jerzego szczególnie uhonorować. To on zarządza sytuacją muzyczną i sceniczną oraz sprawia, że podczas każdego koncertu odbywa się swego rodzaju performance. Jest tak żywiołowy, energetyczny, tak pięknie układa porządki muzyczne, że jest niewątpliwym bohaterem wydarzenia. Jerzy Maksymiuk, Janusz Olejniczak i Sebastian Karpiel-Bulecka to wielka trójka wieczoru, która bez wątpienia nadaje mu serce artystyczne i czyni go tak atrakcyjnym.

KB: Jak wygląda dzień pracy dyrektora Teatru Wielkiego – Opery Narodowej?

WD: Jest bardzo wyczerpujący. Nie ma możliwości, żeby praca dyrektora teatru zamknęła się w ośmiu godzinach. To jest duża instytucja zatrudniająca 1050 osób i proszę mi wierzyć, że tyle musi zatrudniać; w dużo mniejszej La Scali pracuje 950 osób. Publiczność przychodzi na spektakl i nawet nie wie, że czasami na scenie pojawia się 300 osób, a ponad 100, niewidocznych, pracuje wokół. To jest drugi największy budynek teatralny świata. Trzeba go posprzątać, ogrzać, konserwować. Jedni pracują do godziny 16, inni do 23. Ja pracuję na ogół do 16 i do 23, więc w sensie fizycznym praca jest wyczerpująca. Ale każdego wieczoru odzyskuję siły, bo wraz z kończącymi spektakl brawami

KB: Skoro wspomnieliśmy o pieniądzach publicznych, chciałbym zapytać, jak rozwiązane jest finansowanie opery w krajach o silnych tradycjach liberalnych. Jak jest finansowana przykładowo Metropolitan Opera?

WD: To jest zupełnie inny model finansowania kultury, niemożliwy do zastosowania w warunkach europejskich, w tym również polskich. Trzeba pamiętać, że tam kapitalizm pracował kilkaset lat i wygenerował wielomiliardowe fortuny. Od początku kultura amerykańska była finansowana z funduszy prywatnych poprzez fundacje teatralne i operowe, gromadzące środki na te cele. Oczywiście tamtejszy system wspiera donatorów, umożliwiając między innymi znaczące odpisy podatkowe. Natomiast w Europie teatry operowe finansowane są w głównej mierze z funduszy państwowych, ministerialnych, niekiedy dodatkowo zasilane funduszami prywatnymi. W naszym przypadku fundusze prywatne są niewielkie i niewiele znaczą w budżecie. Staramy się sami zarabiać. Poziom wpływów, który osiągamy ze sprzedaży biletów, z różnych działalności programowych i z wynajmowania sal, sięga prawie 50 proc. dotacji, którą dostajemy z ministerstwa.

KB: W dziedzinie filmu technologie komputerowe upraszczają proces produkcji i wpływają na obniżenie ceny. Czy w operze jest podobnie? A może nowe technologie pozwalają twórcom na większy rozmach?

WD: Raczej to drugie i wcale nie wiąże się to z oszczędnościami. Kiedyś dekoracją teatralną było drewno, płótno, farba i kilkanaście reflektorów. Teraz bywa, że jest ich kilkaset. Są spektakle, w których mamy 350 punktów świetlnych sterowanych komputerowo. Gdyby nie było komputerów, nie byłoby tylu punktów świetlnych, nie można byłoby nimi zarządzać tak precyzyjnie. Po drugie, gdyby dzisiaj zrobił pan dekorację z drewna, płótna i farby, jak 30 lat temu, to nikt by do tego teatru nie przyszedł. Muszą być materiały wideo, musi być światło, które buduje aurę przedstawienia. Dzięki komputerom to wszystko jest doskonalsze, efektowniejsze, ciekawsze, ale nie tańsze. Dodam tylko, że efekty tych prac oglądać można na naszej platformie wideo. Do końca roku zostanie wzbogacona o kolejne tytuły spektakli zrealizowanych w Operze Narodowej. Chętnych zapraszam na Vod.teatr Wielki.pl.



O polskich władcach według Waldemara Świerzego

1

Andrzej Pągowski

Na pomysł namalowania „Nowego pocztu władców Polski” wpadłem przypadkiem. Był rok 2004, Polska wchodziła do Unii Europejskiej. W programie telewizyjnym usłyszałem słowa młodego chłopaka: „Kiedy Matejko malował poczt królów [...]”. Malował?! Przecież Jan Matejko stworzył cykl ołówkowych rysunków w niewielkim formacie i były one czarno-białe. W ogóle ich nie malował!

Zacząłem odpytywać znajomych. Zdecydowana większość była zdania, że Matejko namalował kolorowe portrety. Niektórzy koja-

rzyli czarno-białe rysunki, ale uznawali je raczej za szkice wstępne, na podstawie których mistrz stworzył kolorowe portrety, niż za finalne dzieło. W Internecie też można znaleźć kolorowe portrety przypisywane Matejce. Owszem, Matejko marzył o namalowaniu pocztu farbami olejnymi, ale niestety nie udało się mu zrealizować tych planów. Według jego rysunków, w latach późniejszych, kolorowe portrety namalowali inni artyści.

Wtedy pojawiła się myśl, że Polacy zasługują na pełny, kolorowy, autorski poczt swoich władców. Zasługują na galerię na-



Wystawy „Nowego pocztu władców Polski”

- Zamek Królewski w Warszawie, maj–lipiec 2015 r. Wystawa „Nowy pocztu władców Polski. Świerzy kontra Matejko”, na której po raz pierwszy publicznie zaprezentowano 49 sylwetek władców autorstwa Waldemara Świerzego wraz z charakterystykami oraz 42 reprodukcje portretów i pięć oryginalnych rysunków Jana Matejki, wypożyczonych z Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Dodatkowo zaprezentowano monety i banknoty z wizerunkami władców Polski (udostępnione przez Narodowy Bank Polski), a także znaczki i kartki pocztowe z postaciami królów. Na monitorach wyświetlono fotosy z wizerunkami władców w polskim filmie.
- Muzeum Narodowe w Gdańsku, Zielona Brama, listopad 2016–marzec 2017.
- Muzeum Miejskie Wrocławia, Pałac Królewski, sierpień 2017–luty 2018.
- Muzeum Miasta Łodzi, Pałac Izraela Poznańskiego, lipiec–grudzień 2018 r.

malowaną współcześnie, bardziej nowoczesną w swojej formie plastycznej. Pomyślałem, że stworzenie, a następnie wydanie takiego pocztu mogłoby być narodową lekcją historii. Według mnie wchodziło w grę tylko jedno nazwisko. Waldemar Świerzy. Mój profesor i przyjaciel. Współtwórca polskiej szkoły plakatu, wspaniały grafik, malarz i wykładowca.

Już wcześniej współpracowaliśmy przy różnych projektach związanych z tworzeniem portretów. Waldek wykonał wizerunki polskich noblistów, serię portretów reżyserów filmowych, wspinały portret papieża Jana Pawła II, który został wykorzystany w projektach znaczków i kalendarzy Poczty Polskiej. Poza tym miał na koncie setki portretów znanych ludzi ze świata sztuki i muzyki. Świerzemu pomysł od razu się spodobał. Poprosiłem o sportretowanie dwóch pierwszych władców, ale on wybrał Sobieskiego i Poniatowskiego. Ukazał ich po swojemu: barwnie i dynamicznie.

- 1 Bezprym
- 2 Bolesław Krzywousty
- 3 Bolesław Szczodry
- 4 Jadwiga
- 5 Bolesław Chrobry
- 6 Stanisław August

Pokazałem te portrety znajomym i przyjaciółom, innym artystom. Wszyscy byli pod wrażeniem.

Do projektu dołączył historyk Marek Klat, który wziął na siebie troskę o wiarygodność historyczną. Zaczęliśmy szukać partnera, który pomógłby sfinansować przedsięwzięcie. Nawiązaliśmy współpracę z PKO BP i w ciągu dwóch lat powstało 12 portretów, które pokazaliśmy na zamkniętym pokazie w Domu Dochodowym w Warszawie w listopadzie 2007 r. Wystawa zrobiła ogromne wrażenie na zwiedzających. Świerzy, mający w dorobku całą galerię podobizn ludzi bardziej i mniej znanych, zaprezentował zupełnie nowe spojrzenie na naszych władców. Nie ukrywał ich negatywnych cech, nie idealizował urody. Obok dzielnych wojów zobaczyliśmy rzeźmieszków, obok rozważnych monarchów – cwaniaczków i prymitywów. Korzystając z najnowszych badań i wiedzy o władcach, artysta stworzył galerię emocjonalnych, pełnych życia postaci.

Takie zresztą były założenia – nie chcieliśmy epatować szczegółowo oddanymi detalami, chcieliśmy pokazać ludzi z krwi i kości. Z tych pierwszych 12 prac PKO BP wydało kalendarz na 2008 r., później sfinansowało namalowanie kolejnych 12 sylwetek, a potem... zaczęły się kłopoty. Projekt był kilkakrotnie przekładany i zawieszany. W tych trudnych latach wielką pomoc i wsparcie okazał dyrektor Narodowego Centrum Kultury Krzysztof Dudek.

Przez 10 lat, z krótszymi i dłuższymi przerwami, Waldek malował portrety władców w kolejności chronologicznej. Gdy tylko udało się zdobyć fundusze, dzwoniłem i zamawiałem kolejne prace. Dla Świerzego jako twórcy taka sytuacja nie była łatwa. Były momenty zwątpienia. Tracił wiarę, że uda się zakończyć projekt. Wtedy siadaliśmy i rozmawialiśmy. Myślę, że moja niezachwiana wiara i przekonanie, że damy radę, dodawały mu siły. I znowu przystępował do pracy. Były też dramatyczne chwile osobiste. Najbardziej wstrząsnęły mną wydarzenia z listopada 2012 r. Waldek właśnie zaczął malować królową Jadwigę, gdy jego żona Magda zadzwoniła do mnie z Sopotu. Podczas przygotowywania wystawy Świerzy miał wypadek i złamał bark. Tragedia. Dla grafika, w dodatku 80-letniego, złamanie ręki to często wyrok oznaczający zakończenie kariery. Rehabilitacja trwała kilka miesięcy, a potem znowu przyszedł czas na długie dyskusje i przekonywanie mistrza, aby ruszył z robotą, znowu zaczął malować. Mając za sobą ponad połowę pracy, bał się, czy da radę wstrzelić się z powrotem w rytm i styl. Pamiętam, z jakim drżeniem serca jechałem, by zobaczyć najnowsze portrety – pierwsze po wypadku. To, co ujrzałem, przeszło moje wyobrażenia. Zobaczyłem przepiękny wizerunek Jadwigi. Namalowany z pasją i potężną siłą. Kiedy otrzymywałem kolejne portrety, coraz lepsze, zażartowałem: „Waldek, może szkoda, że tak późno tę rękę złamałeś...”. Rzeczywiście, po tym wypadku i rehabilitacji zaczął malować szybciej, odważniej i z jeszcze większą pasją. Ale też mieliśmy już pewność, że posiadamy środki na dokończenie całości projektu. Świerzy był w świetnej formie. Portrety powstawały regularnie. Gdy zostały do namalowania jeszcze dwa ostatnie, akurat musiałem wyjechać za granicę. Umówiliśmy

się, że odwiedzę Waldka po powrocie. Gdy wróciłem ze Stambułu, dowiedziałem się, że jest w szpitalu. Od tego momentu sprawy potoczyły się szybko. Badania, diagnoza. Nie chcę o tym mówić. Ważne, że zdążyłem się z nim zobaczyć. Rozmawialiśmy o planach po wyjściu ze szpitala. Zaskoczył mnie wyznaniem, że poczet jest skończony. Gdy Świerzy dowiedział się, że musi iść do szpitala, wykonał ostatnie dwa portrety i dopiero potem zgłosił się na oddział.

To było nasze ostatnie spotkanie. Waldemar Świerzy zmarł 27 listopada 2013 r. Wiem, że bardzo się cieszył z dokończenia tej pracy. Opowiadał mi z detalami, jak stawiał końcowe kreski na portrecie Poniatowskiego. To była jego ostatnia praca. Umarł kilka dni po sfinalizowaniu trwającego 10 lat projektu, po namalowaniu 49., ostatniego portretu władcy Polski. W ten sposób radość z dzieła zbiegła się ze smutkiem z powodu odejścia wspaniałego człowieka i artysty. „Nowy poczet władców Polski” półtora roku po śmierci Waldemara Świerzego został zaprezentowany publicznie, po raz pierwszy w całości, na Zamku Królewskim w Warszawie.

Waldku, jeżeli gdzieś tam jesteś i malujesz kolejne portrety – dziękuję. Mam nadzieję, że Twoja praca nie pójdzie na marne i że wizerunki stworzone przez Ciebie zawładną wyobraźnią młodych Polaków, Europejczyków, obywateli świata.

„Nowy poczet władców Polski”, zainicjowany w 2003 r. przez Andrzeja Pągowskiego, został stworzony przez Waldemara Świerzego, wybitnego polskiego grafika i portrecistę. Zawiera 49 portretów władców. Prace organizacyjne, dokumentacyjne i malarskie trwały 10 lat i zakończyły się w listopadzie 2013 r., kilka dni przed śmiercią twórcy. Pomysłodawcą, organizatorem i dyrektorem artystycznym projektu jest Andrzej Pągowski, odpowiedzialny również za finansowanie powstania pocztu oraz jego ekspozycji.



© ERAZM CIOŁEK



© ARCH. ANDRZEJA PĄGOWSKIEGO



© ARCHIWUM MARKA KLATA

Waldemar Świerzy (1931–2013) – artysta grafik, współtwórca polskiej szkoły plakatu, profesor wyższych uczelni artystycznych. Najwybitniejszy twórca portretów Polaków w ostatnich latach. Sportretował znanych aktorów, reżyserów, a także papieża Jana Pawła II, Czesława Miłosza, Władysława Szymborską, Krzysztofa Pendereckiego, Henryka Sienkiewicza, Marię Skłodowską-Curie. Autor serii „Giganci Jazzu”.

Andrzej Pągowski – artysta grafik, malarz, autor ponad 1,2 tys. plakatów, licznych rysunków satyrycznych, ilustracji, obrazów, scenografii, projektów wydawniczych. Animator życia kulturalnego, inicjator i organizator wielu akcji kulturalnych i społecznych (m.in. „Służę do grania, nie do zabijania”, „Patrz, jak czytasz. Ilustracje”, „Możesz zdążyć przed rakiem”), uczeń prof. Waldemara Świerzego.

Marek Klat – historyk, dziennikarz, scenarzysta filmowy, doktor nauk humanistycznych. Autor i współautor ponad 60 książek i ponad 800 artykułów o tematyce historycznej.

Inside Trends

Eksperci z Europy Środkowo- -Wschodniej o trendach światowego biznesu

Najbardziej znany haker świata Kevin Mitnick, twórca latającego samochodu Lars Silberbauer czy założyciel firmy tworzącej algorytmy zastępujące testowanie leków na ludziach Igor Bogicevic to tylko niektórzy prelegenci konferencji Business Insider Inside Trends, która odbędzie się 18 i 19 października 2018 r. w Centrum Praskim Koneser w Warszawie.

Jak w perspektywie najbliższych trzech lat zmieni się świat finansów, mediów, nowych technologii, medycyny i zdrowia? To pytanie warte dyskusji i odpowiedzi. Organizatorem wydarzenia jest Business Insider Polska, drugi (po USA) pod względem wielkości i zasięgu serwis z portfolio marki Business Insider. Wśród patronów wydarzenia jest Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”.

Dyskusja, zorganizowana wokół trzech tematów: fintech, life science oraz business 4.0, będzie prowadzona w formie wystąpień, debat i warsztatów, w których przewiduje się udział tysięcy osób ze świata mediów, nauki, marketingu i biznesu. Wystąpi m.in. Kevin Mitnick, najbardziej znany haker świata, autor książek „Sztuka podstępów” i „Sztuka infiltracji”. Swoją prezentację wygłosi również Igor Bogicevic, założyciel Seven Bridges Genomics, firmy budującej bazę danych genomów. Jej analiza może ułatwić zapobieganie epidemiom, zmniejszyć koszty obsługi medycznej i wykluczyć testowanie leków na ludziach, zastępując to działaniem specjalnym algorytmem. Pojawi się również Atanas Raykov, dyrektor ds. rozwoju biznesu na rynkach Europy Środkowej oraz Rosji, Białorusi i Ukrainy w firmie Global Telecom Partnerships, oferującej popularny na całym świecie komunikator Viber. W konferencji weźmie udział również prof. Felix Oberholzer-Gee, odpowiedzialny w Harvard Business School za badania nad strategiami biznesowymi, szczególnie w obszarze mediów.

Polskich przedsiębiorców i wynalazców reprezentować będą m.in. Edyta Kocyk, Bizneswoman Roku 2014, współzałożycielka i prezes Sidly, spółki technologicznej, która stworzyła system teleopieki oparty na autorskiej opasce telemedycznej Sidly Care; Wojciech Radomski, prezes i założyciel firmy StethoMe™, która stworzyła pierwszy na świecie elektroniczny stetoskop służący do kontroli stanu zdrowia układu oddechowego; Maciej (Matt)

Szurek, współzałożyciel i dyrektor marketingu RemmedVR, firmy pracującej nad wykorzystaniem wirtualnej rzeczywistości w medycynie; Łukasz Dyląg, założyciel i prezes VoicePIN, spółki pracującej nad wykorzystywaniem w biznesie technologią rozpoznawania mowy; Bartosz Borucki, związany z Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego, który zajmuje się m.in. wspomaganie radiologii, diagnostyką i chirurgią z wykorzystaniem modeli matematycznych, uczenia maszynowego, sztucznej inteligencji i metod wizualnych.

– *W dzisiejszych czasach niemal każda branża musi się mierzyć z szybkim tempem postępu technologicznego. Rynek mediów i reklamy już przeszedł transformację, choć kolejna, nawet większa zmiana dopiero nadchodzi wraz ze wzrostem popularności interfejsów głosowych, rzeczywistości rozszerzonej i big data – mówi Jovan Protic, dyrektor operacyjny Grupy Onet-RAS Polska. – Technologia blockchain, kryptowaluty i sztuczna inteligencja na zawsze zmienią także rynek finansowy. Wiele się o tym mówi, ale rzadko możemy znaleźć proste odpowiedzi i zrozumiałe informacje, które moglibyśmy zastosować w opracowywaniu strategii dotyczących segmentu fintech. Jedzenie będzie produkowane przy ogromnym udziale technologii i danych, a diagnostyka medyczna, która obecnie jest w fazie silnej transformacji, w większym stopniu wykorzysta rozwiązania technologiczne. Leki będą dostosowane do naszego genomu. Zapraszamy do poznania nowych trendów i spotkania z ekspertami. Inside Trends to konkretne i praktyczne rady, które można zastosować w ciągu najbliższych 2–3 lat i które pomogą lepiej dostosować strategię na przyszłość – twierdzi Protic.*

Więcej informacji na temat programu i prelegentów konferencji na stronie Insidetrends.businessinsider.com.pl.



Płyta
„Nasza Niepodległa”,
2008 r.

Fundacja „Teraz Polska” promotorem płyty „Nasza Niepodległa 1918–2018”

Pprzed nami wyjątkowa, 100. rocznica odzyskania niepodległości. Przekonani o historycznej wartości tej chwili, postanowiliśmy uczcić nasze wielkie święto kolejnym projektem muzycznym. Chcielibyśmy w ten sposób uświetnić jubileusz wszystkich Polaków. Nie tylko tych, którzy mieszkają w kraju, ale też Polonii i Polaków na całym świecie. Ich reprezentacja spotka się 20 września 2018 r. w Teatrze Wielkim w Warszawie na uroczystym koncercie zorganizowanym w ramach Światowego Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy przez Radę Polonii Świata.

Projekt „Nasza Niepodległa 1918–2018” to wielopoziomowe przedsięwzięcie, które ma wesprzeć krzewienie nowoczesnego patriotyzmu. To także muzyczna opowieść o Polsce i losach Polaków, często tragicznych i bolesnych, zarówno historycznych, jak i współczesnych. Prezentujemy wyjątkowy wybór pieśni i piosenek nagranych przez czołowych artystów: Kayah, Katarzynę Cerekwicką, Marylę Rodowicz, Annę Wyszkon, Halinę Mlynkova, Katarzynę Moś, Krzysztofa Cugowskiego, Piotra Cugowskiego, Piotra Zubka, Łukasza Zagrobelnego, Andrzeja Krzywego, Grzegorza Stróżniaka, zespoły Pectus oraz Opole Gospel Choir. Kierownikiem muzycznym został Piotr Dziubek, kompozytor, aranżer, akordeonista i pianista, wykładowca wrocławskiej Akademii Muzycznej, od wielu lat związany z Przeglądem Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Uzupełnieniem albumu są śpiewnik i specjalna płyta CD z pólplaybackami. Wydawnictwo zostanie przekazane do szkół polonijnych na całym świecie.

W październiku 2008 r. miała miejsce premiera płyty „Nasza Niepodległa” z piosenkami patriotycznymi w wykonaniu gwiazd polskiej estrady: Katarzyny Cerekwickiej, Edyty Geppert, Małgorzaty Kożuchowskiej, Natalii Kukulskiej, Maryli Rodowicz, Justyny Steczkowskiej, Krzysztofa Kiljańskiego, Andrzeja Lamperta, Ryszarda Rynkowskiego, Piotra Szczepanika i zespołu Zakopower. Autorem wszystkich aranżacji był Krzysztof Herdzin, pianista, kompozytor, producent i aranżer. Płyta cieszyła się dużą popularnością i szybko zyskała status złotej. Honorowy patronat nad tym wydawnictwem objął śp. Lech Kaczyński, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, który 11 listopada 2008 r. był także gospodarzem uroczystego koncertu w Teatrze Wielkim w Warszawie z okazji Święta Niepodległości.



Krzysztof Przybył, prezes Fundacji
Polskiego Godła Promocyjnego

Pieśni dla niepodległości

Oddajemy w Państwa ręce płytę, która

powstała z okazji 100. rocznicy odzyskania niepodległości. Pomysł upamiętnienia tamtych niezwykłych wydarzeń poprzez muzykę wydaje się intuicyjny i oczywisty. Aby w 1918 r. możliwe było odwołanie państwa polskiego, żywy musiał być jego duch. Żywa musiała być pamięć, nie tylko historyczna, rozumiana jako obiektywny zapis dziejów, ale również pamięć emocjonalna – przywiązanie, pragnienie, tęsknota. Aby tę pamięć zachować, niezbędne były dzieła, swoiste spoiwo zbiorowych emocji. Z jednej strony literatura piękna, nosząca jednak cechy pewnej elitarności, z drugiej – pieśń, która choć często wynika z poezji pierwszej próby, jest bardziej powszechna. Ma jeszcze jedną cechę, niezwykle istotną w dobie historycznej zawieruchy: nie trawi jej ogień, nie niszczą kule, nie tnie bagnety, bo jest zapisana w zbiorowej pamięci.

Dostaliśmy niepodległość od grupy twardych, zdeterminowanych i inteligentnych Polaków, którzy wierzyli w swój kraj i wykorzystali nadarzącą się sposobność historyczną. Dostaliśmy Polskę od całego ówczesnego społeczeństwa, które chwilę po odzyskaniu kraju wykonało dobrą robotę. Mało jest w naszej historii ostatnich wieków wydarzeń tak jednoznacznie godnych upamiętnienia. Dalsze losy Rzeczypospolitej toczyły się różnie, nie brakowało błędów, złych czynów, a często fatalnego pecha. Natomiast państwo Polska ciągle jest na mapie, co – nawet dzisiaj – wcale nie jest takie oczywiste, bowiem wciąż liczne narody nie mogą cieszyć się przywilejem posiadania własnej ojczyzny.

Narodowe Święto Niepodległości ma pewną niezwykłą cechę: jest nie tylko upamiętnieniem wydarzeń historycznych, ale też mówi o bardzo ważnym i aktualnym wyzwaniu. Dzieło roku 1918 przypomina, że pojęcie niepodległości należy interpretować szeroko. Naszym obowiązkiem moralnym jest niepodległość myślenia. A w codziennym życiu winniśmy kierować się priorytetami twórców polskości z 1918 r. – nie zapominać o dobru wspólnym, przedkładać kooperację nad rywalizację, wierzyć w siłę zmyślności i racjonalności.

© KAMIL BROSZKO.BROSZKO.COM



PATRONAT NARODOWY
PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI 1918-2018

NASZA NIEPODLEGŁA

1918-2018

Premiera wydawnictwa:

14 września 2018 r.

Uroczysta Gala Telewizyjna:

Teatr Wielki – Opera Narodowa
20 września 2018 r.

Retransmisja Gali:

Program 1 TVP
23 września 2018 r., godz. 22:15



Projekt realizowany
w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości

Partner strategiczny:

Partnerzy oficjalni:

Promotor projektu:



Patroni medialni:

Producent wykonawczy:

Wydawca albumu:



**Wojciech Szatkowski**

(ur. 1966 r. w Zakopanem)

– historyk sportu, przewodnik tatrzański, skialpinista, pracownik Muzeum Tatrzańskiego im. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Autor książek i artykułów dotyczących tematyki historycznej i sportowej oraz przewodników skiturowych. Napisał (wraz z Waldemarem Czado i Romanem Szubrychtem) „Polskie góry na nartach. Przewodnik skiturowy, cz. 1”. Przygotowuje dwa kolejne tomy tytułu, które obejmą wszystkie polskie pasma górskie.

Góry nasycone pierwiastkiem wolności

Sto polskich szczytów – od Bieszczad, poprzez Tatry, lesiste Gorce, Magurę Witowską i Pasma Gubałowskie, po Karkonosze – zdobył na nartach skiturowych Wojciech Szatkowski z Zakopanego, przewodnik tatrzański, skialpinista i pracownik Muzeum Tatrzańskiego. Upamiętnił w ten sposób 100-lecie niepodległości naszego kraju. Spędził w górach około 100 dni i przebył na nartach dystans 1046 km z przewyższeniem 55 501 m. Projekt Narciarstwo Wolności był realizowany od listopada ubiegłego roku do maja 2018 r. Muzeum Tatrzańskie było partnerem projektu. Jego finał miał miejsce 1 maja na Niznich Rysach. Z **Wojciechem Szatkowskim** w Zakopanem rozmawia Kamil Broszko.

© KAMIL BROSZKO

Wojciech Szatkowski





© NARCIASTWO WOLNOŚCI (5)

100/100

Kamil Broszko: Skąd taki oryginalny pomysł na świętowanie niepodległości?

Wojciech Szatkowski: Całe życie chodzę po górach – jako przewodnik i jako narciarz. Pomysł zdobycia 100 polskich szczytów na nartach skiturowych w 100. rocznicę odzyskania niepodległości był zupełnie spontaniczny. Od razu pomyślałem też o ograniczeniach. Pracuję na etacie w Muzeum Tatrzańskim, więc przysługuje mi 26 dni urlopu. Nie za wiele. Gdy się do tego dołoży weekendy, to wychodzi, że miałem 60 dni na realizację projektu. Ale te plany trzeba było skonfrontować z koniecznością pełnienia obowiązków dorosłego człowieka, związanych z życiem domowym itd. Długo się wahałem, czy podejmować wyzwanie. Zdałem sobie sprawę, że to około 100 dni w górach, ale ponieważ właśnie wtedy Andrzej Bargiel pojechał po raz pierwszy na K2, pomyślałem sobie, że i ja podejmę próbę na miarę moich skromnych możliwości, tym bardziej że uprawiam skituring od 35 lat. Latem 2017 r. podjąłem decyzję. Najpierw wybrałem setkę szczytów. Później zacząłem się zastanawiać, z kim pójść w te góry. W zimie poruszanie się po nich samemu jest niebezpieczne – w Tatrach występują lawiny, a w Bieszczadach spore trudności nawigacyj-

ne. Udało się jednak zebrać fantastyczną ekipę, a później znaleźć sponsorów, którzy cały projekt sfinansowali. Mój przyjaciel Marcin Kuś z KW Warszawa napisał ciekawą rzecz o moim projekcie – że nie jest może przełomowy w dziejach ludzkości, ale ma ważny cel: promocję zwiedzania gór na nartach skiturowych. Narciarstwo Wolności – bo narty skiturowe dają nieograniczone możliwości górskiej eksploracji, wystarczy tylko iść.

KB: Ale pan nie tylko poszedł w góry, ale wpłótł w swój wyczyn sportowy i popularyzatorski również kontekst historyczny, czyli rocznicę odzyskania niepodległości.

WS: Chciałem pokazać, że cieszę się z tej rocznicy, i – co jest dla mnie naturalne – wyrazić tę radość poprzez góry. Była to fantastyczna przygoda, podczas której otaczali mnie wspaniali ludzie i niezwykła przyroda. Zwiedziłem dziewięć pasm górskich. W wielu polskich górach wcześniej nie byłem. Kiedy podsumowałem treningi i przejścia, okazało się, że pokonałem na nartach 1046 km i 55 501 m przewyższenia. To tak, jakbym wszedł 55 razy z Zakopanego na Kasprowy Wierch i zjechał. Dodam, że niektóre wejścia były fajne, bo odbywały się po dziewiczym, nierozjeżdżonym śniegu. Dodatkowo zima dopisała – zaczęła się w listopadzie i trwała do maja.

KB: Wracając jeszcze do kontekstu historycznego, wydaje się, że pana projekt świetnie wpisuje się w celebrowanie rocznicy odzyskania niepodległości, bo mówi o niej po-

przez inną wolność, nawet bardziej uniwersalną, którą dają góry, przyroda i pana ulubiona dyscyplina narciarska.

WS: Faktycznie projekt nasycony był pierwiastkiem wolności. Napotkałem na swej drodze wiele miejsc związanych z wolnością w rozumieniu historycznym. W Beskidzie Niskim odwiedziłem groby legionistów. Byłem w Bieszczadach, gdzie w latach 1944–1947 toczyły się bardzo ciężkie walki z Ukraińską Powstańczą Armią. A do tego doszło poczucie wolności związane z eksploracją gór i skituringiem. To było fantastyczne przeżycie, w dodatku w grupie przesympatycznych ludzi z Bieszczad i Zakopanego. Towarzyszyła mi cała ekipa: Marcin Kuś, Waldemar Czado, Grzegorz i Magda Mołczanowie, Bartek Górski, Krzysztof Walo, Krzysztof Mazur, Piotr Kwaśny, Mateusz Mróz i inni – prawdziwi „narciarze wolności”. Mogę powiedzieć, że ostatnie bariery mojej wolności skiturowej przełamały Bieszczady Zachodnie. Tam – inaczej niż we wschodniej części Bieszczad – nie ma parku narodowego, a zatem można wejść i zjechać, gdzie się chce, ba, można nawet rozpalic małe ognisko, aby się ogrzać. Oczywiście zjeżdżając na terenie parków narodowych, organizowałem to tak, aby działać w zgodzie z przepisami, bo uważam, że przyroda jest najważniejsza i trzeba ją zachować dla przyszłych pokoleń.

KB: Czy realizacja projektu *Narciarstwo Wolności* wiązała się z dużym obciążeniem fizycznym?

WS: Na pewno tak, ale również z... odpoczynkiem i regeneracją. Na co dzień pracuję z ludźmi, więc wycieczki były też formą wyciszenia, złapania dystansu, który pozwala mi moją pracę właściwie wykonywać. Ważny był też kontakt z przyrodą. Chodząc po Bieszczadach, spotykaliśmy całkiem sporo śladów niedźwiedzi. Pod Jawornem przeszły żubry, widzieliśmy też ogromne ślady wilków. Projekt zakończył się w Tatrach na Niżnich Rysach. Często pada pytanie, dlaczego nie na Rysach. 1 maja wykonaliśmy zjazd z Niżnich Rysów, aby następnie wejść i zjechać z Rysów. Jednak turystów było tak dużo, że slalom między nimi wydawał się czymś bardzo niebezpiecznym, a jestem zwolennikiem bezpieczeństwa w górach – tak mnie wychowano, poza tym takie są moje przekonania wynikające z pełnionej roli przewodnika. I zrezygnowaliśmy. Niżnie Rysy są najwyższym szczytem mojego projektu – 2430 m n.p.m. Samych wejść na szczyty było trochę więcej niż 100, bo wiem na niektóre wszedłem kilka razy. Mogłem zrealizować jedno wejście, pojechać do domu i miałbym zaliczone, ale szkoda było mi kończyć, jeśli warunki były fajne. Na przykład w styczniu tego roku zdecydowałem się na trzy wejścia na Matragonę i zjazd z każdej ściany szczytu.

KB: Zdarzyły się jakieś kontuzje albo inne niespodziewane kłopoty?

WS: Na szczęście obyło się bez większych problemów. Nikt nie odniósł żadnej kontuzji, mimo dużej intensywności, która cechowała nasz projekt. Jeden wyjazd w Bieszczady to było 19 dni cho-

dzenia dzień w dzień. Wyszło prawie 400 km na skiturach. Życie zostało sprowadzone do kilku podstawowych czynności, a jego główną treścią było codzienne chodzenie, nieraz po 6–8 godzin. A czasem i więcej, bo zdarzały się wycieczki 12-godzinne.

KB: Pana projekt być może uświadomi wielu ludziom pewną niesłyszana rzecz, mianowicie fakt, że w ogóle mamy tak wiele szczytów w Polsce.

WS: Mamy przepiękne góry. Całe życie jeździłem w Alpy i lubię je. Dwa razy byłem też w górach Kaukazu. I gdy pojechałem pierwszy raz na skituring w Bieszczady, to dopiero zdałem sobie sprawę, jaki jest w nich ogromny potencjał z punktu widzenia tej dyscypliny. Teraz ciągnie mnie w Bieszczady bardziej niż w Tatry. Jest tam o tyle ciekawie, że nie trzeba ciągnąć ze sobą żelastwa – raków, czekanów itp. Jest po prostu pasmo do przejścia, podłużne jak fala. Tak samo Beskid Niski – to jest rejon zupełnie niewykorzystany pod względem skiturowym, a dysponujący ogromnym potencjałem. W Karkonoszach jest jak w Laponii – potężne płaskowyże, tyczki co pięć metrów, wielkie schroniska, wielokrotnie większe niż w Tatrach. I bardzo dużo narciarzy. Karkonosze bardzo mi się podobały, zwłaszcza Śnieżka od Sowiej Przełęczy, czyli tam, gdzie wolno zjeżdżać, bo na stronę Domu Śląskiego nie można. Bardzo piękne na skitury są też Gorce, na Turbaczu byłem w rocznicę stanu wojennego – 13 grudnia 2017 r. Szedłem przez Dolinę Lepietnicy, w sumie ponad 20 km, z przystankiem w schronisku i finałem na szczycie Turbacza. A później ponadgodzinny zjazd z wierzchołka na sam dół, do parkingu w Obidowej. Przepiękne mamy góry. Oczywiście z racji tego, że Pan Bóg poskąpił im wysokości, one są bardzo kapryśne śniegowo. Kiedy się dowiedziałem, że w Beskidzie Niskim spadł śnieg, to się spakowałem i w trzy godziny wyjechałem. Pomyślałem, że jeśli nie pojadę, to druga taka okazja może się nie powtórzyć. Podobna sytuacja była w rejonie Magury Witowskiej. To rejon oddalony o kilka kilometrów od Tatr. Przepiękny masyw, który uwielbiam. Całe życie tam spędziłem – na biegówkach, na rowerze, na grzybach. Bardzo ładne są Pieniny, ledwie ich liczałem, ale byłem.

KB: Czyli nawet jeżeli wcześniej cechował pana tatrocentryczny punkt widzenia, pojawił się powód, by go zrewidować.

WS: Zawsze byłem zwolennikiem wielości światów górskich. Nigdy nie chciałem się „zakisać” w swoich górach, uznając, że tylko Tatry i nie ma nic innego. Wydaje mi się, że w styczniu i lutym, kiedy Tatry są kapryśnymi górami, wyjazd w Bieszczady ma głębokie uzasadnienie. Tam wtedy jest bezpiecznie, bowiem w Bieszczadach Zachodnich nie ma lawin; występują one tylko w rejonie połonin. Z kolei wiosną, kiedy śniegi w Tatrach stają się bezpieczniejsze, da się wejść na ich potężne szczyty: Kozi Wierch, Niżnie Rysy, Skrajną i Pośrednią Turnię, Czerwone Wierchy, Starorobociański, Wołowiec, Kończysty, Jarząbczy. A później można z nich zjechać na pełnej prędkości, na krawędzi i poczuć wolność, którą dają góry.



Ewa Maria Romaniak

© EWA MARIA ROMANIAK

Szczyty, sztuka, niepodległość

100/100 Malarstwo Wolności jest projektem artystycznym podejmującym dialog pomiędzy pasją twórczą a górską. Inspiracją było przedsięwzięcie Wojciecha Szatkowskiego – Narciarstwo Wolności. W rezultacie koleżeńskich rozmów zaproponowałam swój wkład w uczczenie 100-lecia niepodległości, mianowicie stworzenie cyklu malarskich miniatur. Prace prezentują 100 szczytów polskich gór – ujętych również w projekcie narciarskim – znajdujących się w Tatrach, Bieszczadach, Karkonoszach, Gorcach i Beskidach. Wśród obrazów są „portrety” poszczególnych gór, panoramy całych pasm, a także portrety ludzi gór. Prace zostały wykonane techniką autorską łączącą tradycyjne malarstwo olejne z gratażem na płytkach gipsowo-kartonowych. Wystawa będzie prezentowana w Zakopanem, Łądku-Zdroju i w Krakowie.

Ewa Maria Romaniak – urodzona w Krakowie, wychowała się w Rabce-Zdroju. Absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej i Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (kierunek scenografia). Dyplom ze scenografii obroniła w 2014 r. pod kierunkiem prof. Małgorzaty Komorowskiej. Aneks malarski wykonała w pracowni prof. Teresy Rzepickiej-Kotkowskiej. Stypendystka wymian zagranicznych (VIA University College w Danii oraz TEC de Monterrey, Campus Queretaro w Meksyku). Obecnie jest doktorantką na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej.

W pracach artystycznych porusza tematykę cyklu życia, odnosząc się do osobistych przeżyć, oraz tematykę górską, czerpiąc inspiracje z własnych doświadczeń wysokogórskich. Założycielka grupy artystycznej M37A, członkini Stowarzyszenia Architektów Polskich, Związku Polskich Artystów Plastyków i Klubu Wysokogórskiego Zakopane.

Jej prace znajdują się w zbiorach: Podkarpackiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Galerii Sztuki Współczesnej w Trościańcu na Ukrainie oraz Stowarzyszenia Art Passion w Makowie Podhalańskim.

Ewa Maria Romaniak
i Wojciech Szatkowski



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



© EWA MARIA ROMANIAK (3)



© ARCHIWUM PKN ORLEN (2)



Godło „Teraz Polska” dla PKN Orlen

Oferta gastronomiczna Stop.cafe oraz format sklepowy O!Shop otrzymały w tym roku prestiżowe Godło „Teraz Polska” w kategorii Najlepsze produkty i usługi. Kapituła konkursu wyróżniła walory jakościowe, technologiczne i użytkowe konceptów PKN Orlen.

Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego od blisko 30 lat wyłania grupę najlepszych polskich produktów, usług, gmin i przedsięwzięć innowacyjnych, które wyróżniają się na rynku i mogą być wzorem do naśladowania. W ramach Polskiego Programu Promocyjnego organizowany jest niekomercyjny Konkurs „Teraz Polska”, wyłaniający najlepszych z najlepszych.

Stop.cafe i O!Shop to odpowiedź PKN Orlen na trendy rynkowe, wśród których widać rosnące znaczenie zdrowej i świeżej oferty gastronomicznej w wyborach konsumenckich. Kapituła Konkursu „Teraz Polska” doceniła jakość surowców i produktów, w tym szczególnie przekąski owocowe i warzywne typu Ready-To-Eat oraz dania gotowe Ready-To-Serve, a także 10-letnią wiedzę i doświadczenie koncernu w zakresie oferty gastronomicznej. Na koniec II kwartału br. funkcjonowało w Polsce 1621 punktów Stop Cafe, a w 231 z nich można korzystać z oferty sklepowej O!Shop. Koncern w II kwartale 2018 r. osiągnął najwyższy w historii wynik segmentu detalicznego w wysokości 677 mln zł, co oznacza wzrost o 18 proc. r/r.

– Jak wskazują badania konsumentów, Godło „Teraz Polska” jest skutecznym narzędziem umacniającym markę oraz wizerunek laureatów. Dla niemal 80 proc. respondentów Godło „Teraz Polska” to symbol wysokiej jakości produktów i usług oferowanych na rynku polskim. Dla ponad 65 proc. z nich kryterium w postaci Godła stanowi ważny element w podejmowaniu decyzji zakupowej. Nie bez

znaczenia dla konsumentów jest również polskie pochodzenie produktów i usług – podkreślił Michał Lipiński, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”.

W tym kierunku idzie właśnie PKN Orlen. Koncern uruchomił program „Pij polskie soki” i wprowadził sprzedaż soków owocowych od producentów z Polski w całej sieci stacji paliw w kraju. W ten sposób koncern wspiera polskich sadowników, a także lokalne, często rodzinne firmy przetwórcze. W wyniku podjętych działań PKN Orlen chce zwiększyć sprzedaż soków owocowych od polskich producentów o 150 proc. Klienci będą mogli wybierać soki polskich firm, takich jak Bracia Sadownicy, Maspex, Owocowe Smaki (marka Agrestada), Sad Sandomierski oraz Sok z Gór.

Decyzja o poszerzeniu oferty pozapaliwowej została poprzedzona szeregiem analiz, również w zakresie preferencji klientów. Przeprowadzone przez instytut Kantar badanie „Moda na polskość. Postawy, opinie i oczekiwania Polaków” pokazuje, że 87 proc. respondentów zachęca do zakupu informacja o krajowym pochodzeniu produktów. Z kolei 80 proc. biorących udział w badaniu uważa polskie produkty za lepsze i bardziej ekologiczne. Na decyzje konsumenckie duży wpływ ma także skala produkcji. Ponad 70 proc. Polaków świadomie wybiera towary wyprodukowane w małej, rodzinnej firmie, wspierającej lokalny rozwój. Według 75 proc. respondentów aktywną rolę we wsparciu drobnej przedsiębiorczości w Polsce powinny odgrywać duże, narodowe koncerny. Badanie zrealizowano metodą CAWI na reprezentatywnej ogólnopolskiej próbie internautów. Przeprowadzono 1000 wywiadów z Polakami w wieku 17+, w tym 779 z osobami, które w swoim gospodarstwie domowym posiadały samochód.



Michał
Kleiber

Profesor nauk technicznych, mechanik i informatyk. W latach 2001–2005 minister nauki, w latach 2007–2015 prezes Polskiej Akademii Nauk, w latach 2006–2010 doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Kawaler Orderu Orła Białego, przewodniczący Kapituły Konkursu „Teraz Polska”.

Współdziałanie na rzecz przyszłych pokoleń

W tym roku świętujemy 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Dzięki staraniom wielkiego patrioty, pianisty i kompozytora Ignacego Jana Paderewskiego powstał 13. punkt programu pokojowego Wilsona, określającego porządek po pierwszej wojnie światowej. 11 listopada 1918 r. spełnił się sen wielu pokoleń Polaków i po 123 latach niewoli pod zaborami, okupionej krwią powstań i pierwszej wojny światowej, powstało niepodległe politycznie i gospodarczo państwo polskie. Od tej daty wspólnym wysiłkiem budujemy nasz dom.

Z szacunkiem i podziwem wspominamy bohaterstwo naszych przodków, którym zawdzięczamy odzyskanie wolności. Ale także jesteśmy winni im uważność i troskę o największe narodowe skarby: wolność, niezależność, możliwość rozwoju w swojej ojczyźnie. Pamiętajmy, że nic nie jest dane nam raz na zawsze. Załedwie po 21 latach wolności nasi ojcowie musieli poddać się na pięć długich lat okupacji hitlerowskich Niemiec, a potem, przez 44 lata, peerelowskiej władzy kontrolowanej przez Związek Radziecki. Niepodległość ma dla Polaków fundamentalne znaczenie nie tylko ze względu na przelaną

krw przodków i utratę dziedzictwa materialnego. Musimy pamiętać o wyzwaniach, jakie stawia przed nami codzienność, w tym również postępujący rozwój technologiczny Europy i świata.

Największą wartością Polski są Polacy – przedsiębiorcy, naukowcy, artyści, sportowcy. Obywatele naszego kraju, którzy codzienną pracą przyczyniają się do rozwoju swojej ojczyzny. To oni tworzą polskie marki: przedsiębiorstwa, samorządy, uczelnie, instytuty badawcze, instytucje kultury, stowarzyszenia i fundacje. O skali polskiego sukcesu przekonuję się osobiście od kilkunastu lat, przewodnicząc Kapitułom Konkursu „Teraz Polska”. Wyłoniliśmy już blisko 700 laureatów Konkursu „Teraz Polska” i 23 laureatów Konkursu „Wybitny Polak”.

W jedności siła – to motto naszego narodu. Powinno być ważne nie tylko w obliczu zagrożenia, ale każdego dnia, wypełnionego pozytywistyczną pracą. Tak jak przed stu laty zróżnicowane społeczeństwo żyjące pod trzema zaborami zdołało się zjednoczyć w poczuciu silnej wspólnoty obywatelskiej, tak i dziś naszym obowiązkiem jest współdziałanie na rzecz przyszłych pokoleń.

Tak jak przed stu laty zróżnicowane społeczeństwo żyjące pod trzema zaborami zdołało się zjednoczyć w poczuciu silnej wspólnoty obywatelskiej, tak i dziś naszym obowiązkiem jest współdziałanie na rzecz przyszłych pokoleń.

Teraz polska lekka atletyka, czyli 60 lat później

© ARCHIWUM ANDRZEJA PERSONA



Andrzej
Person

*Dziennikarz,
komentator
i działacz sportowy,
były senator RP.*

To był równie gorący sierpień. 60 lat temu, tak jak dzisiaj, cała Polska zakochana była w lekkiej atletyce. Na boiskach, ale również na podwórkach i skwerach, wszyscy biegali i skakali. Urządzaliśmy zawody: wyścigi odbywały się na ulicach, a skoki – na wiślanych skarpach. Wszystko za sprawą Wunderteamu. Rewelacyjna reprezentacja Polski podczas mistrzostw Europy w Sztokholmie w 1958 r. zdobyła aż osiem złotych medali!

Każdy chłopak chciał być Krzyszkowiakiem, Chromikiem, Sidłą czy Piątkowskim. Pamiętajmy, że działo się to raptem kilkanaście lat po wojnie. Sukces wywołał gigantyczną radość całego narodu. Zwłaszcza pamiętny mecz lekkoatletyczny z USA na Stadionie Dziesięciolecia. Makomski, Swatowski, Foik, Piątkowski. Czy ktokolwiek w Polsce nie znał tych nazwisk? Sto tysięcy widzów i płonące gazety, które późnym wieczorem doświetlały stadion. Pomagaliśmy skoczkom dostrzec poprzeczkę. Kto tam wtedy był, ten nigdy nie zapomni owej niesamowitej scenarii.

Lekka atletyka zawsze była najważniejszym sportem, a piłka nożna – najpopularniejszym. Tak było na całym świecie, może z wyjątkiem USA. Tak też było i jest w naszym kraju. Od zarażania sportowych dziejów. Dlatego nie sposób zapomnieć o pierwszym polskim złotym me-

szybsza kobieta świata. Nie miała łatwego życia w USA, dokąd jej rodzina wyjechała spod Rypina za chlebem. Pracodawca zmuszał Polkę do startu w Los Angeles w 1932 r. pod amerykańską flagą, Stella odmówiła i straciła pracę...

Wszystko w sporcie zaczyna się od najbardziej naturalnej formy ruchu, czyli biegu. Potem są skoki i rzuty. Tak było i tak będzie. Nic dziwnego, że mimo ogromnego szacunku dla wielu sportowych dyscyplin sukces w lekkiej atletyce smakuje najbardziej i pamięta się go najdłużej. Montreal, rok 1976. Bieg na 400 metrów. Irena Szewińska tuż przed metą, samotna, zwycięska. Rywalka z NRD daleko z tyłu. To chyba najpiękniejszy obraz w historii polskiej lekkiej atletyki, a na pewno najważniejszy moment w życiu zmarłej niedawno „Irenissimy”. Albo Władek Kozakiewicz pokazujący całym Łużnikom, gdzie się zgina dziób pingwina. I Bronek Malinowski fruwający nad przeszkodami w Moskwie na dystansie 3 tys. metrów, zostawiający z tyłu rywali z Afryki, „oddychających rękami”. Historia królowej sportu jest u nas wyjątkowa. Pełna gotowych scenariuszy, nadzwyczajnych postaw i zachowań, które powinno się przekazywać następnym pokoleniom.

Tegoroczne lekkoatletyczne mistrzostwa Europy w Berlinie to sukcesy kolejnego wunderteamu – siedem złotych medali, tytuł najlepszej

Polska lekka atletyka żyje i ma się dobrze. Pamiętajmy jednak, że najlepszy nawet system bez wsparcia finansowego nie przetrwa długo. Kochajmy lekką atletykę i wspierajmy mistrzów!

dal olimpijskim, zdobytym przez posagową piękność Halinę Konopacką w rzucie dyskiem na igrzyskach w Amsterdamie w 1928 r. Wielka patriotka i poetka we wrześniu 1939 r. ratowała polskie złoto, wywożąc ciężarówką wraz z mężem, ministrem, narodowe dobra do Rumunii.

Przed wojną był jeszcze jeden wielki bohater – Janusz Kusociński, mistrz olimpijski z Los Angeles w biegu na 10 tys. metrów. Został rozstrzelany przez hitlerowców podczas okupacji. Kolejna wielka mistrzyni to Stanisława Walasiewicz, naj-

reprezentacji na Starym Kontynencie. Kulomioci, młociarze, fantastyczny Adam Kszczot i bohaterska Justyna Święty-Ersetic. To wszystko natychmiast przywołało wzruszające wspomnienia sprzed ponad pół wieku. Dzisiaj możemy z radością i zgodnie z prawdą powiedzieć, że polska lekka atletyka żyje i ma się dobrze. Pamiętajmy jednak, że we współczesnym, tak bardzo profesjonalnym sporcie najlepszy nawet system bez wsparcia finansowego nie przetrwa długo. Kochajmy lekką atletykę i wspierajmy mistrzów!



9 czerwca

W **Warszawie** odbył się jubileuszowy, 20. Piknik Olimpijski – wielobarwne święto sportu i olimpizmu. To jedyna taka impreza w Polsce, podczas której kibice mogą porozmawiać z dwustoma medalistami olimpijskimi i spróbować swych sił w wielu dyscyplinach sportowych. Tegoroczna edycja była poświęcona III Młodzieżowym Igrzyskom Olimpijskim w argentyńskim Buenos Aires. Każdy uczestnik, który wziął udział w programie sportowym, mógł liczyć na jedną z 10 tys. nagród.

13 czerwca

Na **Stadionie Miejskim Legii Warszawa** odbyło się uroczyste wręczenie nagród zwycięzcom konkursu dla gimnazjalistów i uczniów szkół podstawowych, zorganizowanego przez Polską Federację Producentów Żywności i Główny Inspektorat Sanitarny w ramach Ogólnopolskiego Programu Edukacyjnego „Trzymaj Formę”, którym objęto prawie 8 mln uczniów. Głównym celem programu jest zwiększenie wiedzy o wpływie żywienia i aktywności fizycznej na zdrowie młodzieży.

17 czerwca

W **Łodzi** zakończył się XXIV Finał Ogólnopolskich Czwartków Lekkoatletycznych. To cykl zawodów szkolnych organizowanych przez Stowarzyszenie „Sport Dzieci i Młodzieży” we współpracy z Marianem Woroninem, wybitnym polskim lekkoatletą, do którego od 1984 r. należy rekord Polski w biegu na 100 metrów. „Zawody czwartkowe” odbywają się w 80 miastach i miasteczkach w całej Polsce, a bierze w nich udział około 100 tys. dziewcząt i chłopców w wieku 11–13 lat.

18 czerwca

W **Teatrze Wielkim w Warszawie** odbyła się XXVIII Gala „Teraz Polska”, podczas której nagrodzone zostały najlepsze polskie firmy, usługi, innowacje i samorządy. Po raz dziewiąty wręczono tytuł Wybitnego Polaka. W tym roku laureatami zostali: Kamil Stoch, wybitny skoczek narciarski; ks. prof. Michał Heller, teolog, filozof, kosmolog; Jerzy Skolimowski, reżyser i malarz.

12 lipca

W **Pałacu Sztuki Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie** odbył się wernisaż wystawy „The Virtue of Ambiguity” Rafała Olbińskiego, światowej sławy malarza i grafika, nagrodzonego w 2013 r. tytułem Wybitnego Polaka.

12 lipca

W **sali koncertowej Sinfonia Varsovia w Warszawie** odbył się finał IV edycji Międzynarodowego Festiwalu Dzieci, Młodzieży i Dorosłych z Zaburzeniami Słuchu „Ślimakowe Rytm”, organizowanego przez Światowe Centrum Słuchu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu (laureata Konkursu „Teraz Polska”), kierowane przez prof. Henryka Skarżyńskiego. Swoje umiejętności zaprezentowali uczestnicy warsztatów „Muzyka w rozwoju słuchowym człowieka”. W koncercie finałowym wzięli udział pacjenci prof. Skarżyńskiego, m.in. Basia Kaczyńska i Maciej Miecznikowski, oraz liczne grono pacjentów ze wszystkich kontynentów.

© TIZYMAJ FORMĘ

© ZAWODY CZWARTKOWE

© KAMIL BROSKO/BROSKO.COM

© KRZYSZTOF PRZYBYŁ

© SINFONIA VARSOVIA



23 lipca

W **warszawskiej restauracji St. Antonio** odbył się Letni Klub „Teraz Polska”, organizowany przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego. Networkingowe spotkania członków Klubu odbywają się już od kilkunastu lat i gromadzą laureatów Konkursu „Teraz Polska”, partnerów, współpracowników i przyjaciół Fundacji.



4 sierpnia

W **Ciechocinku** rozpoczął się Festiwal Operetkowo-Operowy, organizowany już po raz 21. przez Kazimierza Kowalskiego, wybitnego śpiewaka operowego, wieloletniego dyrektora Teatru Wielkiego w Łodzi. „Dyrektor Kazimierz Kowalski wyczarowuje dla ciechocińskiej publiczności klejnoty operowych, operetkowych i musicalowych partytur” – napisał w festiwalowym programie burmistrz Ciechocinka, Leszek Dzierżewicz.



10 sierpnia

W **Bukowinie Tatrzańskiej** zakończył się 75. Tour de Pologne, największy polski wyścig kolarski, wyróżniony honorowym Godłem „Teraz Polska”. W klasyfikacji generalnej zwyciężył Michał Kwiatkowski. Tour de Pologne to nie tylko rywalizacja kolarska. We współpracy z Ferrero organizuje Kinder+Sport Mini Tour de Pologne, aby dać dzieciom i młodzieży szansę zaangażowania się w sport, a także promować zdrowy tryb życia. W tegorocznej edycji wzięło udział ponad 2,3 tys. dzieci i młodzieży.



31 sierpnia

W **G2A Arenie w Jasionce pod Rzeszowem** zakończyła się kolejna edycja Kongresu 60 Milionów – Globalnego Zjazdu Polonii, któremu patronowała m.in. Fundacja „Teraz Polska”. W wydarzeniu uczestniczył prezes Krzysztof Przybył. Celem kongresu jest integracja środowisk polskich i polonijnych oraz prezentacja współpracy między polskimi ośrodkami biznesowymi, naukowymi i kulturalnymi w Polsce i za granicą. Nazwa kongresu wywodzi się od ogólnej liczby Polaków żyjących na całym świecie – jest nas 60 milionów!



4 września

W **Krynicy** rozpoczęło się XXVIII Forum Ekonomiczne pod hasłem „Europa wspólnych wartości czy Europa wspólnych interesów?”. Jak co roku, ponad 4 tys. gości z ponad 60 krajów miało szansę skonfrontować swoje poglądy na temat aktualnej sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej na świecie.



13 września

W **Sali Barokowej Starego Ratusza w Wiedniu** odbyła się III Gala „Wybitny Polak w Austrii”, podczas której statuetki odebrali: prof. dr hab. Marius Nickel-Palczyński (w kategorii Nauka), Claudia Kottal (Kultura), Katarzyna Greco (Osobowość) i Thomas Zajac (Młody Polak).



Gala zwycięzców

Gala „Teraz Polska” odbyła się 18 czerwca 2018 r. w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej w Warszawie. Tego wieczoru poznaliśmy laureatów XXVIII edycji Konkursu „Teraz Polska”. Kapituła Konkursu, pod przewodnictwem prof. Michała Kleibera, nagrodziła 12 produktów, 10 usług, 2 przedsięwzięcia innowacyjne oraz 2 gminy. Poznaliśmy także laureatów IX edycji Konkursu „Wybitny Polak”, którzy swoją działalnością oraz licznymi sukcesami promują wizerunek Polski i Polaków na świecie. W tym roku tytuł Wybitnego Polaka otrzymali Kamil Stoch, ks. prof. Michał Heller i Jerzy Skolimowski. Wieczór uświetnił koncert Jazz Bandu Młynarski-Masecki.





1

1 Laureaci XXVIII edycji Konkursu „Teraz Polska”.

2 Przewodniczący Kapituły Konkursu „Teraz Polska” prof. Michał Kleiber i prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego Krzysztof Przybył.

3 Laureaci Konkursu „Wybitny Polak”: ks. prof. Michał Heller, Kamil Stoch i Jerzy Skolimowski.



3

© KAMIL BROSKO/BIROSKO.COM (3)

Fotoreportaż

- 1** Przedstawiciele prasy polonijnej z USA.
- 2** Zbigniew Leszczyński, członek Zarządu ds. Rozwoju PKN Orlen, odbiera Godło „Teraz Polska” z rąk Adama Szejnfelda i Krzysztofa Przybyła.
- 3** Rafał Olbiński, laureat Konkursu „Wybitny Polak” (2013 r.), i Jerzy Skolimowski, tegoroczny zdobywca tytułu.
- 4** Koncert Jazz Bandu Młynarski-Masecki.



1



2



3



4

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM (4)

A circular collage of 20 small images illustrating various activities and events. The images include: a man speaking at a microphone; a large outdoor gathering on a lawn; a woman speaking; a man speaking at a microphone with 'HINKTANK' visible; a group of people sitting in a large hall; chefs in a kitchen; a group of people sitting at a table; a group of people standing and talking; a man and a woman; a man wearing a VR headset; a man speaking at a microphone; a man and a woman; a man and a woman; a man and a woman; a man and a woman; a man and a woman; a man and a woman; a man and a woman; a man and a woman. An orange circle in the bottom right corner contains the text 'fitness dla umysłu'.

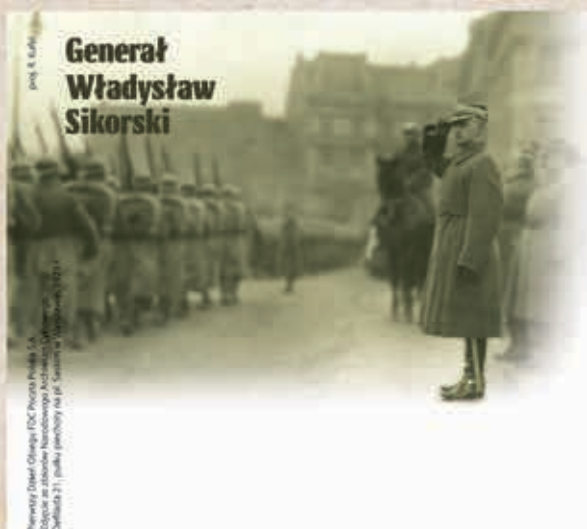
dołącz do nas!

www.twitter.com/THINKTANK.PL



General Władysław Sikorski

Sikorski



Sikorski

GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI

Poczta Polska od zawsze upamiętnia ważne dla Polski rocznice, wydarzenia i postaci historii. W 100-lecie odzyskania Niepodległości przypomina jednego z bohaterów walk o wolność naszego kraju, gen. Władysława E. Sikorskiego. Współtworzył Legiony Polskie, pełnił funkcję Szefa Sztabu Generalnego WP oraz premiera odrodzonej Rzeczypospolitej. W okresie II wojny światowej jako Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych i premier rządu na uchodźstwie odegrał kluczową rolę w kształtowaniu oblicza polskiego wojska i polityki. W znacznym stopniu przyczynił się do wzmocnienia polskiej racji stanu na arenie międzynarodowej tak u zarania Rzeczypospolitej, jak i podczas tragicznych lat 1939-1943. Gen. Władysław E. Sikorski stał się niewątpliwie jednym z najważniejszych dowódców polskiej historii XX w.

